DEZERCJA, KORUPCJA, NIELEGALNY HANDEL BRONIĄ

Ukraińską armię coraz mocniej trawią liczne patologie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 6/666 2–8 LUTEGO 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Front medialny Tuska wziął na cel Hołownię

ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE ZA CZASÓW PRL – JAK BEZPIEKA INWIGILOWAŁA POLSKICH SPORTOWCÓW

Czym góralszczyzna podhalańska różni się od języka polskiego?

KAPITAŁ, KTÓRY STOI ZA TRUMPEM

Kto zarabia na polityce transakcyjnej USA?

RONALD LAUDER, DONALD TRUMP, MIRIAM ADELSON

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl 4c1b1273a2

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kariera Andrzeja Dudy

Ileż to razy słyszałem, że media podają najchętniej negatywne informacje. Z tym większą radością spieszę zatem donieść, że tym razem napiszę o czymś pozytywnym, budującym i dającym otuchę. I tym razem okazało się, że Polacy są niewdzięczni, nierozumni i małostkowi, za to, jak to już nieraz w naszej historii bywało, prawdziwą wielkość i zasługi docenili inni, obcy. Wprawdzie w tym przypadku chodzi o sojuszników, i to nie byle jakich, bo najbliższych, ale zawsze to wstyd, że trzeba było pomocy zza oceanu, żeby to, co wielkie, zostało uznane. Otóż nie trzymając już czytelników dłużej w stanie niepotrzebnego zgoła napięcia, napiszę wprost, że za sprawą Amerykanów wreszcie znalazł pracę były polski prezydent, Andrzej Duda. Zostanie on współpracownikiem prestiżowego amerykańskiego think tanku Heritage Foundation. „To dla mnie wyróżnienie" – wspomniała była polska głowa państwa.

Z mediów dowiedziałem się też, że Andrzej Duda obejmie funkcję wizytującego eksperta, koncentrując się na zagadnieniach bezpieczeństwa transatlantyckiego oraz ideowych sporach dotyczących przyszłości Europy. A więc wreszcie ktoś się na Andrzeju Dudzie poznał. Wstyd, że wcześniej jego wiedzy nie doceniły polskie ośrodki.

Naprawdę odyseja Andrzeja Dudy po tym, jak odszedł z urzędu prezydenckiego, powinna być dla Polaków prawdziwym wyrzutem sumienia. Nie tylko że nie znalazł on pracy w żadnym poważnym ośrodku analitycznym, nie tylko że nie został, jak wcześniej niektórzy przebąkiwali, kandydatem na premiera, lecz także, biedak, nie znalazł uznania, występując w roli komentatora i publicysty w Kanale Zero. Nic lepiej nie pokazuje polskiej małoduszności niż ten prosty fakt: człowiek, którego Amerykanie zaprosili do jednego z najbardziej prestiżowych ośrodków badających relacje transatlantyckie, w Polsce nie był w stanie utrzymać się nawet na YouTube. Tak, jak znowu doniosły media, prowadzone przez byłego prezydenta programy nie cieszyły się zainteresowaniem, i to do tego stopnia, że ostatni z nich obejrzało raptem kilkanaście tysięcy ludzi.

Podobnie niezbyt udała się chyba kariera biznesowa byłego prezydenta, bo trudno uznać za sukces jego dołączenie do rady nadzorczej firmy z branży technologii finansowych (fintech) – ZEN.com. Tak samo byłemu prezydentowi nie udało się zmonetyzować swojej biografii i zawartych w niej mądrości, które zdobył, zasiadając 10 lat w Pałacu Prezydenckim. Mimo włączenia się w kampanię promocyjną książki „To ja" (to ja, czyli to on, Andrzej Duda) największych tuzów myśli prawicowej, na czele z obecnym prezydentem Karolem Nawrockim, sprzedaż dzieła Andrzeja Dudy wciąż pozostawiała wiele do życzenia, zajmując w rankingach bestsellerów miejsce daleko z tyłu za „Chłopkami". Owszem, pojawiały się głosy, że wynika to z nieznośnej wręcz powierzchowności i banalności przekazu, jednak dziś, po decyzji Heritage Foundation, wyraźnie widać, że autorzy tych niecnych komentarzy pełni być musieli żółci. O tym, jak wielką niewdzięcznością wykazało się polskie społeczeństwo, niech świadczy jeszcze i ten drobny fakt: widząc się porzuconym i znajdując się na granicy bezrobocia, prezydent Andrzej Duda zdecydował się wraz z małżonką, Agatą Kornhauser-Dudą, założyć spółkę komandytową i zająć się doradztwem personalnym.

Na szczęście wszystko wskazuje na to, że teraz problemy byłej głowy państwa się skończyły. Nie wiem oczywiście, co zadecydowało o decyzji Heritage Foundation. Czy chodziło o to, że prezydent Duda chciał wpisać do polskiej konstytucji obowiązkową przynależność do UE? A może o inne zasługi? Były prezydent za czasów Joe Bidena zasłużył się dla relacji transatlantyckich jak nikt inny. Jak sam wspomniał w jednym z wywiadów, przekazał wszystko, co lata i jeździ Ukrainie, podobnie jako pierwszy polski polityk wspomniał o jednym polsko-ukraińskim państwie. Wskazywał też, że za jego prezydentury Polska utraciła kontrolę nad własnym terytorium, oferując, co tylko miała, wraz z lotniskami i autostradami, Amerykanom. Przypomnę, że w jednym z wywiadów były prezydent wspomniał nawet, że Polska mogła być „troszeczkę" bardziej asertywna, co łatwo przecież uznać za formę samokrytyki.

Żaden inny polityk nie okazał tyle życzliwości i bliskości prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu – Andrzej i Wołodymyr stanowili wręcz parę papużek nierozłączek. Czy to właśnie te dokonania utorowały byłemu prezydentowi drogę do wielkiej, prawdziwie globalnej kariery? A może też okazywane zawsze we właściwym czasie zrozumienie dla interesów amerykańskich, za czym to szły zgłaszane odpowiednie weta do ustaw?

Tak czy inaczej, należy się cieszyć. Dał nam przykład Andrzej Duda, jak odnosić sukces. To, czego Polacy nie dostrzegli, Amerykanie docenili. Ktoś mógłby wprawdzie przywołać powiedzenie, że to nagroda dla tego, kto jest mierny, ale wierny. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że takie głosy będą przejawem typowej polskiej małostkowości. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
SOJUSZ TRONU Z KAPITAŁEM
Kto zarabia na polityce transakcyjnej USA?

18 JAKUB WOZINSKI
MINERALNY STRATEG TRUMPA

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
HOŁOWNIA NA CELOWNIKU FRONTU MEDIALNEGO TUSKA
Serial „Polska 2050"

25 PIOTR SEMKA
ROK 1863 – NOWA LINIA PODZIAŁU NA PRAWICY

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
FUNDUSZ W KAJDANKACH

30 ROZMOWA Z ROMANEM FRITZEM
JESTEŚMY UCISKANI PRZEZ PAŃSTWO

33 ROZMOWA Z TOMASZEM ŁUSZCZKIEM
MUSIMY RATOWAĆ GÓRALSZCZYZNĘ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
NIE TEN SZEKSPIR
Osiem nominacji do Oscara – czy zasłużonych?

38 GRZEGORZ KONDRASIUK
„PASTORAŁKA", CZYLI CO STRACILIŚMY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 ADAM WIELOMSKI
PROJEKT TRUMPA – KORZYŚĆ DLA POLSKI
Rada Pokoju i nowe prawo narodów

48 ŁUKASZ WARZECHA
CO DALEJ Z MERCOSUREM?

50 FILIP MEMCHES
DEMOKRACI JAK TRUMP?

52 KAJA GODEK
STREFY BUFOROWE W POLSCE – MARZENIE ABORTERÓW

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
IGRZYSKA POD NADZOREM „SMUTNYCH PANÓW"
Polscy sportowcy w oku bezpieki

58 KRYSTIAN KRATIUK
KIM NIE BYŁ KSIĄDZ PIOTR SKARGA?

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
SIŁY ZDEMORALIZOWANE UKRAINY
Korupcja groźniejsza od czołgów wroga

64 ROBERT BOGDAŃSKI
CZY MARK CARNEY URATUJE LIBERALNY ŚWIAT?

66 JAN BOGATKO
DO NIEMIEC WRÓCIŁ LEWICOWY TERRORYZM

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
AI JUŻ ZABIERA MŁODYM PRACĘ
Koniec rynku pracownika

SPORT

72 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM PIESIEWICZEM
BLASK WŁOSKIEGO ZNICZA
Zimowe igrzyska olimpijskie 2026

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
„NAZYWAM SIĘ CZERWIEŃ"
Odchodzi stara gwardia mody

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 4c1b1273a2

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **S. Lecocq/EPA/PAP, H. Özalp/AA/ABACA/PAP, J.D. Nikhinson/CNP/Newscom/PAP, W. Schulze/Imago/East News, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Czy warto dziś zabiegać o pieniądze z Unii?

Prawicowe środowiska oczekują ograniczania rosnącego wpływu instytucji Unii na sytuację w Polsce. Środowiska koalicji rządowej zasadniczo tego wpływu nie kwestionują, co jest jedną z przyczyn sporu między nimi. Wobec zagrożenia suwerenności Polski w partiach prawicowych formułowany jest postulat o potrzebie reformy Unii, dla której drogowskazem powinien być powrót do jej idei założycielskich, które nie przewidywały tworzenia państwa europejskiego. Ocenie sensowności niektórych argumentów stosowanych w całym tym sporze pomoże analiza przepływów pieniężnych między Polską a Unią.

Od przystąpienia Polski do UE, tj. od 1 maja 2004 r., do początku roku 2025 Polska uzyskała od Unii w formie transferów finansowych (z różnych tytułów) 266,6 mld euro, a wpłaciła do kasy Unii 167,3 mld euro: https://www.gov.pl/web/finanse/transfery-polska-ue-unia-europejska. Przy kursie z grudnia 2024 r. 1 euro kosztowało 4,28 zł, podane wyżej kwoty transferów w przeliczeniu na złote wynoszą odpowiednio 1 bln 141 mld zł i 716 mld zł. Różnica między nimi to ok. 425 mld zł na korzyść Polski. W roku 2024 PKB (produkt krajowy brutto) Polski wynosił 3641,2 mld zł. Dochody budżetu państwa wynosiły wtedy 626,1 mld zł, a wydatki budżetu państwa 834,3 mld zł (różnica to deficyt budżetowy). Wspomniane dochody budżetu stanowią nieco mniej niż połowę finansów publicznych w Polsce, a finanse publiczne stanowią ok. połowy PKB (produktu krajowego brutto). Wnioski są takie: w okresie 20 lat od przystąpienia Polski do Unii Europejskiej otrzymaliśmy „na czysto" z Unii transfery finansowe o łącznej wysokości stanowiącej 11,7 proc. PKB Polski z roku 2024, a więc z jednego tylko roku. Stanowiły one 67,9 proc. dochodów jednorocznego budżetu państwa Polski z roku 2024 oraz 51 proc. jednorocznych wydatków budżetu państwa Polski z tego roku. Wartość tych pozyskanych środków, jak na okres 20 lat, jest przez wielu polityków przeceniana. Wmawia się obywatelom, że chodzi tu o „bajońskie sumy". Tymczasem nie one przesądzają o kondycji gospodarczej Polski. Te transfery nie wyczerpują oczywiście listy korzyści uzyskanych przez uczestnictwo Polski w UE. Korzystamy m.in. z otwartości granic, wolnego handlu i przepływów kapitałowych w jej granicach. W bilansie przynależności do Unii trzeba będzie jednak dopisywać straty i zagrożenia, wynikające z niekorzystnych dla Polski regulacji w UE, w tym w handlu międzynarodowym, programach ekologicznych, wymuszaniu napływu obcych kulturowo migrantów. Wspomnieć tu trzeba także o nierównych obciążeniach fiskalnych działających w Polsce podmiotów gospodarczych, które często są korzystniejsze dla podmiotów unijnych niż krajowych.

Kosztów i korzyści podporządkowania instytucjom unijnym w ich obecnym kształcie nie da się wyliczyć, ponieważ nie wyrażają się wyłącznie w jednostkach pieniężnych. Tak czy inaczej, Polacy muszą sobie wreszcie uświadomić, że gra transferami pieniężnymi, w tym kredytami, jest dla obecnych elit Unii skutecznym instrumentem skłócania i korumpowania elit politycznych Polski, dla osiągania własnych celów. Żal było patrzeć na donosy do instytucji unijnych przeciw prawicy składane przez jej oponentów politycznych w okresie jej rządów, aby odciąć ją od unijnego finansowania. Żal patrzeć także na cykliczne popisy polemiczne naszych polityków w sprawie pozyskiwania i gospodarowania wspomnianymi, mizernymi funduszami z Unii, których ze względu na ich odgórne przeznaczenie („naznaczenie") i tak nie da się optymalnie wykorzystać. Lepsze dla nas byłoby obniżenie składek do budżetu Unii, która obecnie przypomina dreptanie jej członków we wspólnych spodniach. Mniej wysiłku i ostrych polemik powinniśmy wkładać w pozyskiwanie finansów z Unii, a więcej w usuwanie przeszkód, abyśmy mogli sami lepiej zarabiać i gospodarować własnymi zasobami.

dr hab. Andrzej Przymeński,
emerytowany profesor
Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu

eprasa.pl 4c1b1273a2

NA PIERWSZY OGIEŃ

Koniec sprawy z Kielna?

PIOTR SEMKA

Minister edukacji Barbara Nowacka ogłosiła, że komisja dyscyplinarna dla nauczycieli przy wojewodzie pomorskim uwzględniła wniosek nauczycielski z Kielna o cofnięcie decyzji o jej zawieszeniu. Barbara Nowacka powiedziała: „Po tym, jak nauczycielka zabrała głos w tej sprawie, ja nie widzę dalszych powodów do zawieszenia. Gdyby to zależało ode mnie, nauczycielka od dawna powinna być z powrotem w pracy". Pani minister nawiązała do wyjaśnienia udzielonego dziennikarzom przez nauczycielkę z Kielna, która zbagatelizowała cały incydent z wyrzuceniem krzyża do kosza, informując, że usunęła jedynie plastikową zabawkę, która jej zdaniem pochodziła z halloweenowego wystroju.

Zwróćmy uwagę na logikę, którą zaprezentowała minister Nowacka. Skoro nauczycielka zabrała głos w tej sprawie, to nie ma dalszych powodów do zawieszenia. Jak można w ogóle stawiać tak sprawę? Przecież nauczycielka była stroną w sporze, który wyłonił się między nią a częścią uczniów. Zrozumiałe, że przedstawiła wersję korzystną dla siebie.

W ten sam sposób informował o sprawie np. dziennik „Fakt": „Są nowe ustalenia w sprawie nauczycielki z Kielna, której zarzucano, że na lekcji wyrzuciła do kosza krzyż. Pedagożka tłumaczyła, że nie był to przedmiot kultu religijnego, tylko element stroju halloweenowego. Nauczyciela została zawieszona, ale teraz może już wracać do pracy". Czyli nauczycielkę niesłusznie oskarżono, ona wszystko wyjaśniła, krzyż był zabawką, więc została odwieszona i może wracać do pracy? W domyśle – skrzywdzona ofiara odzyskała honor.

Przypomnijmy wersję wydarzeń przedstawioną przez rodziców dzieci, które poczuły się zbulwersowane zachowaniem nauczycielki. Gdy rozbudowano szkołę, rada sołectwa zakupiła krzyże, które powieszono we wszystkich nowych salach. Według rodziców w klasie, w której uczyła pani od angielskiego, krzyż zniknął ze ściany. Dzieci wzięły od woźnej inny krzyż i go powiesiły. Ten znowu zniknął. Następnym razem dzieci powiesiły go w innej części sali i był to krzyż plastikowy, ale mający wygląd taki sam jak wcześniejsze krzyże drewniane. Dziennikarze powtarzali deprecjonujące słowa nauczycielki, że krzyżyk powieszono nad klatką chomika. Według rodziców było to nieuczciwe, bo krzyż powieszono wysoko pod sufitem, a to, że akurat znacznie niżej była klatka chomika, w żadnym stopniu go nie ośmieszało. I to właśnie ten krzyż nauczycielka zdjęła, stając na krześle, i wrzuciła do kosza, określając go w wulgarny sposób.

A co zrobiła większość mediów? Przyjęła jako rozstrzygającą sprawę wypowiedź nauczycielki, że była to jedynie halloweenowa zabawka. Teraz pani minister ogłasza, że słowa nauczycielki zamykają temat. Do dzieci ani do rodziców dziennikarze się nie pchają, bo wolą opowieść o pani pedagog skrzywdzonej przez klerykalną histerię. Jedynym elementem swoistego kompromisu jest to, że w sali, w której doszło do wyrzucenia plastikowego krzyża do kosza, zawisł nowy, drewniany krzyż. I na razie nikt go nie zdejmuje. ©℗

FOT. DANILO ARNONE / REUTERS / FORUM

SYCYLIA: NISCEMI NA KRAWĘDZI

– Czujemy się, jakbyśmy grali w jakimś filmie grozy – opowiadają mieszkańcy miasteczka Niscemi, którzy po przejściu cyklonu zobaczyli, że część domów i samochodów dosłownie zawisła nad osuwiskiem o długości 4 km. Na szczęście nikt nie zginął. Ewakuowano już jednak ponad 1,5 tys. osób. Zapadlisko z dnia na dzień się powiększa, a eksperci ostrzegają, że mogą zawalić się wszystkie domy w promieniu do 70 m od osuwiska. Władze wprowadziły w mieście stan wyjątkowy. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Otóż z pewnym opóźnieniem, ale jednak ujawniamy. Mianowicie doszło w końcu do spotkania prezydenta Karola Tadeusza z Viktorem Orbánem. Miało to miejsce przy okazji spędu bogaczy w szwajcarskim Davos. A dokładniej to panowie wymienili handszejki w kuluarach i ucięli niezbyt długą pogawędkę w lengłydżu. Co istotne, Orbán powiedział Karolowi, że nie ma pretensji, iż do tej pory unikał z nim spotkania. Nie tylko nie miał pretensji, lecz także stwierdził, że rozumie.

Apropos kierunku węgierskiego. Idą tam wybory, które w dodatku Viktor Orbán może przegrać. Jak słyszeliśmy, gdyby tak się stało, to nowym premierem wcale nie ma zostać lider opozycji Péter Magyar, ale całkiem inny polityk. A kto? Niejaki Zoltán Tarr, pastor kalwiński, który do roku 2024 pracował zresztą w jednym z ministerstw Orbána, ale się przewerbował na opozycyjność. Aktualnie europoseł. Jakby co, pamiętajcie nasze hasło to: „Tomorrow's News Today".

Z uwagą obserwujemy proces wychodzenia Szymona Hołowni z partii Polska 2050 Szymona Hołowni. Jest on niemal tak ciekawy jak swego czasu proces wychodzenia Ryszarda Petru z partii Nowoczesna Ryszarda Petru. Jeszcze bardziej ciekawi jesteśmy, jak zachowa się Szymon w opozycji. A jako że jego odejście ma pociągnąć za sobą wyjście z partii łącznie 15 posłów, proponujemy nazwę klubu Polska 2015.

Choć mało kto wierzy, że ewentualne wyjście Szymona z Szymona skończy się odwróceniem koalicji rządowej, to nasze wiewiórki podpowiadają: A co, jeśli nie będzie to jedyne wyjście z koalicji? Tak się bowiem składa, że od dawna krążą plotki o tym, jakoby Misiek Kamiński miał z Peezelu też trochę posłów wyciągnąć i pójść na swoje. To się w sumie składa: Misiek, Szymon, kolacje z szeregowym posłem Jarosławem Kaczyńskim. Inna sprawa, że nie takie rzeczy, które się składały, ostatecznie się nie złożyły.

Oczywiście losy ewentualnej przyszłej nowej konfiguracji (swoją drogą – jakaż to byłaby dobra nazwa dla jakiejś partii: Nowa Konfiguracja!) zależą od przychylności Waszyngtonu. Nad przychylnością Waszyngtonu pracują różni ludzie, zwykle niezależnie od siebie. Najczęściej dwóch: Adam Bielan i Mateusz Morawiecki, zwany przez nas ostatnio Ojcem Mateuszem. Relacje na temat owoców ich aktywności są różne.

Główny kłopot polega na tym (potwierdzają to nasze wiewiórki z rozlicznych kierunków – amerykańskich, dyplomatycznych i służb), że Waszyngton naprawdę nie życzy sobie w nowej koalicji miłośników gaśnic. Nie wiemy dlaczego, być może należałoby zapytać izraelskie wiewiórki w Izraelu, a już na pewno izraelskie wiewiórki w Ameryce.

Tymczasem brukselskie wiewiórki donoszą, że do Parlamentu Europejskiego wpłynął podobno wniosek o uchylenie immunitetu jednemu z polskich europosłów. Jakoś nas to nie zdziwiło, bo Koalicja 13 grudnia wysyła takie wnioski nieustannie. Ale okazało się, że jednak jest news, wniosek dotyczy podobno postępowego posła Kołalicji Łobywatelskiej Borysa Budki, znanego też jako Borysław. My uważamy, że to nieprawda. Gdyby naprawdę wpłynął, i naprawdę dotyczył Budki, to Borysław już by się sam zrzekł immunitetu, tak jak w Sejmie parę lat temu.

Wracamy do kraju. W Krakowie po raz kolejny objawił się sobowtór naszego ulubieńca, prezydenta grodu Kraka, niejakiego Miszalskiego. Nie tylko się objawił, lecz także nawet dał się sfilmować jako operator mopa w jednej z krakowskich knajp o charakterze rockowym. To, co sprawiło, że zidentyfikowaliśmy go jako sobowtóra, to fakt, że sprawiał wrażenie niedysponowanego. A przecież w przypadku Miszalskiego to nie może być prawda. Nieprawdaż?

Okazuje się, że sobowtóra ma nie tylko Miszalski, lecz także jego ludzie. Natrafiły na nich nasze wiewiórki. Otóż te sobowtóry ludzi Miszalskiego knuły, jak doprowadzić do tego, żeby zapowiadane referendum w sprawie odwołania prawdziwego Miszalskiego poniosło klęskę już na starcie. Wśród pomysłów pojawili się np. podstawieni wolontariusze, którzy mieliby zbierać podpisy za referendum, a następnie wrzucać je do kosza i powiadamiać o tym zaprzyjaźnione media.

Co ciekawe, pomysłów sobowtórów jest wiele, ale dla wszystkich kluczowym elementem są „zaprzyjaźnione media". Oto następny: wysyłanie na miasto całych platformerskich rodzin, które miałyby składać wielokrotnie podpisy u różnych wolontariuszy w różnych dniach i miejscach, a potem, oczywiście za pomocą zaprzyjaźnionych mediów, „demaskować" fałszerstwa. Następny koncept to składanie podpisów na fałszywe dane albo dane prawdziwe, lecz spisane z cmentarnych tablic. Doprawdy, pomysłowość sobowtórów jest niewyczerpana. ©℗

„SPROSTOWANIE
W materiale prasowym autorstwa Cezarego Gmyza i Piotra Gociek pt.: „dwaj panowie g", opublikowanym w dniu 4 stycznia 2026 r. w tygodniku DO RZECZY, podano nieprawdziwą informację, że uczestniczyłem w spotkaniu wigilijnym Koalicji Obywatelskiej w Strasburgu. W rzeczywistości nie uczestniczyłem w spotkaniu wigilijnym, ani w innym spotkaniu Koalicji Obywatelskiej w Strasburgu.

Bartosz Wieliński
Zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej".

eprasa.pl 4c1b1273a2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Żurek ze śledziem

Spektakularna kompromitacja ministra Żurka to kolejny dowód, że Polacy, którzy czerpią wiedzę z Internetu i z mediów etykietowanych przez władzę jako „prawicowe", żyją w innym świecie niż ci zamknięci w „bańce" TVN, TVP i Springera. Ci drudzy raczej nas nie czytają, ale gdyby jednak, wyjaśnię: Waldemar Żurek postanowił zaszpanować, jak to zwalcza piratów drogowych. Żeby było bardziej PR-owsko i nowocześnie, wywiadu, w którym ogłaszał, że kierowców łamiących przepisy będzie wsadzał „do więźnia", konfiskował im samochody itd., udzielał, kierując samochodem. W pewnym momencie wjechał na przejście dla pieszych, którym przechodziła właśnie kobieta. Minister miał obowiązek zatrzymać się i zaczekać, aż przejdzie, ale albo dlatego, że się zagadał, albo dlatego, że jako minister czuje się uprzywilejowany, przejechał jej przed nosem, co kamera niestety zarejestrowała. I dalej gadał, jakie to zło kierowcy nieprzestrzegający przepisów.

Ten popis Żurka „z drogi śledzie, minister jedzie!" stał się hitem Internetu. Natomiast w programach tzw. informacyjnych głównych telewizji znalazła się tylko zapowiedź zdecydowanej walki z piractwem drogowym.

Trochę popsuł robotę rządowym mediom poprzednik Żurka na urzędzie, Adam Bodnar, który nie powstrzymał się od skorzystania z okazji, by człowiekowi, przez którego został upokorzony, wbić szpilę. Wprawdzie w tonie łagodnym: „każdemu się może zdarzyć", ale jednak: „powinien przeprosić". Niemniej Bodnara w bańce zignorować trudno, choć przy okazji zrobił idiotę z prof. Zolla, który chwilę wcześniej pośpieszył z zapewnieniem, że dokonał jakiejś „dogłębnej analizy zapisu", która „wykazała", że minister Żurek żadnego przepisu nie złamał.

Strach tylko o tę panią, którą uchwyciła na pasach kamera nagrywająca Żurka. Skoro policja i sądy okazują się być na posyłki Owsiaka, to w wypadku Żurka policja może do niej przyjść nie o szóstej, a o czwartej rano, a sąd wlepić za atak na ministra nie pół roku więzienia, a rok. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zmierzch guru

Sędzia Marcin Czarciński skazał 28 stycznia emerytkę, panią Izabelę, na karę pół roku więzienia w zawieszeniu na rok za „nawoływanie do zbrodni" i „groźby karalne" pod adresem Jerzego Owsiaka. Zasądził też zakaz kontaktów i zbliżania się do pokrzywdzonego na odległość 50 metrów. Postępowanie toczyło się na wniosek pokrzywdzonego za wpis w mediach społecznościowych „giń człeku…". Wpis zawierał też sugestie nieuczciwego rozliczania datków na WOŚP i rzekomego posiadania przez Owsiaka willi za granicą.

Ale przedmiotem procesu karnego (nie cywilnego) i uzasadnieniem wyroku nie było zniesławienie. Sędzia uznał, że schorowana, 67-letnia emerytka istotnie zagraża życiu Owsiaka i jego rodzinie! Od początku w postępowaniu pojawiały się niespotykane elementy, m.in. zastosowanie środka zapobiegawczego w formie konieczności meldowania się pani Izabeli co drugi dzień na komisariacie i zakaz wypowiadania się publicznie o sprawie. Na szczęście pani Iza łamiąc zakaz, natychmiast poinformowała TV Republika, sprawa nabrała rozgłosu i dzięki temu uzyskała darmową pomoc prawną od Instytutu Ordo Iuris. W sieci jest nagranie rozprawy z lipca ubiegłego roku, gdzie Owsiak, uczestnicząc w rozprawie on-line, zażądał przeprosin i usłyszał je. Pani Iza jednak również poprosiła Owsiaka o przeprosiny za nazwanie jej i ogromnej grupy wyborców „złem i sepsą". To tak zirytowało szefa WOŚP, że odstąpił od polubownego zamknięcia sprawy.

Przywołałem te szczegóły, żeby pokazać sprawczą rolę Owsiaka i absurd całego postępowania. Zarówno sądowa zemsta potężnego medialnego guru na emerytce oraz rażąco nieproporcjonalny wyrok, jak i inne poprzednie procesy Owsiaka pogrążają powoli całą ideę WOŚP. Jest takie powiedzenie, że każdy ma nieograniczone prawo do autokompromitacji. Owsiak pełnymi garściami z tego korzysta. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zalecamy umiar

Europoseł z Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza przegrał, a właściwie nie wygrał procesu karnego z Jarosławem Kaczyńskim. Stop. Cóż, faktem jest, że Kaczyński w trakcie zeznań przed komisją śledczą w sprawie Pegasusa mówił o Brejzie w antysuperlatywach, tak było, sam słyszałem. Stop. Pan Brejza uznał zatem, że został znieważony, i razem z żoną (też Brejzą) udali się do sądu. Stop. Zapadł wyrok nieprawomocny, który jest dla pana Brejzy dobry i niedobry. Stop. Dobry, bo wbrew hejterom sąd stwierdził, że pana Brejzę, owszem, można znieważyć, ale niedobry, bo sąd uznał, że nie ma to większego znaczenia z powodu niskiej szkodliwości społecznej takiego czynu. Stop. Ponieważ wyrok jest nieprawomocny, zalecamy umiar.

Natomiast 67-letnia schorowana emerytka została skazana na więzienie, bo napisała do Jurka Owsiaka: „Giń, człeku". Stop. Emerytkę odwiedzili w domu policjanci, zabrali jej sprzęt komputerowy i telefon, a następnie prokuratura oskarżyła starszą panią zupełnie na serio o groźby karalne. Stop. Znalazł się sędzia, który uznał, że emerytka groziła panu w czerwonych spodniach, i skazał ją na więzienie oraz na zakaz zbliżania się do Owsiaka na mniej niż 50 metrów. Naprawdę. Stop. Ten wyrok także jest nieprawomocny, a z kronikarskiego obowiązku informujemy, że sędzia nazywa się Marcin Czarciński i nie można wykluczyć, że minister Waldemar Żurek ma do niego zaufanie. Stop.

Aaa. Pytają państwo, co tam u rzecznika rządu Adama Szłapki, czy także w mijającym tygodniu poraził nas słowem? Stop. Owszem, owszem. W czasie konferencji z ministrem Radosławem Sikorskim pomylił scenariusz z choreografią. Stop. Pilnując porządku, chciał powiedzieć: „Scenariusz mamy tradycyjny", a rzekł: „Choreografię mamy tradycyjną". Stop. Na chwilę dziennikarze zamarli, ale kiedy okazało się, że Sikorski jednak nie pląsa, uznano, że to takie tam klasyczne u Szłapki. Stop. Na usprawiedliwienie przyznać musimy, że w obu wyrazach występują samogłoski, więc łatwo o pomyłkę.

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk została zapytana, co powie kobietom, które boją się, że będą musiały rodzić na SOR-ach. Stop. Odpowiedź była nietuzinkowa: „Oczywiście, że takie obawy są bardzo niebezpieczne". Stop. Zaraz, zaraz, to obawy kobiet są niebezpieczne? Stop. A może niebezpieczna jest sytuacja, do której doprowadził rząd Tuska, a pani w tym rządzie przecież jest, i to od spraw rodziny... Stop. Mam poważne, niebezpieczne obawy, czy właściwa osoba jest na właściwym miejscu. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

LOGIKI NIE WYKRYTO

Pisarka Blanka Lipińska wielokrotnie publicznie deklarowała, że bycie matką nie jest dla niej. I gdyby tylko na tym poprzestała, ale nie, medialna atencja musi się zgadzać. Postanowiła zatem poobrażać trochę tych, którzy dzieci chcą. Wykorzystała do tego jedno z pytań zadanych przez instagramowego obserwatora: „Dlaczego ludzie chcą mieć dzieci?". – Nie mam pojęcia! Szczerze. Dla mnie to uwiązanie się w odpowiedzialności i obowiązkach na lata, a troska i „martwienie" to kwestia do końca życia. Przez pierwsze x lat ten zależny od ciebie człowiek ciągle coś chce, potrzebuje, oczekuje... nie, nie rozumiem, po co to komu – stwierdziła. – Żeby rasa ludzka przetrwała? A po co? My jesteśmy największymi szkodnikami tego świata, które wyłącznie go niszczą! Bo jakby moja mama tak myślała, to by mnie nie było? Jakby mnie nie było, to bym nie wiedziała, że mnie nie ma, więc co to za różnica? Nie ma dla mnie żadnego logicznego uzasadnienia w chęci posiadania potomstwa – kontynuowała celebrytka. Nieco później Lipińska udostępniła wiadomość, którą otrzymała od fanki. Kobieta miała stwierdzić, że bardzo żałuje posiadania dzieci. „Dziękuję Ci, że poruszasz ten temat, bo może komuś to wszystko otworzy oczy, nie popełni błędu i będzie mógł cieszyć się życiem tak jak Ty. Bo ja niestety nie będę" – przekazała w wiadomości. Według Blanki nie był to wyjątek. „Wiecie, ile dostałam wiadomości od matek, że żałują, że mają dzieci? SETKI! Serio! Pełne rozczarowania, zawodu i świadomości nieodwracalnego..." – podsumowała. Blania twierdzi, że w chęci posiadania potomstwa nie ma żadnej logiki. A w wywodach pisarki jest? Śmiem wątpić.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

NOBEL NA JUŻ

Wciąż nie opadł kurz po 34. finale WOŚP. Na gorąco emocje związane z imprezą komentowała w TVP Info prezenterka Agata Młynarska, która od samego początku wspiera Jerzego Owsiaka. – Jestem wzruszona i powiem szczerze, że podjeżdżając na Woronicza, widziałam, że wszystko wraca do normy, czyli bycia ponad podziałami – przyznała prezenterka, odnosząc się do tego, że TVP po zmianie władzy znowu angażuje się w Wielką Orkiestrę. – Pomoc, którą daje WOŚP, nie ma koloru skóry, wyznania, światopoglądu ani religii, jest ponad podziałami – podkreślała. Młynarska wspomniała początki Orkiestry. – Pamiętam, że to, co się wydarzyło podczas pierwszej Orkiestry, przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. Ludzie taranowali wejście do budynku F Telewizji Polskiej, aby wesprzeć zbiórkę – opowiadała. Na pytanie, czy Jerzemu Owsiakowi i WOŚP należy się pokojowy Nobel, Agata Młynarska odparła, że „żyjąc w czasach, w których prezydent Trump ubiega się o Nagrodę Nobla, a potem mówi, że ta nagroda do niczego nie jest potrzebna, też należy zastanowić się nad sensem Pokojowej Nagrody Nobla". – Myślę, że Jurek już ma taką Nagrodę Nobla, naszą, od nas wszystkich za to, że chociażby symbolicznie stworzył ten nieprawdopodobny, niepowtarzalny kolor dla Polski. Kolor radości, takiego dobra i skutecznego działania. Że właśnie w Orkiestrze powstał Pokojowy Patrol, że spotyka się z niesłychaną zwrotną energią ludzi, z entuzjazmem. Wydaje mi się, że tu nie o nagrody chodzi. Ja osobiście bym na pewno Jurkowi taką nagrodę dała, gdybym mogła, to znaczy Orkiestrze. Ale wydaje mi się, że czas Pokojowej Nagrody Nobla chyba zaczyna mijać – podsumowała Młynarska. Skoro Nobel stracił swoje znaczenie, to może ustanówmy nową nagrodę na cześć Owsiaka? Na przykład Nagroda Jurasa?

NAWROCKI ZNOWU ZAWIÓDŁ

Już teraz wiadomo, kto nie miałby szans nawet na nominację – Karol Nawrocki. Prezydent miał czelność nie wziąć udziału w WOŚP! Nie umknęło to uwadze jednego z najzagorzalszych krytyków Nawrockiego, czyli Joanny Szczepkowskiej. „Dobry wieczór. Dobry, bo znowu jak co roku i jak zawsze dzięki Jurkowi Owsiakowi zrobiliśmy coś, żeby było lepiej. Jak co roku daliśmy szansę chorym dzieciom, w szpitalach pojawi się sprzęt opatrzony serduszkiem. Pierwszy raz natomiast ktoś, kto zasiada na stanowisku prezydenta Polski, nie wziął udziału, nie przykleił serca, nie dał znaku pomocy. Czy można się dziwić? Nie można, bo to pasuje idealnie do charakteru, a raczej braku charakteru faceta, który się boi nawet stanąć w obronie honoru armii" – oburzyła się aktorka na Facebooku. „Piszę o tym w tak pięknym dniu, choć może nie powinnam dzisiaj nawet wspominać prezydenta. Piszę o tym jednak, bo może ktoś z czytających, którzy zachowują jeszcze wiarę w tego pana, zrozumie, że nawet w tak symbolicznym dniu solidarności ponad podziałami odcina się oficjalnie od tego, co piękne i nasze, już przez trzydzieści cztery lata. Chowa się w niszę tej części społeczeństwa, która woli podejrzewać zło, niż się dołożyć do dobra. To jest zachowanie symboliczne. Odpowiedź kancelarii jest taka, że Nawrocki... płaci na Caritas" – kpiła celebrytka zaangażowana. „No więc znam takich, którzy płacą na Caritas, co im nie przeszkadza wpłacać na Orkiestrę. Co ma jedno do drugiego? Ludzie wspomagają, jak mogą, wiele charytatywnych inicjatyw. Czy wobec tego czują się zwolnieni z tego, co jest już naszym dobrem narodowym, wymiernym i łączącym?" – pytała z nieskrywaną niechęcią. Wpisać WOŚP do konstytucji, natychmiast! ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Polakom to nigdy nie dogodzisz. Choćby premier jednym telefonem załatwiał miliardowe wsparcie od międzynarodowych instytucji, to i tak znajdą się niezadowoleni, którzy uznają, iż sytuacja w tym kraju zmierza w złym kierunku.

Widzieliśmy ostatnio wyniki badania, według którego aż 48 proc. mieszkańców tego kraju boi się, iż będzie gorzej. Co ciekawe, 30 proc. wierzy, iż będzie lepiej, a jeśli weźmiemy pod uwagę, że PO miażdżąco, powtórzmy to: M I A Ż D Ż Ą C O, prowadzi w sondażach nad pisem, wynika, iż wśród tych, którzy się obawiają, mamy także wyborców Koalicji Obywatelskiej.

Kochani, jest to fantastyczna wiadomość i wielki sukces rządu oraz pana premiera. No bo spójrzcie sami, skoro popierają go nawet pesymiści, to oznacza, iż udaje się przełamywać ten polski mindset polegający na ciągłym zamartwianiu się, marudzeniu, widzeniu wszystkiego w czarnych barwach i głosowaniu na pis, iżby tylko mniejszości, kobiety i somsiad mieli przynajmniej tak samo źle, a pewnie jeszcze i gorzej.

Trzeba było naprawdę porządnego przywódcy, który umie skupić wokół siebie naród, tzn. pardon, społeczeństwo, pięknie różniące się między sobą. I chociaż niektóre inne wyniki tego badania mogą trochę martwić, iż tylko 13 proc. ankietowanych ocenia sytuację polityczną jako dobrą – zapewne z powodu działań opozycji i Kaczafiego, to jednak 40 proc. nie ma zdania. A brak posiadania zdania, a więc pozostawanie neutralnym, też jest wartością, którą należało zbudować i z której należy się cieszyć! xD

Słyszeliście, jaki zamach na demokrację szykuje się w Krakowie? Otósh środowiska powyborczych przegrywów chcą zorganizować referendum, w którym mieszkańcy miasta decydowaliby o odwołaniu prezydenta Aleksandra Miszalskiego.

Oczywiście ktoś może podnieść argument, iż referendum to święto demokracji, iż to narzędzie, za pomocą którego obywatele mogą się bezpośrednio

wypowiedzieć na dany temat, iż mogą zadecydować o zmianach we władzach, że to super, iż się organizują, bo to znak, że im zależy, iż nie są bierni, chce im się, pokazują troskę i dbają o dobro wspólne.

Otósh może i tak, ale jednak nie. Referendum może też być narzędziem walki politycznej wymierzonej w nielubianego polityka. A jak widać, jeśli Kraków prezydenta Miszalskiego nie lubi, to najwyraźniej ma kija w doopie i nie dorósł do demokracji.

Przypomnijmy, iż wcześniej przez ponad 20 lat prezydentem Krakowa był Jacek Majchrowski, starszy nobliwy profesor, nieznany z żadnych ekscesów czy luźniejszego podejścia do życia. A prezydent Miszalski a to zatańczy na dachu budynku, a to wyciekną jego stare zdjęcia z ośmioma gwiazdkami na czole – widać, iż młody człowiek, dowcipny, energiczny. Nie dorósł do niego Kraków, nie zrozumiał, a teraz chce odwołać.

No ale wiecie, jak jest. Kraków to może jeszcze nie jest geograficzne Podkarpacie, które – jak wiadomo – zaczyna się zaraz na wschód od miasta, ale mentalnie już chyba tak. Niech was nie zmylą wyniki wyborów – demokracja jest tu ratowana przez studentów i młode osoby zamieszkujące ten wielki ośrodek, jednak wciąż mamy tu problem z tzw. Krakówkiem, co wyraźnie widać po próbach zorganizowania referendum.

Podsumowując – referendum jest narzędziem, które może być wykorzystane w sposób dobry albo zły. Odwołanie prezydenta Krakowa jest pomysłem złym. Demokracja też jako system może być wykorzystywana w sposób dobry albo zły. Musimy zastanowić się, jak wykluczyć z demokratycznych procesów tych, którzy chcą je wykorzystywać do niecnych celów i robienia polityki, iż – jak wiadomo – robienie polityki jest w demokracji najgorsze. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

KSeF

Andrzej, KSeF nie działa!
Donald, ale jak nie działa, jak działa.

No jak: działa?! Ty sobie popatrz w Internet, takim mięchem w nas rzucają od rana, że nawet Cienkowska takich słów nie zna.
Coś tam widziałem, dzwoniłem do informatyków. Oni twierdzą, że u nich działa.

Ty weź coś szybko zrób, bo nas zjedzą!
Dobra: ja wydam rozporządzenie, że chwilowo wracamy do papierowych faktur. A ty zwołasz konferencję i powiesz, że to ruscy i Putin.

A KSeF kiedy znowu włączymy?
Po 2027. Ale to już nie my. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Podobno do Rady Pokoju Donalda Trumpa ma dołączyć województwo podkarpackie".

BARTOSZ WIELIŃSKI, *zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", na X*

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

„LODOWE TSUNAMI" NA POLSKIEJ PLAŻY, CZYLI TOROSY NOWĄ ATRAKCJĄ W MIKOSZEWIE

Tłumy turystów ruszyły w ubiegłym tygodniu do niewielkiego Mikoszewa nad Zatoką Gdańską, aby podziwiać na plaży spektakularne lodowe rzeźby i olbrzymie lodowe formacje, które miejscami były wyższe od dorosłego człowieka (ich wysokość dochodziła nawet do trzech metrów). To zjawisko nosi nazwę torosów. Lodowe formacje powstają od lat z kier lodowych, które najpierw są wypychane przez silny wiatr i prądy morskie na brzeg plaży. Następnie dochodzi do ich spiętrzenia. Stąd czasem mówi się o „lodowym tsunami". Efekt: bajkowy, niemal filmowy zimowy krajobraz i media społecznościowe zapełnione zimowymi relacjami znad polskiego Bałtyku. ***(jap)*** © ℗

epressi.pl 4c1b1273a2

Sojusz tronu z kapitałem

Wojciech Golonka

Obserwowana obecnie symbioza między władzą a kapitałem nie jest w USA wyjątkiem, a jedynie jeszcze bardziej się uwidoczniła, kiedy to jeden z przedstawicieli rodzimej oligarchii przejął ponownie stery państwa, licznie dopuszczając do władzy swych sprawdzonych i zamożnych przyjaciół

W ostatnich napięciach geopolitycznych – wśród wielkich emocji wzbudzanych przez zmierzch obecnego ładu międzynarodowego – najbardziej rzucają się w oczy wątki militarne i surowcowe: ropa w Wenezueli, metale rzadkie na Grenlandii. Ale za tym wszystkim, obok oczywistej rywalizacji mocarstw, stoją konkretne pieniądze i konkretni ludzie. Kiedy Miriam Adelson wpłaca 100 mln dol. na kampanię Donalda Trumpa – ten idzie na całość na rzecz Izraela. Kiedy amerykańscy miliarderzy inwestują w surowce Grenlandii – prezydent USA grozi jej aneksją. A w Białym Domu padł rekord – ponad 10 miliarderów steruje teraz Ameryką, formalnie wciąż republiką, w praktyce: sojuszem tronu z kapitałem.

W pewnym sensie koligacja wielkiego kapitału i władzy jest zjawiskiem starym jak świat imperiów, potrzebnym do podtrzymania fundamentów mocarstw, choć

eprasa.pl 4c1b1273a2

Nie ma wątpliwości, że to przekazanym przez izraelsko-amerykańską miliarderkę Miriam Adelson 100 mln dol. na walkę o Biały Dom w 2024 r. zawdzięczamy obecną proizraelską politykę Donalda Trumpa FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

nazywany po imieniu – oligarchią – nie budzi najlepszych skojarzeń. W zachodnich kręgach preferuje się zatem oględne określenia typu partnerstwo publiczno-prywatne, ale w kwestii, która nas tu interesuje, właściwsze byłoby nawet odwrócenie członów, do tego stopnia można czasem odnieść wrażenie, że w przypadku Ameryki to prywatny kapitał de facto posiada i kupuje wręcz władzę. W rzeczy samej liberalizacja przepisów finansowania kampanii wyborczych w USA, na skutek dwóch orzeczeń Sądu Najwyższego z lat 2010., radykalnie zwiększyła napływ wielkiego kapitału w amerykańskich wyborach, sprawiając wrażenie, że te wybory w zasadzie można kupić, byle dysponować odpowiednio sutymi środkami. Wprawdzie powiązania między polityką a wielkim biznesem nie zawsze rzucają się w oczy, ale są rzeczywiste: kapitał już to po cichu rozkwita w cieniu polityki, już to mniej lub bardziej jawnie podpiera je władztwo. Jakże wymownym symbolem tej osobliwej symbiozy była bezprecedensowa obecność największych miliarderów naszego globu, a zarazem największych potentatów z branży IT i pokrewnych technologii, na inauguracji prezydentury Donalda Trumpa. Śmietanka amerykańskiej oligarchii informatycznej najwyraźniej zobowiązała się tym samym do niewykorzystywania możliwości wielkiego kapitału technologicznego w walce demokratów przeciw administracji Trumpa, jak to miało miejsce za jego pierwszej prezydentury i po roku 2020, a obecny prezydent to akurat człowiek, dla którego słowo „wdzięczność" nie jest obojętne.

KAPITAŁ FIRST

Amerykańska polityka ma przy tym tę właściwość, że wciąż w dużej mierze spełniane są w niej ekonomiczno-społeczne obietnice wyborcze, choć istnieją domeny, gdzie zapewnienia składane amerykańskim wyborcom nie mają aż tak dużego przełożenia na politykę USA. Do takich należy akurat domena polityki zagranicznej, gdzie o wiele bardziej liczą się promesy składane partykularnym darczyńcom. Bodajże najbardziej jaskrawym tego przykładem – wszak sam Donald Trump ochoczo i z dumą o tym rozpowiada – są akty wdzięczności obecnego prezydenta wobec izraelsko-amerykańskiej miliarderki Miriam Adelson w ramach prowadzonej przez Biały Dom skrajnie proizraelskiej polityki. Akty wdzięczności zapewne proporcjonalne do hojności darczyńców: jeśli 20 mln dol. przekazane przez panią Adelson, wdowę po magnacie gier hazardowych, na kampanię z 2016 r. zaowocowało przeniesieniem przez Trumpa ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy, to raczej nie ma wątpliwości, że przekazanym przez nią 100 mln dol. na walkę o Biały Dom w 2024 r. zawdzięczamy obecną proizraelską politykę Trumpa wręcz na sterydach. Sama Miriam Adelson jest chyba zresztą wielce zadowolona ze swych „inwestycji", ponieważ całkiem na poważnie zaproponowała w grudniu Trumpowi 250 mln dol. na kolejną kampanię wyborczą, jeśli zamierzałby ubiegać się o trzecią kadencję (a zleciła wcześniej analizę prawną takiej możliwości). W każdym razie skoro działalność amerykańskich prezydentów naznaczona jest tego typu uwarunkowaniami, to refleksja nad oligarchicznym charakterem amerykańskiego imperium jest rzeczą naturalną.

Również posunięcia wojskowe sugerują wprost, że wiodąca na świecie potęga militarna USA jest de facto (co niekoniecznie jest szokujące) zbrojnym ramieniem zabezpieczającym amerykański kapitał na świecie, ale i torującym mu w razie potrzeby niczym taran drogę (co już siłą rzeczy budzi kontrowersje i zrozumiałą krytykę). Takie właśnie odniosło się wrażenie w skumulowanym blitzkriegu projekcji amerykańskiej siły, kiedy po pojmaniu Nicolása Maduro Donald Trump bez ogródek dał do zrozumienia, że wprawdzie narkotyki narkotykami (za ich przemyt do USA miał odpowiadać Maduro), ale najważniejsze to, że wenezuelska ropa powróciła we właściwe, czyli amerykańskie, ręce.

Co więcej, upojony spektakularnym sukcesem operacyjnym swej armii amerykański prezydent wykorzystał tę okoliczność do oznajmienia swej bezapelacyjnej intencji zajęcia Grenlandii, w razie potrzeby z użyciem siły włącznie. Wprawdzie od tego czasu Trump, podczas wystąpienia w Davos, zdążył się wycofać ze swej groźby militarnej aneksji wyspy (co być może było jedynie brutalną strategią negocjacji), jednakże wcześniejsze wymachiwanie przez niego szablą zbiegło się akurat w czasie z informacją o amerykańskich miliarderach, którzy w ostatnich latach zdążyli dokonać strategicznych inwestycji w surowce tej wyspy (w tym w metale rzadkie), a wśród nich niejacy Bill Gates, Jeff Bezos i Ronald Lauder… W dodatku to tak naprawdę jeden z nich, Ronald Lauder, spadkobierca fortuny imperium farmaceutycznego

eprasa.pl 4c1b1273a2

Estée Lauder, od 2007 r. przewodniczący Światowego Kongresu Żydów, miał podsunąć Trumpowi pomysł aneksji, który wypowiedziany na głos wywołał jeden z największych kryzysów we współpracy zachodnich państw po 1989 r., z widmem załamania porządku międzynarodowego włącznie. W tym wybuchowym kontekście trudno nie odnieść wrażenia, że potęga amerykańska w razie potrzeby bez najmniejszych skrupułów dokona interwencji zbrojnej tam, gdzie zachodzą interesy amerykańskich oligarchów, nie tylko chroniąc już dokonane inwestycje, lecz także zabezpieczając te kolejne.

KLUB MILIARDERÓW

Nie tyle jednak chodzi mi o moralne roztrząsanie tych wszystkich wątków, łatwo budzących krytykę, ile o pewną syntezę całości, której obraz, chcąc nie chcąc, potwierdza obserwowalny skądinąd fakt: Ameryka z republiki w teorii kontrolowanej przez obywateli stała się na przestrzeni lat tym, czym jest – imperium naznaczonym przez establishment partyjno-oligarchiczny, niewolny zresztą od podziałów, o roli służb specjalnych nie wspominając. Sam Donald Trump ze swym niezwykle silnym rodowodem przedsiębiorcy dewelopera, który mimo zdobytego politycznego doświadczenia nadal w swym modelu rządzenia instynktownie kieruje się prawidłami biznesu, jest w pewnym sensie personifikacją tego zjawiska, choć błędem byłoby twierdzenie, że on sam je zapoczątkował; jest on raczej doskonałym zwieńczeniem dłuższego procesu, spotykanego też w analogicznych okresach historycznych. W jego osobie bowiem polityk i biznesmen zlewa się w jedno, a także osobiste koneksje zlewają się w jedno, wielu przyjaciół biznesmenów staje się politykami, dyplomatami, rodząc pytanie, czy sama polityka w ostateczności nie oznacza biznesowej inwestycji.

Z punktu widzenia przeglądu kadr udział miliarderów lub multimilionerów w administracji i polityce Donalda Trumpa jest wprost rekordowy. Prezydent, którego osobisty majątek przekracza 5 mld dol., zasilił swoją administrację wieloma krezusami (łącznie ponad 10 miliarderami!), z najbogatszym człowiekiem globu na czele. Wprawdzie Elon Musk, po błyskotliwym półroczu na czele departamentu do spraw wydajności rządu (DOGE), burzliwie rozstał się z Trumpem, którego to wcześniej zdawał się być nierozłączonym kompanem, jednak temperatura sporu między obu panami stopniowo opadła, wracając do poziomu życzliwości. Musk pozostaje beneficjentem kolejnych rządowych kontraktów, a mimo swej wcześniejszej krytyki dziury budżetowej amerykańskiej administracji i polityki celnej Trumpa, mimo nawet głośnych zapowiedzi wypromowania i wprowadzenia do Kongresu odrębnej, ponadpartyjnej siły politycznej, wciąż pozostaje hojnym darczyńcą republikanów, łożąc obecnie z własnego majątku na obronę ich większości w Izbie Reprezentantów w nadchodzących wyborach uzupełniających.

Liczby zresztą nie kłamią: już za pierwszej kadencji Trumpa Musk powiększył swoją współpracę z rządem o kontrakty na kolejne kilkanaście miliardów dolarów, a tempo to nie zwalnia po pierwszym roku jego drugiej kadencji. Musk zarabia bowiem nadal na swych usługach kosmicznych i internetowych (SpaceX i Starlink), a także wraz z innymi dostawcami (Open AI, Google) buduje dla administracji rządowej i agencji federalnych, a w szczególności dla departamentu wojny, narzędzia z zakresu sztucznej inteligencji, zarówno wspomagające ogólne funkcjonowanie, jak i mające sprostać krytycznym wyzwaniom z bezpieczeństwa narodowego.

Idąc dalej, podobnie jak Trump Howard Lutnick to nowojorczyk i były demokrata, o majątku ponad 3,5 mld dol., który w atakach na World Trade Center stracił przeszło 650 pracowników. Jako sekretarz do spraw handlu cechujący się silną determinacją był on jednym z głównych wykonawców globalnej ofensywy celnej Trumpa, mającej zrównoważyć bilans wymiany handlowej USA, przywrócić konkurencyjność amerykańskiego przemysłu oraz zasilić budżet pobieranymi cłami. Linda McMahon, kolejna miliarderka z fortuną ponad 3 mld dol., które zarobiła głównie w przemyśle rozrywkowym w domenie wrestlingu (rzecz bliska samemu Trumpowi), zajmuje się likwidacją departamentu do spraw edukacji na poziomie federalnym, mającą oddać w tym zakresie pełną swobodę jurysdykcjom stanowym.

Jednakże najbardziej obecnie wysunięty na świecznik jest Steven Witkoff, który wraz z Jaredem Kushnerem, zięciem Trumpa, od kilku miesięcy odgrywa pierwszoplanową rolę w jego polityce zagranicznej, paralelnie poniekąd do sekretarza stanu, Marca Rubia. Witkoff to pierwotnie stary, dobry, nowojorski znajomy Trumpa, również deweloper, o majątku ok. 2 mld dol. W przeciwieństwie do Kushnera, który udzielał się aktywnie w pierwszej administracji Trumpa, by następnie, śladami ojca i teścia, rozwinąć skrzydła na rynku nieruchomości i finansów, sam Witkoff był dotychczas pozbawiony jakiegokolwiek doświadczenia dyplomatycznego (być może właśnie dlatego po kilku miesiącach samodzielnej aktywności wsparł go Kushner, skądinąd też miliarder). Otóż Witkoff, oddelegowany w randzie specjalnego wysłannika prezydenta USA do problemów najwyższej wagi – chodzi o wojnę na Ukrainie, a także o wojnę w Gazie czy ewentualną konfrontację z Iranem – najwyraźniej podchodzi do tych kwestii według schematów budowania porozumień właściwych rynkowi nieruchomości, złożonych transakcji powiązanych, kompensat etc. Nie ma wątpliwości, że jego obecna funkcja, gdzie spotyka się z największymi regionalnymi decydentami, mogłaby umożliwić mu w przyszłości biznesowe skonsumowanie benefitów w postaci obecnie budowanej sieci wpływów i gigantycznych planów odbudowy. Krytycy dostrzegają tu zresztą realne niebezpieczeństwo – tych inwestorów z branży nieruchomości, mających przełożenie na decyzje polityczne najwyższej wagi, zbyt łatwo skusić spektakularnymi inwestycjami deweloperskimi – taki był przecież wydźwięk pierwotnego planu Trumpa dla odbudowy Gazy, zakładającego wysiedlenie jej mieszkańców… a plan ten właśnie nabiera tempa, tyle że oficjalnie już bez szokujących elementów wysiedlenia.

Ten wątek umknął uwadze większości komentatorów przy okazji inauguracji w Davos organizowanej przez Trumpa osobliwej Rady Pokoju, kiedy to Jared Kushner, w obecności swego teścia, przedstawił plany „Nowej Gazy": Gazy pokrytej drapaczami chmur, stanowiącej nowoczesne nabrzeże turystyczne, hub transportowy i zagłębie infrastruktury energetyczno-cyfrowej; Gazy zwiastującej nowoczesną, wolną od terroryzmu i wo-

eprasa.pl 4c1b1273a2

jen, prosperującą w miejsca pracy i usługi idylliczną Palestynę… do wzniesienia z gruzów przez wyjątkowo sprawnych deweloperów (Kushner twierdził, że w realiach Bliskiego Wschodu tego typu realizacje to okres tylko dwóch–trzech lat!), w oparciu o nakłady prywatnych inwestorów z całego świata, których zaufanie należy obecnie pozyskać. Przy okazji działań na rzecz rozejmu w Gazie Witkoff i Kushner nawet przekonująco bronili się przed zarzutem o brak transparentności, argumentując, że tak naprawdę to ich biznesowe kontakty na Bliskim Wschodzie umożliwiły im wzbudzenie zaufania i osiągnięcie porozumienia między stronami tam, gdzie tradycyjna dyplomacja zawiodła lub została nawet wykorzystana do zmylenia przeciwnika (atak Izraela na dyplomatów Hamasu w Katarze). Tym samym potwierdzili jednak wspomniane już zjawisko zlewania się polityki i biznesu w jedno.

hentom, o czym Feineberg wie doskonale, inwestując w przeszłości w prywatne firmy wojskowe, co przy okazji jego nominacji wzbudziło największe zastrzeżenia co do możliwej kolizji interesów.

NOWA ODSŁONA STAREGO ZJAWISKA

To zestawienie głównych, choć niejedynych krezusów z administracji Donalda Trumpa (kilkoro zaprzyjaźnionych miliarderów otrzymało od niego także prestiżowe stanowiska ambasadorów USA na świecie) uzupełnia szerokie spektrum inwestorów w jakiś sposób kojarzonych z kręgami władzy. Jeśli – tradycyjnie rzecz ujmując – republikanie byli kojarzeni z gigantami naftowymi, o czym przypomniał niedawny epizod wenezuelski, podczas którego Trump wzywał na pomoc takie firmy jak Exxon czy Chevron (bez większego entuzjazmu z ich strony), to o wiele większe znaczenie zdają się dziś

Ameryka z republiki w teorii kontrolowanej przez obywateli stała się na przestrzeni lat imperium naznaczonym przez establishment partyjno-oligarchiczny, niewolny zresztą od podziałów

Kończąc przegląd administracji Trumpa, warto wspomnieć, że obecny szef NASA, Jared Isaacman, to doświadczony pilot kosmiczny, a zarazem kolejny miliarder (majątek wart ok. 1,5 mld dol.), bliski znajomy Elona Muska. W podobnym przedziale zasobności sytuuje się Kelly Loeffler, która przewodziła amerykańskiej delegacji na inaugurację prezydentury Karola Nawrockiego, a która to w amerykańskiej administracji zajmuje się na co dzień działaniami na rzeczy małych firm. Znacznie większy jest natomiast majątek jednej z kluczowych postaci w Białym Domu, w Polsce zupełnie niepoznanej, Stephena Feinberga, w wysokości ok. 6 mld dol. Został on mianowany zastępcą sekretarza do spraw obrony, budząc nawet, w przeciwieństwie do swego przełożonego Pete'a Hegsetha, ponadpartyjne uznanie, jeśli chodzi o kompetencje. W praktyce to on zarządza na co dzień Pentagonem i nadzoruje jego budżet, studnię bez dna zdolną przychylić nieba wszelkiej maści kontra-

odgrywać inwestorzy nowych technologii, wśród których najczęściej rzuca się w oczy miliarder niemieckiego pochodzenia Peter Thiel, współzałożyciel Paypala, funduszu inwestycyjnego Founders Fund, a także budzącej kontrowersje firmy Palantir Technologies. Palantir jest bowiem niezwykle mocnym, śmiercionośnym narzędziem analitycznym, umożliwiającym wykrywanie potencjalnych zagrożeń kryminalnych, terrorystycznych, koordynację celów etc., coś, co równie dobrze mogłoby się przerodzić w narzędzie totalnej inwigilacji. Sam Thiel jest traktowany jako mentor kariery politycznej obecnego wiceprezydenta USA J.D. Vance'a.

Wielki kapitał to także media – i te tradycyjne, i te społecznościowe. Na gruncie wielkich mediów Trump korzysta z wyrachowanej przychylności telewizji Fox News, choć posiadająca ją rodzina Murdochów do samego Trumpa entuzjazmem nie pała. Znacznie cieplejsze stosunki łączą natomiast prezydenta z innym miliarderem, Larrym Ellisonem, założycielem Skydance Media, która w zeszłym roku dokonała fuzji z Paramount Global. Nowo powstała spółka, zarządzona przez syna Ellisona, Davida, miała w planach przejęcie Warner Bros. Discovery, pod którą podlega m.in. niezwykle wroga Trumpowi telewizja CNN (w Polsce zaś TVN), natomiast największe szanse na przejęcie jej ma obecnie Netflix (termin składania ofert odroczono do 20 lutego). Sam Larry Ellison od stycznia ma natomiast znaczne przełożenie na amerykańską część TikToka, wyodrębnioną na skutek groźby usunięcia chińskiej aplikacji z USA. Jego firma informatyczna Oracle zapewnia bowiem dlań, oprócz dotychczasowych świadczeń technologicznych i bezpieczeństwa, nadzór nad treningiem algorytmów rekomendacji aplikacji.

O inwestycjach samego rodu Trumpów w cieniu drugiej prezydentury nestora rodu, uzupełniających ten uogólniony obraz całości, pisałem na łamach „Do Rzeczy" w ubiegłym roku (nr 45/2025). W zależności od tego, jakich odcieni by użyć, co podkreślić, ten obraz symbiozy polityczno-finansowej może wywoływać krytykę lub przyjęcie do wiadomości niebudzących większego zdziwienia „naturalnych" procesów. Statystyki sugerują jednak, że wielki amerykański kapitał potrafił, na przestrzeni dekad, powiększać się bardziej pod rządami demokratów niż republikanów, z różnych powodów, choć w przypadku prezydentury Joe Bidena niemały wpływ miały tu galopująca inflacja oraz zasilenie rynku przez państwo dotacjami w dobie COVID-19. W każdym razie obecnie obserwowana symbioza między władzą a kapitałem nie jest w USA wyjątkiem, a jedynie jeszcze bardziej się uwidoczniła, kiedy to jeden z przedstawicieli rodzimej oligarchii przejął ponownie stery państwa, licznie dopuszczając do władzy swych sprawdzonych, co równie zamożnych przyjaciół. I choć sama oligarchizacja życia politycznego jest ogólnie oznaką upadku republikanizmu, to w tym zjawisku jedna rzecz pozostaje godna podziwu: polityka Trumpa przyczynia się do wzmacniania pozycji amerykańskiego kapitału w dobie globalnej rywalizacji, co – choć w oligarchicznej i imperialnej formie – wciąż stanowi przejaw patriotyzmu gospodarczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Mineralny strateg Trumpa

Jakub Wozinski

W prezesie Światowego Kongresu Żydów Donald Trump ma nie tylko przyjaciela z młodzieńczych lat, lecz także stratega podsuwającego mu ambitne cele do realizacji na całym globie

Pomimo podeszłego wieku Ronald Lauder wydaje się obecnie aktywny, tak jak jeszcze nigdy dotąd. Na zdjęciu podczas przemówienia w Muzeum Auschwitz-Birkenau, 27 stycznia 2025 r. FOT. DOMINIKA ZARZYCKA/ZUMA PRESS/FORUM

Pomimo podeszłego wieku Ronald Lauder wydaje się obecnie aktywny tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Znaczny wpływ na to ma zapewne fakt, że dopiero rok temu, gdy skończył 81 lat, stał się wreszcie głównym dziedzicem fortuny rodu Lauderów.

W ostatnim czasie o prezesie Światowego Kongresu Żydów (WJC) zrobiło się głośno za sprawą dwóch inwestycji. Pierwsza z nich realizowana jest na ogarniętej wojną Ukrainie. Ronald Lauder już od pierwszych miesięcy wojny był rzecznikiem przejęcia przez amerykański i żydowski kapitał kontroli nad ukraińskimi zasobami mineralnymi, w czym pomóc miały mu utrzymywane od lat bliskie związki z organizacjami żydowskimi i prominentnymi politykami żydowskiego pochodzenia znad Dniepru.

Według medialnych doniesień szef WJC, poprzez firmę TechMet, już w 2022 r. zaangażował się w eksploatację ukraińskich złóż litu. Jego aktywność wzrosła następnie tuż po zwycięstwie Trumpa w wyborach i choć osławiony „mineralny deal", którego domagał się amerykański prezydent, nie doszedł jeszcze w pełni do skutku, to rząd Ukrainy rozstrzygnął niedawno bardzo ważny przetarg na eksploatację litu. Zwyciężyła w nim amerykańska spółka The Rock Holdings, w której Ronald Lauder jest jednym z najważniejszych inwestorów.

Lokowanie kapitału w kraju, który jest ogarnięty wojną, może się wydawać ryzykowne, lecz Lauder najwidoczniej lubi inwestycje przeprowadzane w ekstremalnych warunkach. Najlepiej świadczy o tym fakt, że niedawno ulokował swoje środki w spółkach działających daleko za kołem podbiegunowym.

Według relacji kilku osób, w tym byłego doradcy do spraw bezpieczeństwa Johna Boltona, to właśnie prezes Światowego Kongresu Żydów miał podrzucić Trumpowi w czasie jego pierwszej kadencji pomysł zakupu (czy też przejęcia) Grenlandii. Lauder zaoferował nawet, że weźmie na siebie ciężar przeprowadzenia wszelkich niezbędnych negocjacji politycznych. Inicjatywa ta wypłynęła na światło dzienne w 2019 r., lecz nie została zrealizowana ze względu na porażkę wyborczą. Po powtórnej elekcji Trump powrócił do niej niemal od pierwszych dni urzędowania.

Lauder w tym czasie nie próżnował, ponieważ najpierw zainwestował w przedsiębiorstwo Greenland Water Bank, oferujące wodę mineralną wprost z krystalicznie czystych grenlandzkich źródeł. Niedawno okazało się jednak, że skala jego zaangażowania jest dużo większa, niż do tej pory zakładano. Jak ujawniło śledztwo jednej z duńskich gazet, Lauder jest także udziałowcem w zarejestrowanym

eprasa.pl 4c1b1273a2

w stanie Delaware konsorcjum Greenland Development Partners, w którego skład wchodzi spółka Greenland Investment Group. Firma ta realizuje wiele projektów, m.in. w zakresie energetyki wodnej, które w przyszłości miałyby umożliwić nawet uruchomienie huty aluminium.

W swoim zaangażowaniu biznesowym na terenie Grenlandii Lauder nie jest bynajmniej odosobniony. Według doniesień medialnych udziały w różnego rodzaju przedsięwzięciach nabyli już m.in. Bill Gates, Jeff Bezos, Peter Thiel (m.in. Palantir) oraz Sam Altman (Open AI). Wzmożone działania amerykańskich potentatów na Grenlandii mogą świadczyć o tym, że decyzja o zajęciu wyspy – przy pomocy środków dyplomatycznych lub siłowych – już właściwie zapadła.

DZIEDZIC IMPERIUM BEAUTY

Ronald Lauder nie przebył drogi od pucybuta do milionera. Jego rodzice założyli firmę produkującą kosmetyki tuż po drugiej wojnie światowej. W ciągu kilkudziesięciu lat przekształcili ją w wielką międzynarodową korporację, zatrudniającą ponad 57 tys. pracowników i powszechnie uznawaną za jedną z kilku najważniejszych na świecie w branży beauty. Co ciekawe, jako najmłodszy syn Josepha i Esteé Lauderów Ronald bardzo długo nie miał decydującego wpływu na zarządzanie rodzinnym imperium. Starsze rodzeństwo sprawowało bardziej prestiżowe funkcje, ale właśnie dzięki temu najmłodszy brat zyskał większą motywację, aby rozwijać swoją karierę poza branżą kosmetyczną.

Ronald Lauder studiował na Uniwersytecie Paryskim i Uniwersytecie w Brukseli, ale swojego najbardziej wpływowego obecnie kolegę poznał w czasie biznesowych studiów w Wharton School na Uniwersytecie Pensylwanii. Donald Trump był o trzy lata młodszy, więc razem na uczelni przebywali tylko jeden rok, ale zadzierzgnięta więź okazała się nadzwyczaj żywotna.

Już jako mężczyzna w średnim wieku Ronald Lauder spróbował swoich sił w polityce. Początki miał bardzo skromne. W 1984 r. podjął pracę w Pentagonie jako zastępca asystenta sekretarza obrony, lecz już dwa lata później Ronald Reagan mianował go ambasadorem w Austrii. I to właśnie pobyt na placówce w Wiedniu natchnął Laudera do tego, żeby swoją dalszą karierę poświęcić nie dyplomacji, lecz sprawom żydowskim. Już w 1987 r. założył własną Fundację Ronalda S. Laudera, która specjalizuje się w prowadzeniu szkół, ośrodków kultury żydowskiej oraz organizacji obozów edukacyjnych przede wszystkim w Europie Środkowej (także w Polsce).

Lauder podjął się misji wskrzeszenia kultury żydowskiej w okresie wielkich przemian związanych z upadkiem komunizmu. Szczególnie aktywny był na Węgrzech, skąd pochodziła jego rodzina. Uzyskał dzięki temu wpływ nie tylko na życie polityczne świeżo upieczonych demokracji, lecz także zbudował silną pozycję w całym środowisku organizacji żydowskich. Dzięki temu już w 1997 r. został prezydentem Żydowskiego Funduszu Narodowego, a w 1999 r. prezesem Konferencji Prezydentów głównych organizacji żydowskich w Ameryce. Ukoronowaniem jego wieloletniej kariery było przejęcie w 2007 r. funkcji prezesa Światowego Kongresu Żydów (WJC).

Ronald Lauder do dziś pozostaje m.in. członkiem rady zarządzającej Instytutu Yad Vashem, rady powierniczej Ligi Przeciwko Zniesławieniu (ADL) czy też Rady Muzeum Holocaust Memorial w Waszyngtonie

Zasiadając wciąż w radach nadzorczych spółek tworzących koncern Esteé Lauder, prezes WJC zdołał jednocześnie objąć wiele innych ważnych funkcji. Do dziś pozostaje m.in. członkiem rady zarządzającej Instytutu Yad Vashem, rady powierniczej Ligi Przeciwko Zniesławieniu (ADL) czy też Rady Muzeum Holocaust Memorial w Waszyngtonie.

PRZYJACIELE I WROGOWIE

Od czasu reelekcji na stanowisko szefa WJC w 2013 r. jednym z najbliższych współpracowników Laudera stał się David René de Rothschild. Lider francuskiej gałęzi słynnego rodu regularnie występuje publicznie razem z szefem organizacji i chwali go za niesamowitą energię. Rothschild pełni w WJC funkcję przewodniczącego Rady Zarządzającej, choć nieformalnie można go uznać za najważniejszego członka organizacji w całej Europie.

Od dłuższego czasu Światowy Kongres Żydów utrzymuje dość napięte stosunki z Europejskim Kongresem Żydów (EJC), na którego czele po kilkuletniej przerwie stanął niedawno ponownie Mosze Kantor. Formalnie EJC podlega WJC, ale w rzeczywistości obie organizacje prezentują nierzadko względem siebie konfrontacyjną politykę. Lauder zwalczał Kantora, gdyż obawiał się, że utraci na jego rzecz przywództwo w Światowym Kongresie Żydów. W ostatnich latach obawy te znacząco zmalały, ponieważ związany blisko z Kremlem Kantor musiał w następstwie rosyjskiego ataku na Ukrainę nieco usunąć się na bok.

Mało kto dziś o tym pamięta, lecz jeszcze w 2019 r. Ronald Lauder chwalił Władimira Putina za prawie całkowite wyeliminowanie antysemityzmu w Rosji. Od lutego 2022 r. Światowy Kongres Żydów zdecydowanie odciął się już od Rosji i ściśle wspiera politykę amerykańską. Fundacja Laudera bardzo zaangażowała się w pomoc Ukrainie, przejmując finansowanie nawet kilkuset uchodźców. W niesienie pomocy Ukraińcom i ukraińskim Żydom zaangażowało się też WJC, które w tym celu utworzyło nawet specjalny fundusz.

SYMPATYK LIKUDU

Ważnym strategicznym partnerem Ronalda Laudera w polityce światowej jest Beniamin Netanjahu, z którym znają się pod ponad 40 lat. Według niektórych źródeł obecny premier Izraela swój pierwszy triumf w wyborach w 1996 r., który umożliwił mu zbudowanie tak silnej pozycji, odniósł głównie dzięki pomocy Laudera. Nowojorski kolega nie tylko zapewnił finansowanie, lecz także sprowadził fachowców od public relations, którzy pomogli wygrać – zdawałoby się – przegraną kampanię.

Sympatie Ronalda Laudera od lat pozostają przy partii Likud, nawet jeśli relacje z Netanjahu nie zawsze układają się najlepiej. Szef WJC nie zawsze aprobował

eprasa.pl 4c1b1273a2

brutalną politykę premiera i krytykował go nawet otwarcie za deptanie praw mniejszości, lecz od czasu wybuchu ostatniego konfliktu stanął murem w jego obronie i oskarżał o antysemityzm wszystkich, którzy sugerowali, że w Gazie miało miejsce ludobójstwo.

Ten sam rodzaj solidarności Ronald Lauder okazuje także względem George'a Sorosa. Mimo że szef WJC od wielu lat pozostaje jednym z ważniejszych sponsorów Partii Republikańskiej i nie przepada za kursem prezentowanym przez demokratów, nie szczędzi nigdy słów krytyki wobec osób, które twierdzą, iż słynny żydowski „filantrop" ma złowrogi wpływ na świat. Pod rządami Laudera Światowy Kongres Żydów wydawał nawet specjalne komunikaty, w których oskarżał krytyków Sorosa o utrwalanie antysemickich narracji.

Osoba Sorosa stała się zresztą jedną z przyczyn, dla których Ronald Lauder poróżnił się z Viktorem Orbánem. Węgierski premier, który utrzymuje ze społecznością żydowską bardzo ożywiony kontakt, a z premierem Netanjahu łączy go nawet przyjaźń, nakazał przed ośmioma laty Fundacji Społeczeństwa Otwartego opuszczenie Węgier. Lauder przyjął tę decyzję z wielkim rozczarowaniem i od tego czasu relacje z liderem Fideszu uległy zdecydowanemu ochłodzeniu.

PRZYJACIEL CHABAD LUBAWICZ

Ważną platformą, przy której pomocy Ronaldowi Lauderowi udaje się utrzymywać bardzo liczne więzi polityczne i biznesowe, jest niewątpliwie Chabad Lubawicz. Szef WJC od dawna broni tej kontrowersyjnej organizacji religijnej przed wszelką gruntowną krytyką, na co wpływ niewątpliwie ma fakt, że wspólnie z nią prowadzi wiele projektów. Najważniejszym z nich jest Lauder Chabad Campus w Wiedniu, zlokalizowane przy Placu Rabina Schneersona. W ramach tego ośrodka działają szkoły wszystkich stopni, a Chabad Lubawicz odpowiada za kursy judaistyczne. Przy współpracy z chasydzką organizacją Lauder powołał także do życia Lauder Business College, na którym kształciło się ponad 400 studentów.

Najprawdopodobniej to właśnie poprzez Chabad Lubawicz Ronald Lauder zdołał w ostatnich latach zbliżyć się ponownie do Donalda Trumpa. Zięć prezydenta, Jared Kushner, odgrywa w środowisku tej organizacji prominentną rolę i zdołał nawet nakłonić do konwersji na judaizm swoją żonę, Ivankę. Kushnerowie modlili się o zwycięstwo Trumpa w wyborach przy grobie rabina Schneersona na Cmentarzu Montefiore w dzielnicy Queens, a później w to samo miejsce pofatygował się sam Trump.

Ronald Lauder ma w tym roku pojawić się w Warszawie z okazji 25-lecia śmierci Jana Karskiego. Pomimo tego, że w przeszłości ostro i arogancko krytykował polskie władze

Ronald Lauder od dawna wspiera Trumpa finansowo. Najpierw w 2016 r., a następnie w 2024 r. W tym czasie jego relacje z kolegą z młodości uległy przejściowo pogorszeniu, a on sam postawił na zupełnie innego republikańskiego kandydata. Ostatecznie ich drogi znów się zeszły, na co znaczny wpływ miała bez wątpienia coraz bardziej antysemicka fala lewicowego wokeizmu. Uniwersyteckie kampusy stały się w ostatnich latach prawdziwym siedliskiem postaw jawnie wrogich Żydom, dlatego środowisko WJC na czele z Lauderem uznało, że jedynym ratunkiem dla całej społeczności jest poparcie udzielone programowi Trumpa.

Donald Trump, który w Izraelu uchodzi wręcz za kolejne wcielenie Cyrusa Wielkiego, który umożliwił Izraelitom powrót z niewoli babilońskiej i budowę Drugiej Świątyni, ma bez wątpienia duże znaczenie także dla Światowego Kongresu Żydów. Mierząc się z wielką falą niezadowolenia wobec polityki Izraela na całym świecie, WJC stara się bardziej niż do tej pory działać na rzecz poprawy wizerunku Żydów, a pomoc Trumpa w tym obszarze wydaje się kluczowa. To właśnie administracja obecnego prezydenta USA umożliwiła niedawne przejęcie amerykańskiego TikToka przez biznesmenów związanych z żydowskim lobby.

O potrzebie wykorzystania mediów społecznych w celu zapobiegania niechęci do Izraela mówił niedawno w czasie odbierania nagrody od „Jerusalem Post" sam Ronald Lauder. Jego zdaniem „Izrael musi wreszcie zająć się na poważnie sferą public relations. Jeśli nie opowie światu swojej wspaniałej historii, to zrobią to jego wrogowie".

MIŁOŚNIK SZTUKI

Ronald Lauder zasiada w niezliczonej liczbie rad, komitetów i zarządów. W równie imponującym zakresie kolekcjonuje także dzieła sztuki – czy też raczej niekiedy przedmioty za sztukę uchodzące. Od czasów pobytu na placówce w Wiedniu Lauder stał się szczególnym pasjonatem austriackiego i niemieckiego ekspresjonizmu oraz secesjonizmu. W 2006 r. nabył nawet za 135 mln dol. słynny „Portret Adele Bloch-Bauer" Gustawa Klimta, co stanowiło ówczesny rekord świata.

Co ciekawe, w listopadzie 2025 r. dom aukcyjny Sotheby's sprzedał za 236,4 mln dol. anonimowemu nabywcy inne dzieło Klimta, „Portret Elisabeth Lederer", które do licytacji trafiło po śmierci starszego brata Ronalda, Leonarda Laudera, będącego właścicielem obrazu od lat 80. W ten sposób odnotowano drugą najwyższą w dziejach kwotę zapłaconą za dzieło sztuki. Według niektórych plotek nabywcą mógł być brat zmarłego, choć wydaje się to dość nieprawdopodobne. Szacuje się, że w prywatnej kolekcji Ronalda Laudera znajduje się obecnie nawet 4 tys. różnego rodzaju dzieł ze wszystkich epok. Część z nich udostępnił publicznie w Neue Galerie w Nowym Jorku.

Możliwość osobistego spotkania z Ronaldem Lauderem miał w czasie wrześniowego pobytu w Nowym Jorku prezydent Karol Nawrocki. Niestety, głowa polskiego państwa przystała na to, aby spotkanie odbyło się bez udziału mediów i wydania jakiegokolwiek wspólnego komunikatu.

Już teraz wiadomo, że Ronald Lauder ma w tym roku pojawić się w Warszawie z okazji 25-lecia śmierci Jana Karskiego. Pomimo tego, że w przeszłości ostro i arogancko krytykował polskie władze choćby za próbę karania za przypisywanie Polakom odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy i domagał się restytucji mienia bezspadkowego, należącego wcześniej do Żydów w Warszawie, może zawsze liczyć na nadzwyczaj serdeczne przyjęcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

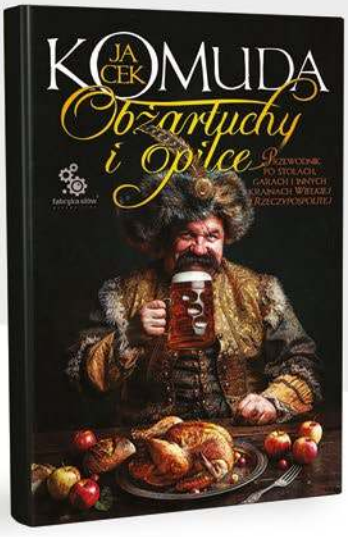

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601~~ ZŁ

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4c1b1273a2

Hołownia kontratakuje

Rafał A. Ziemkiewicz

Stronnicy władzy nie boją się dzisiaj tego, że Szymon Hołownia porwie za sobą tłumy, tylko że przechwyci kontrolę nad większością sejmową i z tej pozycji będzie stawiał całej koalicji i Tuskowi warunki albo nawet że przejdzie na stronę PiS

Nie zauważa pan, jak wszyscy się z was śmieją?" – rzuciła w twarz Szymonowi Hołowni Monika Olejnik. Jeśli liczyła na to, że jej rozmówca się po tych słowach zmiesza lub zawstydzi, to nic podobnego nie nastąpiło. Były marszałek zdążył się już „ogarnąć" po okresie zagubienia, przygotował sobie logicznie spójną narrację, wyjaśniającą jego postępowanie, i zarysował polityczny plan.

Powiedzmy od razu, że ten plan wprawił medialne zaplecze władzy w wyraźne zaniepokojenie, a może wręcz przestrach. Olejnik ze swoim spostrzeżeniem spóźniła się zatem o dobry tydzień. Wszyscy się z Polski 2050 i samego Hołowni śmiali, kiedy wydawało się, że były marszałek odszedł na dobre w polityczny niebyt (w powierzenie mu przez ONZ funkcji Wysokiego Komisarza nikt przecież nie wierzył ani przez chwilę), kiedy partia nie zdołała rozstrzygnąć wewnętrznych wyborów i po ich unieważnieniu zakleszczyła się w sporze między Pauliną Hennig-Kloską a Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, kiedy ze strony tej drugiej padła groteskowa oferta podzielenia się władzą jako prezes „dwie w jednej", kiedy rozeszło się, że Hołownia postanowił wrócić do partii, którą był porzucił, i ponownie stanąć na jej czele, ale obie panie, wspierane przez część działaczy, zgodnie go nie wpuściły, bo procedura wyboru przewodniczącego już się zaczęła… Trudno się zresztą było nie śmiać.

Ale kiedy Hołownia zagroził, że jeśli Polska 2050 nie powtórzy wewnętrznych wyborów od początku, w domyśle – z jego kandydaturą, to odejdzie, zabierając ze sobą ok. 15 posłów, niektórym śmiech na ustach zamarł. Bo jeśli były marszałek Sejmu naprawdę ma tylu lojalnych wobec siebie ludzi, z którymi może założyć nowy klub poselski… Przypomnijmy, że sejmowa większość, na której opierają się rządy Tuska, to na ten moment 240 mandatów – o 10 więcej niż niezbędne minimum.

KTO Z SZYMONEM?

Co prawda, Hołownia deklaruje jasno, że z koalicji wychodzić nie zamierza, ale wiadomo, że w polityce nie ma żadnych „nigdy". A przez ostatnie dwa lata zebrały się pomiędzy byłym marszałkiem Sejmu a resztą obozu władzy pewne „rachunki krzywd". Zapewne zapamiętał on próbę

eprasa.pl 4c1b1273a2

Teoretyczna możliwość zerwania przez Szymona Hołownię koalicji wystarczyła, by postawić włosy na głowie funkcjonariuszom aparatu propagandowego wspierającego premiera i jego partię FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

„skancelowania” go przez wywleczenie do mediów jego związków ze złej sławy Collegium Humanum – publicznie oskarżył wtedy przecież Tuska o to, że „posłał za nim służby”. Nie mógł też nie wyciągnąć żadnej lekcji z próby zamachu stanu, w którą próbował go premier wkręcić w taki sposób, że gdyby co, to nie faktyczni inicjatorzy, ale on, jako marszałek figurant udaremniający bezprawnie zaprzysiężenie legalnie wybranego prezydenta RP, poniósłby konsekwencje.

Stworzenie własnego klubu złożonego z ludzi, którzy wychodząc z poprzedniej partii, udowodnili lojalność wobec szefa, a więc pozwalającego mu zerwać sejmową większość, postawi zatem istnienie rządu pod znakiem zapytania. To tak, jakby Hołownia podłożył pod fotel Tuska bombę, do której detonator trzyma w ręku.

Posłowie, którzy mieliby pójść za Hołownią, dysponowaliby solidnymi argumentami. Dwa lata temu praktycznie nikt z głosujących na Trzecią Drogę nie znał w partii Hołowni nikogo poza nim samym. Może jeszcze pewną niszową rozpoznawalnością cieszył się, z racji swej dziennikarskiej przeszłości, Michał Kobosko. No i funkcjonujący na marginesie listy, na prawach trochę błędnego rycerza, a trochę „powtórki z rozrywki” Ryszard Petru. O obu kandydatkach do następstwa nie wiedzieli wyborcy nic i chyba nie bardzo się to przez ostatnie dwa lata zmieniło. Gorzej nawet, Hennig-Kloska zyskała sobie opinię jednego z najbardziej niekompetentnych ministrów w pierwszym składzie gabinetu, a Pełczyńska-Nałęcz szerszą rozpoznawalność zyskała wskutek skandalu z jachtami, jacuzzi i innymi nieuzasadnionymi dotacjami z KPO. Petru, znów odrzucony przez kolejną partię, mimo cichego poparcia samego Tuska (w partyjnych kuluarach mówiło się, że za wybranie Petru na lidera Polski 2050 obiecywane były działaczom konkretne „konfitury”), także nikogo za sobą nie pociągnie. Każdy poseł, który pójdzie do nowego klubu Hołowni, będzie miał pełne prawo powiedzieć: wyborcy głosowali na Szymona, jestem w Sejmie tylko dzięki jego rekomendacji, więc przechodząc za nim do nowego klubu, nikogo nie zdradzam, wręcz przeciwnie.

We wcześniejszej o dzień niż wizyta u Olejnik rozmowie w Polsacie z Marcinem Fijołkiem (który zresztą już kilka dni wcześniej, bodaj jako pierwszy, zapowiadał opuszczenie Polski 2050 przez jej lidera) Hołownia zarysował coś w rodzaju założycielskiej idei ewentualnego rozłamu. Przede wszystkim mówił dużo o swoim ogromnym rozczarowaniu polityką. Chciał naprawiać, ratować Polskę i trochę mu się udało, bo „wspólnie wszyscy” położyliśmy kres złym rządom PiS. Ale polityka wciąż pozostała brudna, oparta na „hakach”, układach i dzieleniu łupów. Wielu ludzi, z którymi poszedł do tej polityki, dało się wciągnąć w to bagno, okazało się nieodpornymi na pokusy. I Hołowni straszliwie żal tych uczciwych, tych, którzy poszli do Sejmu dla idei, przez te dwa lata urobili się po łokcie, poświęcili Polsce całe życie, często tracąc rodziny i dokładając z własnych pieniędzy, oddali tej partii – jak i sam Hołownia – całe serce. I to się nie może zmarnować.

Jako były pisarz uważam tę „duszoszczypatielną” opowieść za całkiem niezłą, nawet jeśli adresowana jest wyłącznie do bardzo naiwnych. Skutecznie ustawia ona tych, którzy się Hołowni nie podporządkują, na pozycjach interesownych cwaniaków i legitymizuje rozłam, który przy narzuceniu takiej narracji przestaje wyglądać groteskowo. W tej opowieści to nie Hołownia zdradził swoich ludzi, ale oni (część z nich) jego i Sprawę, która legła u fundamentów całego ruchu.

Tu oczywiście rodzi się zasadniczy problem: Jaka to właściwie Sprawa? Spytany o to Hołownia oznajmił, że założycielską ideą Polski 2050 jest „umiarkowanie”. Nie brzmi to – powiedzmy sobie szczerze – poważnie, a w kontekście dwóch lat spędzonych w koalicji i jego osobistego dorobku jako marszałka Sejmu kojarzy się z tym rodzajem „umiarkowania”, które w PRL prezentowały „stronnictwa sojusznicze” i koncesjonowane w ramach Frontu Jedności Narodu stowarzyszenia katolickie w stosunku do PZPR. Po prostu robiły to, co im Partia hegemon kazała, tylko używając miękkiej retoryki i opakowując świństwa w pozory „realizmu”.

Gdyby Hołownia rzucał Tuskowi wyzwanie wyborcze, właśnie z tej przyczyny można by na niego machnąć ręką. „Umiarkowanie” było skuteczną namiastką opowieści, gdy partia popularnego prezentera telewizyjnego i publicysty trafiała w narosłe po ośmiu latach rządów PiS społeczne zapotrzebowanie na zmianę, ale nie taką, „żeby znowu było, jak było przed 2015”, tylko dającą nadzieję na coś nowego. Hołownia opowieścią o rozczarowaniu, o ogromnej pracy i poświęceniu włożonej przez niego i wiernych mu działaczy etc. chce stworzyć wrażenie, że taka zmiana nadal jest możliwa i że on znowu jest człowiekiem z zewnątrz, spoza partyjnych układów, jakąś nową jakością i trzecią drogą. Jest to próba wejścia po raz drugi do tej samej rzeki, a właściwie po raz trzeci, bo po raz drugi usiłował do niej wejść Hołownia w wyborach prezydenckich w ubiegłym roku, próbując odgrzać swój wizerunek z początku politycznej kariery.

RZĄD TECHNICZNY

Ale stronnicy władzy nie boją się dzisiaj tego, że Hołownia porwie za sobą tłumy, tylko że przechwyci kontrolę nad większością sejmową i z tej pozycji będzie stawiał całej koalicji i Tuskowi warunki albo nawet że przejdzie na stronę PiS. Paradoksalnie w takiej operacji jego

eprasa.pl 4c1b1273a2

„niewybieralność” byłaby wręcz atutem, bo politycy, którzy i tak nie mają szansy pozostać na scenie politycznej (a po ewentualnym zbliżeniu PiS dotychczasowy, antypisowski elektorat by Polskę 2050 opuścił, zresztą już to właściwie zrobił po ujawnieniu nocnych rozmów u Adama Bielana), muszą jak najbardziej wykorzystać te „pięć minut”, które im pozostały, choćby po to, by skutecznie zmienić polityczne „podwieszenie”.

Politycy PiS od razu zasuflowali w komentarzach narrację: najpierw nowy klub poselski, z „nowym” Hołownią-po-przejściach, który przeżył rozczarowanie Tuskiem i więcej się już na niego nie nabierze, potem wspólne przegłosowanie wotum nieufności, a potem „rząd techniczny”, oparty na klubach poselskich PiS, PSL, neo-Hołowni i Konfederacji oraz poparciu prezydenta. Zwracam uwagę, że z tego scenariusza zniknęło zupełnie ewentualne skrócenie kadencji, co zapewne ma uczynić niemających szans na reelekcję polityków bardziej skłonnymi do odstąpienia Tuska. Co prawda, snując wizje takiej „technicznej” większości „ponad plemiennym podziałem” na najbliższe dwa lata ośmieszają politycy PiS swojego prezesa, który przecież sam pół roku temu stanowczo domagał się od Konfederacji przysięgi, że „nigdy nie wejdzie w sojusz z żadnym ugrupowaniem, które popierało rząd Tuska”, wszczynając w ten sposób spór, który zaszkodził obu partiom, ale, jako się rzekło, w polityce nie ma „nigdy”.

Byłaby to w sumie realizacja tego, co Roman Giertych proponował w roku 2007 z „technicznym premierem Kaczmarkiem”, tylko w odwrotną stronę. Zamiast wyborów, które zapowiadały się dla ówczesnej opozycji słabo, trwający pół kadencji rząd „wszyscy przeciwko Kaczyńskim” (w dzisiejszej wersji: wszyscy przeciwko Tuskowi), skupiony na rozliczaniach, aresztowaniach, komisjach śledczych i procesach, i, dopiero po całkowitym zniszczeniu wcześniej rządzących, wybory. Różnica jest tylko jedna, w przeciwieństwie do „dusznej atmosfery rządów PiS” i bliżej niesprecyzowanych „nacisków”, które zarzucano Kaczyńskim w 2007 r., Tuska i innych praktyków „prawa, jak my je rozumiemy”, naprawdę jest w 2026 r. za co stawiać przed sądem i wsadzać do więzień.

Politycy PiS od razu zasuflowali w komentarzach narrację: najpierw nowy klub poselski, z „nowym” Hołownią-po-przejściach, który przeżył rozczarowanie Tuskiem i więcej się już na niego nie nabierze, potem wspólne przegłosowanie wotum nieufności, a potem „rząd techniczny”

Ten ostatni fakt sprawia, że choć scenariusz wyżej opisany wydaje się mało prawdopodobny, to teoretyczna możliwość zerwania przez Hołownię koalicji wystarczyła, by postawić włosy na głowie funkcjonariuszom aparatu propagandowego wspierającego premiera i jego partię. „Gazeta Wyborcza”, od dawna słynąca z dziennikarskiej niezależności, a zwłaszcza ze zdystansowania i obiektywizmu w ocenie Donalda Tuska, zareagowała niemalże z dnia na dzień dwukolumnowym wywiadem z prof. Krystyną Skarżyńską z SWPS, w całości poświęconym demaskowaniu Hołowni jako głęboko zaburzonej osobowości narcystycznej, przypominającej tych „znanych z przeszłości politycznych liderów”, którzy „nie tylko rządzili autorytarnie, ale inicjowali wojny i zabijali miliony ludzi”.

ABSURDALNA SALWA

Może i Monika Olejnik ma rację, że partia Polska 2050 stała się pośmiewiskiem, ale przecież to żadna „vis comica” wobec tego, co zaprezentowała „Wyborcza”. Prowadząca ten diagnostyczny wywiad redaktor Kublik nawet nie próbuje zachowywać pozorów. „Jako pierwsza już kiedyś zauważyła pani, że Szymon Hołownia to typ o osobowości narcyza” – zagaja w pierwszych słowach i rzeczywiście, pani psycholog społeczna nie ukrywa, że patologiczna osobowość Hołowni uderzyła ją, jeszcze zanim został marszałkiem Sejmu. Ale z powodów, których „kryształowo niezależna gazeta”, jak wciąż reklamuje ją jej naczelny, Adam Michnik, nie musi ujawniać, bo wszyscy je znają, dopiero teraz przyszedł czas, by o tym porozmawiać. „Są dowody empiryczne i analizy psychiatryczne, że polityczni przywódcy, u których stwierdzono wielkościowe narcystyczne zaburzenie osobowości, prowadzą swoje narody i państwa do poważnych katastrof […], dlatego że podejmując ważne decyzje, nie kierują się opiniami ekspertów i profesjonalną diagnozą rzeczywistości, tylko własną fantazją, przekonaniem o swojej wielkości i potrzebą podziwu”.

„Profesjonalną diagnozą rzeczywistości” jawi się w rozmowie np. „jedna lista obozu demokratycznego”, na którą Hołownia nie chciał wejść w 2023 r. Co prawda, i wszyscy profesjonaliści, i przykłady wcześniejsze dowodziły, że „jedna lista” przyniosłaby opozycji wyborczą klęskę, jak na Węgrzech, ale fakt, że Hołownia chciał za wszelką cenę startować sam, dowodzi, że już wtedy był psychicznie zaburzony. Dlaczego w takim razie „opozycja demokratyczna” uczyniła drugą osobą w państwie niebezpiecznego psychopatę, przypominającego, wiadomo jakich, „znanych z przeszłości” autokratów i gorliwie go aż do spotkania u Bielana wspierała? Nie ma po co pytać…

Salwa oddana przez panie Kublik i Skarżyńską (cokolwiek zresztą absurdalna, bo choćby np. jak był w mediach traktowany Hołownia dopóty, dopóki Tusk parł do „jednej listy”, i jak jest traktowany teraz, pokazują, że gdyby Hołownia kierował się odrealnionym narcyzmem i zależałoby mu na oklaskach, duserach oraz zachwytach, powinien, dokładnie odwrotnie, przeprowadzić oczekiwany zamach stanu po wyborach prezydenckich) jest zapewne dopiero początkiem. Znowu, jak w czasach walki o „jedną listę”, Hołownia staje się „kałownią” (jak go w swoim koprofilnym stylu nazywał Tomasz Lis), agentem Opus Dei (co zdemaskował wtedy Tomasz Piątek), pisowskim dipstejtem itp.

W momencie, gdy ten tekst dotrze do państwa, grany będzie już kolejny odcinek serialu. Na ten moment jeszcze nie wiemy, czy Hennig-Kloska i Pełczyńska-Nałęcz ustąpią przed ultimatum byłego szefa, a jeśli nie, to czy zrealizuje on swoją zapowiedź utworzenia nowego klubu poselskiego i czego, jeśli taki klub będzie miał, zażąda za pozostanie w koalicji. Jednego możemy być pewni – serial potrwa jeszcze długo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Rok 1863 – nowa linia podziału na prawicy

Piotr Semka

Polska polityka jest niesamowita. Wydawałoby się, że wydarzenia sprzed 163 lat nie powinny stawać się nagle ważnym punktem odniesienia w politycznych wyborach. A jednak wizyta prezydenta Karola Nawrockiego w Wilnie oraz spotkanie tam z prezydentami Litwy i Ukrainy miało bezpośrednie odniesienie do 163. rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Z drugiej strony wylansowane przez Grzegorza Brauna hasło: „Chwała bohaterom – hańba prowokatorom" pojawiło się na paru ostatnich wiecach Konfederacji Korony Polskiej, a krytyka zrywu z 1863 r. wybrzmiała z okazji rocznicy w licznych wpisach polityków i publicystów utożsamiających się z szeroko rozumianym „frontem gaśnicowym"

Tradycja wspólnych obchodów zrywu 1863 r. w Wilnie sięga 22 listopada 2019 r. Wówczas to w stolicy Litwy odbyła się uroczystość pogrzebowa 20 powstańców styczniowych, rozstrzelanych w marcu 1864 r. na stoku Góry Zamkowej i pochowanych w nieoznaczonym grobie. Po odnalezieniu szczątków tych bohaterów w lipcu 2017 r. i procesie żmudnej ich identyfikacji prezydent litewski Gitanas Nausėda uczestniczył w uroczystym przeniesieniu szczątków po Mszy żałobnej w katedrze wileńskiej do specjalnej kaplicy na Rossie, gdzie złożono męczenników. Symboliczne były postacie dwóch ważnych dowódców powstania: Polaka Zygmunta Sierakowskiego i spadkobiercy tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego Konstantego Kalinowskiego, który jest dziś wspólnym bohaterem narodowym Białorusinów, Litwinow i Polaków. Polskę reprezentowali na tej uroczystości prezydent Andrzej Duda z małżonką oraz premier Mateusz Morawiecki. Kilka lat po tamtej uroczystości do Wilna przybył na zaproszenie prezydenta Nausėdy nie tylko prezydent RP Karol Nawrocki, lecz także prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, który uznał, że tradycja powstania styczniowego należy także do tradycji historycznej Ukrainy.

POWSTANIE ŁĄCZY, POWSTANIE DZIELI

– To właśnie odziedziczona tradycja wolności na zawsze oddzieliła od Rosji nasze narody: Litwinów, Polaków, Ukraińców i Białorusinów. Od Rosji, która podejmowała wszelkie próby, ale nie była w stanie zburzyć tej niewidzialnej, a zarazem niezwykle trwałej granicy – mówił prezydent Nausėda, nawiązując do granic przedrozbiorowej I Rzeczypospolitej.

Polski prezydent podkreślił, że „powstanie styczniowe było wyborem ludzi, którzy mimo świadomości nierównej walki zdecydowali się sprzeciwić imperialnej przemocy [...]. Nie była to decyzja podyktowana naiwnością czy romantyzmem, lecz głębokim przekonaniem, że istnieją wartości, których nie wolno oddać bez walki – wolność, godność i prawo narodu do samostanowienia". Do tego nawiązał prezydent Zełenski, który zwracając się do Białorusinów, podkreślił, że są oni częścią Europy i razem z innymi narodami regionu będą jej częścią w przyszłości: „Nie zostaniecie wymazani. My także nie zostaniemy wymazani".

O ile większość polskich polityków podeszła do uroczystości w Wilnie i samej rocznicy powstania bez śladu polemiki, o tyle wyraźnie charakter politycznej riposty miało wypuszczenie na facebookowym profilu Grzegorza Brauna w okolicy rocznicy powstania fragmentu jego wystąpienia sejmowego z 8 lutego 2023 r., w którym ówczesny polityk Konfederacji sprzeciwił się uchwale Sejmu z okazji 160. rocznicy zrywu.

Grzegorz Braun mówił wówczas: „Chwała bohaterom, hańba prowokatorom! Powstanie styczniowe to jedna wielka prowokacja w prowokacji, prowokacją pogania. Nie mówicie, panowie, o tym w swojej uchwale, bo nie macie o tym zielonego pojęcia. Nie wasza wina. Utrwalona wielopokoleniowo ignorancja, utrwalona przez władze, przez kolejne reżimy takie jak ten aktualny reżim – sięgająca po fałszywe legitymacje z kart historii po to, żeby podbudowywać, wzmacniać pozory własnego patriotyzmu i legalizmu działań".

Braun krytykował: „Czczenie w tej jednej uchwale dwóch fałszywych paradygmatów, paradygmatu insurekcyjnego jako jedynego wzorca patriotyzmu i paradygmatu »Za wolność waszą i naszą« jako jedynego dopuszczalnego wzorca (Dzwonek) uprawiania polityki międzynarodowej, to prawdziwy rekord [...]. Głupota jest zawsze błędem, a głupota na

eprasa.pl 4c1b1273a2

gruncie utrwalonej ignorancji to rzecz, której niczym nie można usprawiedliwić".

Trudno byłoby o cytat, który dokładniej by pokazał różnicę w myśleniu o historii między prezydentem Nawrockim a Grzegorzem Braunem. O ile ten pierwszy uznał rocznicę 1863 r. za symbol oporu wobec rosyjskiej zaborczości i przykład walki ramię w ramię obywateli dawnej I Rzeczypospolitej w obronie swej wolności, o tyle lider Konfederacji Korony Polskiej bardzo jednoznacznie uznał powstanie za błąd, łagodząc jedynie swój przekaz szacunkiem dla indywidualnego poświęcenia i przyznając, że jest potomkiem rodziny, której członkowie także pospieszyli do tego powstania.

Gdzieś w tle wypowiedzi Brauna jawił się niewypowiedziany do końca problem stosunku Polaków do Rosji. Braun, krytykując powstanie, ułatwia sobie zadanie, nie wdając się w debaty na temat tego, czy bierność w warunkach zaboru nie przyczyniłaby się do wejścia Polaków na stałe w skład rosyjskiego narodu politycznego. Na podobnej zasadzie, na której weszli na taką drogę np. Ormianie czy Gruzini. Uzyskując status narodów, które pod względem zachowania swej tożsamości były przez Moskwę w pewnym stopniu akceptowane, ale nigdy za cenę realnego politycznego oderwania się od jej protektoratu.

Na zaproszenie prezydenta Litwy Gitanasa Nausėdy (w środku) przybyli na uroczystości do Wilna prezydent Polski Karol Nawrocki i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski FOT. PETRAS MALUKAS/AFP/EAST NEWS

ROZDRAPYWANIE STARYCH RAN

Dokładna lista zarzutów Grzegorza Brauna wobec powstania styczniowego, a także wcześniejszych zrywów z lat 1794 i 1830–1831 przestawiana jest w jego długich wykładach, które znaleźć można bez trudu w Internecie. W największym skrócie jego zarzut polega na tezie, że wszystkie zrywy w XIX w. były wygenerowane przez siły projektujące rewolucję światową. W wypadku insurekcji kościuszkowskiej miała to być jedynie dywersja na zlecenie Paryża, w wypadku powstania listopadowego – dziecinada niedowarzonych podchorążych, wykorzystana przez te siły w Rosji, które drażniły autonomia i dobrobyt Królestwa Kongresowego, a w wypadku zrywu 1863 r. skrzyżowały się intrygi Prus z prowokacjami karbonariuszy i garibaldczyków jako sił ogólnoeuropejskiej rewolucji. Z tego powodu Braun odsądza od czci i wiary wszystkie te polskie wystąpienia zbrojne jako „wielkie antypolskie prowokacje". Jedyny wyjątek robi dla powstania wielkopolskiego jako wystąpienia, które było „we właściwym momencie dokonane przez właściwych ludzi i trwające tyle, ile trzeba".

Stosunek do powstania 1863 r. oczywiście ewoluował w ciągu ostatnich 163 lat. Krytyczny wobec powstań był Roman Dmowski, ale było to zrozumiałe u przedstawiciela pokolenia, które było świadkiem skali represji i zniszczenia polskiego stanu posiadania w okresie popowstaniowym. Jednak Dmowski nie był do końca konsekwentny w zwalczaniu demonstracji patriotycznych, gdyż sam zorganizował pierwszą po wielu latach manifestację niepodległościową 3 maja 1891 r. w Warszawie, za co zresztą został aresztowany przez carską policję i osadzony w cytadeli. Tak samo politycy narodowi szanowali nielicznych już żyjących weteranów powstania styczniowego w czasach II RP.

Z czasem spory wokół powstania znacznie przybladły, by do lat 80. zupełnie zejść na bardzo odległy plan. Nie znaczy to oczywiście, że nie było autorów takich jak np. Jędrzej Giertych, którzy zryw styczniowy przedstawiali niemal wyłącznie jako rosyjsko-żydowską prowokację. Te ugrupowania, które w latach 70., 80. i 90. nawiązywały do tradycji narodowej, takie jak Ruch Młodej Polski czy potem Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, dołączały się do pamięci o odwadze i poświęceniu powstańców bez wysuwania na pierwszy plan oskarżeń o prowokację.

Ten stan rzeczy trwał tak naprawdę do niedawna. Przykładowo portal Kresy.pl opisywał uroczystość pochowania bohaterów 1863 r. w Wilnie w 2019 r. w bardzo podniosły sposób. Charakterystyczna też była dyskusja na portalu narodowo-radykalnym Narodowiec z okazji zeszłorocznej rocznicy zrywu w 2023 r., gdzie stały autor tego portalu, a także felietonista „Do Rzeczy" Leszek Żebrowski, bronił powstania. Co charakterystyczne, krytyków powstania widział raczej w obozie lewicowo-liberalnym. Jak pisał: „Sztucznie wykreowana przez lewicę i łże-liberałów moda na »pedagogikę wstydu« przynosi tragiczne owoce. Kwestionowana jest prawie cała nasza przeszłość i złożone ofiary w walce o wolność i niepodległość [...]. Teraz, jak widać, przyszła kolejna moda na deprecjonowanie powstania styczniowego. Czyli co, lepiej byłoby posłusznie służyć carowi?".

Przykładowo jeszcze trzy lata temu radomska Młodzież Wszechpolska złożyła kwiaty przed Mauzoleum Dionizego Czachowskiego w 160. rocznicę wybuchu powstania styczniowego.

To, że stosunek konserwatystów do zrywu 1863 r. bywa różny, dobrze

eprasa.pl 4c1b1273a2

pokazała dyskusja między Grzegorzem Braunem a Robertem Kostro 3 stycznia 2014 r. w programie Jana Pospieszalskiego „Bliżej" na antenie TVP Info. Gdy Braun bardzo ostro zaatakował walki 1863 r. jako prowokację pruską i jako kolejną z „wielkich antypolskich prowokacji", Robert Kostro, wówczas dyrektor Muzeum Historii Polski, polemizował z nim.

A warto przypomnieć, że był to wieloletni działacz Ruchu Młodej Polski, który uważał się za spadkobierców myśli Romana Dmowskiego. Kostro polemizował z Braunem w kwestii potępiania większości powstań w XIX w., przy jednoczesnym chwaleniu powstania wielkopolskiego w 1918 r. Wskazywał: „To niepoważne stawianie sprawy. Nie można głosić, że skoro powstanie wielkopolskie wygrało, to było dobre, a skoro inne przegrały, to były to zrywy złe, dywersyjne, zorganizowane przez jakieś wraże siły. Powstańcy – czy to wielkopolscy, czy warszawscy, czy listopadowi, czy styczniowi – kierowali się podobnymi ideami, podobnymi wartościami. Rzeczywiście sytuacja (powstańców wielkopolskich) była lepsza, natomiast możemy to stwierdzić dopiero z perspektywy lat. W 1863 r. konstelacja międzynarodowa też wydawała się sprzyjająca. Rosja przegrała wojnę krymską, kolejne państwa się wyzwalały – Grecja, Włochy, Bułgaria [...], to, że okazało się, że różne kalkulacje zawiodły, to jest bardziej skomplikowana sprawa".

CZY PĘKNIĘCIE BĘDZIE SIĘ POSZERZAĆ?

Gdy w styczniu 2014 r. Robert Kostro dyskutował z Grzegorzem Braunem w studiu TVP, ten drugi postrzegany był bardziej jako historyczny polemista i reżyser filmów na temat dziejów najnowszej Polski. Dzisiaj jest to lider ugrupowania, który wprost mówi, że jego ambicjami są zdobycie władzy i zostanie premierem.

Co charakterystyczne, ten bardzo ambitny plan Grzegorz Braun łączy z przywiązaniem do stawiania bardzo antagonizujących i kategorycznych tez historycznych. Tak było w wypadku formułowania pytań o stawianie komór gazowych w niemieckich obozach śmierci i tak jest obecnie w jego niezwykle daleko posuniętej krytyce powstania styczniowego. Styl lidera Konfederacji Korony Polskiej (wywody doskonale ustawionym głosem, przy użyciu wzorowej polszczyzny) niezwykle ułatwia uczestnikom jego spotkań bezrefleksyjnie akceptować całkiem kontrowersyjne tezy.

W pewnym sensie Braun jest wskrzesicielem najbardziej hardcore'owego nurtu ruchu narodowego, który łączy w sobie prorosyjskość z głęboką niechęcią do tzw. tradycji insurekcyjnej. Tylko że w sytuacji bardzo realnego zagrożenia Europy Środkowej ze strony rosyjskiego neoimperializmu będzie musiało to wyraźnie dzielić prawą stronę. I przed paroma dniami realnie zarysowało to ostrą linię podziału między prezydentem Karolem Nawrockim a Konfederacją Korony Polskiej.

Ten rozdźwięk na razie akcentowany jest przez publicystów, których można utożsamiać z tzw. frontem gaśnicowym. W bardziej eleganckiej formie wyrażają oni rozczarowanie „dominacją ludzi PiS wokół prezydenta", a w bardziej bezpośrednim stylu objawia się to w narzekaniu, że nowa głowa państwa ulega „jarmułkowcom". Gdzieś w tle pojawiają się też narzekania, że podciąganie powstania styczniowego pod rosyjskie zagrożenie to aberracja, gdyż największym zagrożeniem w 1863 r. byli bezmyślni, populistyczni polscy politycy, którzy wdali się w absurdalną rywalizację na radykalizm.

Sam lider Konfederacji Korony Polskiej stara się raczej unikać bezpośredniej krytyki prezydenta Nawrockiego. Skoro jednak w rocznicę powstania 1863 r. Braun przypomniał swoje słowa sprzed dwóch lat, to celował wyraźnie w sens wizyty Karola Nawrockiego w Wilnie. W tej sytuacji liderowi Korony pozostają dwie drogi. Albo stawianie na to, że Nawrocki będzie nowym rozdającym karty na prawicy i ewentualnym patronem wzajemnego ułożenia się interesów PiS, Konfederacji Sławomira Mentzena i Korony, albo pójście drogą pryncypialną i ogłoszenie, że Nawrocki wspiera fałszywe rozumienie polskiej racji stanu. To jednak oznaczałoby zderzenie czołowe.

Jest jeszcze jeden czynnik związany z uporem Brauna w przedstawianiu bardzo zdecydowanych tez historycznych jako swego rodzaju wyznania wiary przeciętnego zwolennika Korony. Taktyka przedstawiania się jako posiadacza jedynej prawdy o przeszłości Polski przy jednoczesnym przedstawianiu wszystkich tych, którzy tych dogmatów nie podzielają, jako głupców, ignorantów lub wrogów Polski, pogłębiać będzie polaryzację na prawicy. Jeśli ktoś twierdzi, że zna całą prawdę, to siłą rzeczy wszyscy ci, którzy nie chcą zgodzić się z nim w 100 proc., stają się zwolennikami kłamstwa. Przy takim manicheizmie ideowym nietrudno o manicheizm polityczny.

Akurat Konfederacja na punkcie powstania styczniowego nie jest też specjalnie wyczulona, ale też chyba nieprzypadkowo nie czyni z podobnych kwestii testu na polskość. W wypadku PiS spór będzie bardzo pryncypialny. Przywiązanie do tradycji niepodległościowej i oporu wobec Rosji jest w tej partii nie tylko osobistym poglądem Jarosława Kaczyńskiego, lecz także punktem widzenia czołowych polityków tej partii.

Oczywiście spór o 1863 r. nie jest jakąś pierwszoplanową kwestią, ale jeżeli zauważyć związek tego sporu z aktualnym spojrzeniem na politykę zagraniczną, stosunek do USA, do miejsca Ukrainy na mapie Europy, to różnice zaczynają mieć znaczenie. I dlatego sporu o wydarzenia sprzed 163 lat nie sposób łatwo zbagatelizować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Fundusz w kajdankach

Przyciągający media proces może nieco odwrócić uwagę od zapaści w Funduszu Sprawiedliwości, która dzieje się teraz FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Ruszył proces ks. Michała Olszewskiego i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości w sprawie przyznania dotacji dla Fundacji Profeto z Funduszu Sprawiedliwości. Tymczasem obecna ekipa doprowadziła do paraliżu FS

Pierwszy dzień procesu ks. Olszewskiego i urzędniczek za nami. Nie sądziliśmy, że rozprawie towarzyszyć będą odgłosy rozpruwania szaf w KRS. Symboliczne. Pomimo wielogodzinnych protestów wszystkich obrońców sąd proceduje w rażąco wadliwym składzie. Dwoje jego członków zostało wyznaczonych ręcznie, wbrew ustawie obligującej do wyłonienia ich w drodze losowania. Dożyliśmy ciekawych czasów" – napisał w serwisie X mec. Adam Gomoła, jeden z pełnomocników duchownego. Proces w sprawie przyznania 66 mln zł Fundacji Profeto ruszył dwa tygodnie temu. Według prokuratury kierowana przez ks. Olszewskiego fundacja nie spełniała wymaganych kryteriów, stąd przyznanie i korzystanie ze środków Funduszu Sprawiedliwości stanowiło przestępstwo przeciw mieniu. Księdzu i byłym urzędniczkom – Urszuli D. oraz Karolinie Ś. – zarzuca się udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Warto zaznaczyć, że budowany ze środków FS ośrodek Archipelag na warszawskim Wilanowie stoi w stanie surowym (o celach inicjatywy rozmawiałam z ks. Michałem Olszewskim jeszcze przed zatrzymaniem, w lutym 2024 r., „Do Rzeczy" nr 7/2024).

POTRZEBUJĄCY NA LODZIE

Przyciągający media proces może nieco odwrócić uwagę od zapaści w Funduszu Sprawiedliwości, która dzieje się teraz. Idąc do władzy, koalicja Donalda Tuska obiecywała nie tylko rozliczenie poprzedników, lecz także „uzdrowienie" tego programu. Wygląda jednak na to, że zamiast naprawy ewentualnych dysfunkcji doprowadzono do całkowitej zapaści. Pod koniec grudnia Wirtualna Polska jako pierwsza zaalarmowała, że od 1 stycznia środki płynące do organizacji pomagających poszkodowanym zostaną zablokowane. Wszystko dlatego, że nie rozstrzygnięto konkursu rozpisanego w lipcu. Wyniki mieliśmy poznać 6 grudnia, ale resort Waldemara Żurka milczał. Tymczasem 31 grudnia zakończył się czteroletni program pomocy ofiarom przestępstw. „Informujemy, że od 1 stycznia 2026 r. wstrzymane zostanie wsparcie, którego udzielamy jako Ośrodek Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem […]. Zespół Niebieskiej Linii IPZ pozostaje w gotowości, by działać, jednak bez środków na funkcjonowanie i realizację zadań nie jest możliwe ani przyjmowanie nowych osób pokrzywdzonych, ani kontynuowanie wsparcia, które się rozpoczęło" – przekazała Niebieska Linia Instytutu Psychologii Zdrowia. Szefowa Niebieskiej Linii po-

eprasa.pl 4c1b1273a2

wiedziała WP: „Na szybko zamykamy najpoważniejsze sprawy. Wypowiedzieliśmy umowy na wynajem lokali. Mamy duży zespół, ale specjaliści nam się wykruszą, gdy nie będziemy mogli działać".

Część środków z FS jest przekazywana na pomoc postpenitencjarną, dla więźniów wracających na łono społeczeństwa. Stowarzyszenie Sursum Corda, prowadzące w Nowym Sączu ośrodek pomocy postpenitencjarnej, ogłosiło: „Z przykrością informujemy, że od 1 stycznia 2026 r. Ośrodek Pomocy Postpenitencjarnej prowadzony przez Stowarzyszenie Sursum Corda będzie czasowo zamknięty". To nie są historie łatwe, o ludziach aniołach. Pomoc od podobnego ośrodka dostał m.in. 65-letni Bogdan, skazany na ponad 29 lat za podwójne morderstwo, którego – jak zapewnia – nie dokonał. Ośrodek, w którym pomagano mu stanąć na nogi po niemal 30-letniej odsiadce (oferował psychologa, psychiatrę, prawnika), nie dostał pieniędzy na dalszą działalność. – Nie umiem żyć poza więzieniem. Napatrzyłem się przez te lata na tych, którzy wychodzili. Mówili, że nie chcą wracać, ale zdecydowana większość znowu łamała prawo i wracali – mówi mężczyzna. Opowiada, że po wyjściu na wolność chciał się zabić, ale dzięki pomocy powoli stanął na nogi. „Opiekunowie w ośrodku dowiedzieli się, że za kratami uspokajało go składanie statków z papieru. Dali mu do ozdabiania styropianowe bombki – uspokoił się, czymś się zajął" – opisuje WP.

Inna historia: 47-letni Włodzimierz. Przyznaje, że od dziecka żył poza prawem. W sumie za pobicia, rozboje i kradzieże siedział prawie 15 lat. Wyszedł w 2025 r., jednak zamiast do złego towarzystwa, jak zazwyczaj, trafił do ośrodka pomocy postpenitencjarnej. – Nie wiem, co się teraz ze mną dzieje, ale to jest piękne. Jestem dziś trzeźwy, cieszę się tym, co jest – mówi. Dziś pracuje, wynajął mieszkanie. Przekonuje, że gdyby nie ośrodek, nie dałby rady. Fundusz Sprawiedliwości pomaga też m.in. ofiarom przemocy seksualnej, domowej oraz oszukanym np. metodą „na wnuczka".

EFEKT MROŻĄCY

Do końca września kilkadziesiąt organizacji zgłosiło chęć dalszego działania. Zamiast wyników naboru szef MS opublikował pismo, w którym poinformował: „Przedłużam termin dokonywania ocen pod względem formalnym i merytorycznym [...] do 31 stycznia 2026 r.". „W ministerstwie działanie funduszu nadzoruje sędzia Sławomir Pałka [...]. Zdaniem ministra praprzyczyną są kontrole prowadzone w Funduszu przez ostatnie lata: działania Najwyższej Izby Kontroli, administracji skarbowej i prokuratury. Wiceminister Pałka zaznacza, że rekomendacje i wnioski z nich płynące sprawiły, że kryteria przyznawania pieniędzy są znacznie zaostrzone" – opisywano w WP. – To nie chodzi o to, że zarzuty były stawiane urzędnikom na najbardziej eksponowanych stanowiskach. Chodzi też o zarzuty stawiane pracownikom, którzy np. nie sprawdzili statutów organizacji. Ja nie oceniam działań prokuratury, ale takie „szerokie" pójście sprawia, że kolejni urzędnicy pięć razy będą ten wniosek sprawdzać – zaznacza wiceminister.

Według źródeł „rozliczanie" poprzedników, w tym wsadzanie za kraty urzędników odpowiedzialnych wcześniej za Fundusz, wywołało efekt mrożący. Obecni pracownicy MS mają obawiać się podejmowania decyzji w sprawie pieniędzy, aby nie podpaść szefostwu i nie narazić na ewentualne późniejsze zarzuty. Ministerstwo zatrudniło zewnętrznego audytora (według Zbigniewa Ziobry za prawie milion złotych; Waldemar Żurek przekazał, że koszt to ok. 200 tys. zł), który ma pomóc w ocenie wniosków. Minister zapewnił, że resort pracuje nad rozporządzeniem, by „był rodzaj przepisów, który pozwoli, jeżeli jakiś podmiot wygra konkurs w tym nowym, dużym konkursie, żeby móc refundować mu te wydatki od 1 stycznia przyszłego roku". Zastrzegł, że to jednak wymaga nowelizacji ustawy, a na razie parlament nie proceduje niczego takiego.

Kolejna informacja wywołała niemałe oburzenie. Europoseł PiS Patryk Jaki poinformował, że zatrudniony przez resort audytor zwrócił się o pomoc w ocenie wniosków do… oskarżanej byłej urzędniczki MS – tej samej, której, traktując ją jak niebezpiecznego przestępcę, zakładano kajdanki, gdy szła do toalety. Nikt inny nie ma bowiem tak dużej wiedzy na temat funkcjonowania Funduszu Sprawiedliwości. – Mamy tak bezczelny system łamania prawa, że doszło nawet do tego, że urzędniczka Ministerstwa Sprawiedliwości była wożona w kajdankach zespolonych, wobec niej były łamane prawa człowieka, ona została poproszona nagle, żeby uzupełniała wnioski, bo oni nie potrafią tego zrobić – mówił Patryk Jaki podczas briefingu.

Karolina Ś. potwierdziła otrzymanie takiej oferty w rozmowie z TV Republika. – Otrzymałam e-maila z propozycją oceny projektów w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Po pierwsze byłam bardzo zaskoczona, po drugie zbulwersowana. Przez siedem miesięcy byłam w areszcie z powodu rzekomych nieprawidłowości przy ocenie ofert w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Po pół roku od wyjścia z aresztu kontaktuje się ze mną podmiot, który na zlecenie Ministerstwa Sprawiedliwości będzie dokonywał oceny, z prośbą o możliwość współpracy i oceny tych projektów – relacjonowała. Karolina Ś. zaznaczyła, że oceną wniosków konkursowych powinni zajmować się urzędnicy. Współpracy odmówiła.

OPÓŹNIENIA I OBIETNICE

Po medialnych publikacjach MS wydało komunikat: „Ministerstwo Sprawiedliwości stanowczo podkreśla, że nikt nie pozostanie bez pomocy państwa [...]. Zapewnienie wsparcia osobom pokrzywdzonym jest dla resortu priorytetem, a sytuacja jest na bieżąco monitorowana". Sęk w tym, że wypłata środków nie ruszyła. – Nikt nam nic nie tłumaczy, a komunikaty ministra są po to, żeby uspokoić media, a nie załatwić sprawę – mówi WP przedstawiciel jednej z organizacji, które działały dzięki środkom z Funduszu.

Pod koniec grudnia ubiegłego roku na koncie FS było ponad 580 mln zł – o 37 proc. więcej niż w lipcu tego samego roku. Pieniądze nie płyną, a MS nabiera wody w usta. Ministerstwo nie odpowiada na pytania organizacji korzystających dotychczas ze środków, dotyczące zapowiadanej przez ministra Żurka refundacji.

W chwili przekazania tego tekstu do druku nie wiadomo, czy zgodnie z obietnicą resortu ocena wniosków konkursowych w Funduszu Sprawiedliwości zostanie zakończona do soboty 31 stycznia. Wiele wskazuje na kolejne opóźnienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Roman Fritz obok Grzegorza Brauna podczas procesu prezesa Konfederacji Korony Polskiej w Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Południe, 8 grudnia 2025 r. FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Z Romanem Fritzem, wiceprezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem na Sejm RP
rozmawia Ryszard Gromadzki

Jesteśmy uciskani przez państwo

RYSZARD GROMADZKI: Czy pana formacja czuje się związana z dziedzictwem Solidarności?

ROMAN FRITZ: Jeżeli chodzi o patriotyzm, wybicie się na suwerenność, które niosła Solidarność w 1980 r., to oczywiście tak. Był to dla Polaków poryw wielkiej nadziei na wyzwolenie się spod sowieckiego jarzma. To budowało tożsamość pokolenia, które wchodziło w dorosłe życie w latach 80., i tworzyło łączność z pokoleniami, które wcześniej walczyły o wolną Polskę. Natomiast co do strony gospodarczej trzeba by przyjrzeć się słynnym „21 postulatom", których realizacji domagali się strajkujący latem 1980 r. robotnicy. Ich główną treścią były prawa pracownicze, których robotnicy w PRL, nominalnie w państwie robotników i chłopów, byli pozbawieni. Dlatego domagali się m.in. niezależnych i samorządnych związków zawodowych. Trudno – mając wiedzę o realnym socjalizmie, który panował wówczas w Polsce – odmówić słuszności robotniczym postulatem.

Pytam pana o Solidarność celowo, bo dziś to Konfederacji Korony Polskiej zarzuca się zamach na prawa pracownicze w związku z postulatami, które zapisane są w waszym programie gospodarczym, takimi jak „wygaszanie ZUS" czy ograniczenie roli i uprawnień związków zawodowych.

To zupełnie chybiony zarzut, bo mamy dziś w Polsce zupełnie inne realia gospodarcze. Własność państwowa już w gospodarce nie dominuje. Wobec tego mówienie o prawach pracowniczych dziś ma się nijak do 1980 r. Cała ta sfera wymaga przewartościowania, przeanalizowania na chłodno. Rzeczywiście mamy napisane w naszym programie, że jesteśmy zwolennikami ograniczenia roli

eprasa.pl 4c1b1273a2

i wpływu związków zawodowych na zarządzanie firmami i ich politykę kadrową. Myślę, że to postulat zupełnie oczywisty. Z jakiej racji jakaś organizacja związkowa, nie mając żadnych kompetencji, ma korzystać z jakichś dodatkowych przywilejów? Powołam się na przykład z branży górnictwa węgla kamiennego na Śląsku, który obecnie znajduje się w stanie atrofii, jest na ścieżce do całkowitej likwidacji. Trzeba postawić pytanie: Dlaczego ta branża, która była tworzona na Śląsku przez kilkanaście pokoleń, na naszych oczach ma zostać zniszczona? Owszem, dzieje się tak z powodów ideologicznych, wykuwanych gdzieś w czeluściach Unii Europejskiej, ale inną przyczyną jest szkodliwa rola związków zawodowych. Po 1989 r. górnicze związki systematycznie podpiłowywały gałąź, na której same siedziały. Dziś ten konar jest już odcięty i wszyscy lecą w dół, a ja słyszę: „Panie pośle, ratuj!". Tylko ratować już nie ma czego. W 2021 r. związkowcy z różnych górniczych central podpisali słynną „umowę społeczną" z rządem Morawieckiego, który w rozmowach ze związkami reprezentował minister Sasin. To w tej umowie zawarta jest mapa drogowa likwidacji polskich kopalń. Pytam: Kto dał związkowcom prawo do zawarcia umowy nie tylko o zamknięciu całej gałęzi przemysłu, lecz także dostępu do naszych dóbr naturalnych? To kompletna paranoja.

Można to określić znacznie mocniej, panie pośle.

Z pewnością. Słowo „zdrada" jest tu całkowicie na miejscu. Jeśli zatem jako Konfederacja Korony Polskiej deklarujemy, że sprzeciwiamy się takiej patologii z udziałem związków zawodowych, z jaką mieliśmy do czynienia na Śląsku, to chyba nie oznacza, że jesteśmy przeciwko ludziom pracy, a wręcz przeciwnie. Chcemy, żeby w kopalniach była praca, żeby górnictwo dalej w Polsce istniało.

A gdzie byli górnicy? Też dali się kupić za odprawy? Za 23 lata nie będzie już górnictwa węgla kamiennego w Polsce.

Zgadza się. W 2049 r. zostaną zamknięte dwie ostatnie kopalnie: Chwałowice i Jankowice w moim Rybniku. Chociaż proces wygaszania kopalń zaczął się już wcześniej. Przypomnę, że najlepsza, jeśli chodzi o jakość wydobywanego węgla, Kopalnia Krupiński w Suszcu została zamknięta już w 2017 r. Wszystkie jej instalacje zostały pocięte na złom. Dziś jest tam krajobraz księżycowy. Pyta pan: Gdzie byli górnicy? Jeśli chodzi o związkowców, to ci czują się bardzo dobrze. Chociaż miałem kilka razy okazję rozmawiać z przedstawicielami różnych central związkowych i ktoś ważny spośród nich przyznał mi, że zgoda na likwidację kopalń była błędem i że oni żałują tej decyzji. Myślę, że jest prawdopodobnie cała masa pracowników przemysłu górniczego, którzy nie mieli wpływu na to porozumienie, nie utożsamiają się z tym, co podpisali ich szefowie związkowi, ale zostali spacyfikowani gratyfikacjami finansowymi. Jeśli górnik za cenę kilkudziesięciu tysięcy złotych widzi to wszystko i milczy, to kwestia jego sumienia. Ale jest przecież pytanie o przyszłość, przyszłość kolejnych pokoleń, przyszłość tej ziemi. Po nas choćby potop? Mamy definitywnie utracić dostęp do tych cennych złóż? Wszystko tłumaczy się dyżurnym argumentem o braku opłacalności wydobycia.

Rzeczywiście wydobycie węgla kamiennego ze śląskich złóż się już nikomu nie opłaca?

Kwestia optymalizacji wydobycia to jedna rzecz, ale tu w grę wchodzi sprawa bezpieczeństwa energetycznego Polski. Wyobraźmy sobie, że podczas tak surowej zimy jak obecna w Polsce nie mamy już własnych kopalń węgla, a sprowadzamy go z Kolumbii czy Indonezji, mając węgiel energetyczny u siebie. Czysty absurd. Szyby w kopalniach można pogłębiać. Tak dzieje się w jednej z rybnickich kopalni, gdzie głębokość szybu pogłębiono z 700 do 850 metrów. W Polsce górnictwo jest ściśle powiązane z energetyką konwencjonalną. W Rybniku, gdzie mieszkam, działa elektrownia, która też przeznaczona jest do wygaszenia już w 2027 r. Chociaż w myśl tej fatalnej dla polskiego górnictwa „umowy społecznej" z 2021 r. Elektrownia Rybnik miała funkcjonować do 2030 r., z możliwością przedłużenia działania nawet o kolejnych pięć lat. Elektrownia tania i doinwestowana już w latach 90. w system odsiarczania i filtracji, zdolna do przerobu węgli z najgorszych gatunków. Logistyka niemal za darmo, bo ten gorszy gatunkowo węgiel zalega na hałdach pobliskich kopalni, które nie mają go komu innemu sprzedać. W efekcie zamknięcia elektrowni w Rybniku ta mapa drogowa zamknięcia polskich kopalni znacznie przyspieszy. Kopalnie będą zamykane, bo zabraknie głównego odbiorcy, czyli Elektrowni Rybnik. Jej pracownicy mówią mi, że od połowy grudnia „jadą na full". Wypadnięcie Rybnika z systemu energetycznego to potężny problem.

Zielony Ład w praktyce. Jego kolejną ofiarą może też być Elektrociepłownia Będzin, na którą Główny Inspektorat Ochrony Środowiska nałożył ostatnio gigantyczną karę 248 mln zł za to, że nie wywiązywała się terminowo z rozliczenia emisji dwutlenku węgla w ramach systemu ETS.

Jak znam zarząd EC Będzin, to nie będą płacić tej kary i doprowadzą do świadomej likwidacji zakładu, władza w Warszawie się na to nie zgodzi i sprawa pewnie rozejdzie się po kościach. Dokładnie tak powinno się postępować w podobnych sytuacjach.

Wracając do programu gospodarczego Konfederacji Korony Polskiej. Mam wrażenie, że forsując takie pomysły jak likwidacja płacy minimalnej, dobrowolny ZUS czy swoboda umów o pracę, zderzycie się z ogromnym oporem roszczeniowo usposobionej części społeczeństwa. Tak zwany elektorat socjalny stanowi w Polsce wciąż istotną siłę. Jak chcecie przebić się przez potężną barierę w mentalności wielu ludzi?

Zdajemy sobie w pełni sprawę, że przesłanka racjonalna przemawiająca za takimi rozwiązaniami, którą staramy się promować w naszym programie, stoi w opozycji do stricte socjalistycznej narracji, która obowiązuje w Polsce od kilkudziesięciu lat, niestety podtrzymywanej przez wszystkie główne siły polityczne w Polsce.

To karma, którą żywi się elektorat w III RP...

Żywią się elektorat i media. Nie ma odważnego, który powie, że ten przekaz nie zdaje egzaminu. My chcemy ratować Polskę i dlatego z otwartą przyłbicą proponujemy rozwiązania, które są trudne, być może będą bolesne, ale są konieczne, żeby postawić polską gospodarkę na nogi. Co do płacy minimalnej, to nie brakuje przykładów państw, znacznie bogatszych od Polski, w których płacy minimalnej nie ma. Mam na myśli Austrię, kraje skandynawskie czy większość kantonów szwajcarskich. Jeżeli założymy, że nowo

eprasa.pl 4c1b1273a2

przyjęty do firmy pracownik musi dostać 4,8 tys. zł, co de facto kosztuje pracodawcę jeszcze co najmniej tysiąc złotych więcej, bo dochodzi kwestia ozusowania, to oznacza, że doświadczony pracownik, o wysokich kwalifikacjach, znacznie więcej wart dla firmy, dostanie niewiele więcej. Mówię o tym wszystkim, opierając się na własnym doświadczeniu. Jestem mikroprzedsiębiorcą prowadzącym działalność gospodarczą od ponad 30 lat. Zawsze działałem sam, bo ilekroć chciałem zatrudnić pracownika, tylekroć kwestia ZUS czy płacy minimalnej stawiała mnie do pionu. Po prostu nie stać mnie, żeby kogokolwiek zatrudnić, wolę pracować więcej, niż wdawać się w jakieś koszmarne koszty.

Równie kontrowersyjnym postulatem jest dobrowolny ZUS, który proponujecie. Wielu ludzi obawia się, że jego realizacja doprowadziłaby do zawalenia się systemu emerytalnego w Polsce.

Odpowiadając na te obawy, warto by pokazać wszystkie pozycje budżetowe, pod którymi realizowane są dopłaty do ZUS, wtedy ludzie dowiedzieliby się, ile dodatkowo kosztuje ich utrzymanie ZUS i że cały ten system postawiony jest na głowie. Z kondycją ZUS ściśle skorelowana jest katastrofa demograficzna, której doświadcza Polska. Nie może tak być, żeby mało liczne pokolenie wchodzące na rynek pracy musiało utrzymywać, przecież nie ze swojej winy, emerytów z poprzednich dekad. To jest skrajnie niesprawiedliwe. Żeby to zmienić, potrzebujemy dobrowolności ZUS. Pozytywnym skutkiem takich działań, oprócz dobrowolnego ZUS, mam na myśli również likwidację płacy minimalnej, byłoby ożywienie inwestycyjne. Każdy racjonalnie myślący inwestor planujący przedsięwzięcie w naszym regionie Europy musiałby wtedy zwrócić uwagę na Polskę. Skutkiem ożywienia inwestycyjnego byłaby presja ze strony pracowników, którzy mogliby wybierać spośród wielu ofert ze strony pracodawców, które pojawiłyby się na rynku. To wszystko powinno dotrzeć do Polaków. Kluczowe jest sformatowanie odpowiedniego przekazu.

Proponujecie wprowadzenie jednego podatku obrotowego na poziomie 1,5 proc. To wystarczy, żeby zapewnić wszystkie potrzeby budżetu, który rok w rok obciążony jest ogromnym deficytem?

Przeprowadziliśmy taką symulację mniej więcej pięć lat temu. Oczywiście wymaga to aktualizacji. Pojawiły się przecież w tym czasie istotne zmienne, jak tzw. pandemia, była kwestia wydawania gigantycznych środków na Ukrainę. Przypomnę, że program gospodarczy Korony obejmował trzy horyzonty czasowe: „na dziś", „na jutro" i „na pojutrze". Program „na jutro" to jest perspektywa dekady, czyli realnej szansy na umożliwienie wpływu naszej partii na rządzenie. Z kolei program „na pojutrze" obejmuje horyzont następnych dwóch pokoleń, czyli osiągnięcie stanu, jak Polska powinna naszym zdaniem docelowo wyglądać. Obecnie cały zespół ekspertów pracuje nad aktualizacją tego programu. Dużo sobie obiecuję po debatach, które odbyły się 31 stycznia, w trakcie Kongresu Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych. Myślę, że uzbrojeni w wiedzę i wnioski, które tam zostały przedstawione, będziemy w stanie już wkrótce sformułować i ogłosić nową wersję programu, który stałby się bazą dla naszej oferty w wyborach parlamentarnych w 2027 r.

Mówienie przez Kaczyńskiego o tym, że „głos na Brauna to głos na Putina", jest przejawem nikczemności

Pomysł likwidacji podatków PIT i CIT jest nadal aktualny?

Oczywiście, że tak. Dlatego że naszym celem jest maksymalne uproszczenie działalności gospodarczej, a tym samym pobudzenie polskiej przedsiębiorczości. Grzegorz Braun w trakcie kampanii prezydenckiej często powtarzał hasło: „PIT, CIT do kosza, ZUS do wygaszenia", nadal się tego trzymamy. Jako obywatele, jako przedsiębiorcy jesteśmy dziś maksymalnie uciskani przez państwo. Będąc posłem, patrząc na to wszystko z bliska, widzę – i mówię to bez żadnej przesady – że każde posiedzenie Sejmu wnosi kilka projektów ustaw, które są szkodliwe dla prowadzenia działalności gospodarczej. Ostatni przykład to niesławny KSeF. Teraz się okazuje, że być może w tym roku nie będą jeszcze nakładane kary dla tych, którzy go nie wdrożyli. Wielka szkoda, że tę fatalną ustawę przeprowadzoną wspólnie przez PiS i Koalicję Obywatelską podpisał prezydent Nawrocki.

Czy Polskę stać na wybicie się na realną suwerenność?

Bez wyjścia z tego komunistycznego rezerwatu, którym jest Unia Europejska, jest to niemożliwe. Wyjście z Unii jest absolutnie koniecznym warunkiem wybicia się na suwerenność, chociaż niewystarczającym. Wcześniej trzeba pobudzić polską przedsiębiorczość, na wzór ustawy Wilczka, chociaż wtedy sytuacja była diametralnie inna. Przygotowujemy może nie tyle nową ustawę Wilczka, ile „ustawę Wilka", bo przygotowuje ją zespół pod kierownictwem mecenasa Jacka Wilka, jej osią jest radykalna deregulacja gospodarki.

Mówi pan jak państwowiec zatroskany o los Polski. Kilka dni temu Jarosław Kaczyński powiedział, że „głos oddany na Brauna to nawet nie głos na Tuska, lecz Putina". Jak pan to skomentuje?

To skandaliczna wypowiedź. Czas Jarosława Kaczyńskiego w polskiej polityce chyba się już wyczerpał. Mam wrażenie, że prezes Kaczyński „odkleił się" nawet od swojej partii, nie mówiąc już o wyborcach PiS. Kontaktuję się na co dzień w swoim okręgu z wieloma działaczami Prawa i Sprawiedliwości i nie mam z tym żadnego problemu. Uważam, że jest tam wielu sensownych ludzi, z którymi można coś wspólnie budować. Nastawienie z ich strony jest podobne. Mówienie przez Kaczyńskiego o tym, że „głos na Brauna to głos na Putina", jest przejawem nikczemności. Byłem działaczem opozycji antykomunistycznej w latach 80., na miarę swoich możliwości walczyłem wtedy z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, którą Leszek Moczulski trafnie określił jako „Płatnych Zdrajców Pachołków Rosji". Centrala tej partii de facto znajdowała się w Moskwie, więc walcząc z władzą PZPR, walczyłem z Moskwą. Nazywanie mnie dziś „sługusem Putina" to czysta podłość.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Z dr. Tomaszem Łuszczkiem, góralem, językoznawcą z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Radosław Wojtas

Musimy ratować góralszczyznę

RADOSŁAW WOJTAS: Pierwszym językiem, który słyszał pan w domu, była gwara podhalańska. W pańskim pokoleniu, czyli dzisiejszych 30-latków, każde dziecko na Podhalu mówiło najpierw po góralsku?

DR TOMASZ ŁUSZCZEK: W moim pokoleniu to była norma. Pochodzę ze wsi Dzianisz w gminie Kościelisko. Zarówno u nas, jak i w sąsiednim Witowie czy szerzej, na tzw. Skalnym Podhalu, standardem było, że pierwszym, natywnym językiem była gwara podhalańska. W tamtych czasach ewenementem był ten dzieciak, który nie mówił gwarą. Takie dzieci bywały wręcz wytykane palcami przez rówieśników.

Teraz jest inaczej?

Zupełnie inaczej. Dziś sytuacja się odwróciła. Nie mam twardych danych procentowych, ale strzelałbym, że ok. 70 proc. dzieciaków, zwłaszcza tych najmłodszych, nie posługuje się już góralszczyzną na co dzień. One ją rozumieją, bo rodzice – czyli roczniki z lat 80., 90. i młodsi – mają to we krwi. Ale dzieci urodzone w poprzedniej i obecnej dekadzie wychowują się już w świecie zglobalizowanym i zdigitalizowanym. Zaczynają edukację od przedszkola, gdzie nie mówi się do nich po góralsku, więc mają regularną styczność z językiem ogólnopolskim od drugiego roku życia, do tego dochodzą Internet, Netflix...

Czyli rodzice mówią gwarą, a dzieci już nie potrafią?

To jedna sytuacja: rodzice i dziadkowie mówią w stu procentach gwarą, a dzieci rozumieją, ale mówią „pół na pół". Jest też druga sytuacja, coraz częstsza u młodszych rodziców, powiedzmy 30-latków. Z moich obserwacji wynika, że małżonkowie, będąc rodowitymi góralami, między sobą rozmawiają po góralsku, ale do dziecka zwracają się albo mieszanką, albo starają się mówić czystą polszczyzną.

Tak jakby im zależało na tym, żeby dzieci mówiły inaczej od nich, czyli jak wszyscy poza Podhalem. Nie chcą, by – gdy „pójdą w świat" – było słychać, skąd pochodzą?

To nasz góralski paradoks. Nie znam górala, który nie byłby dumny ze swojego pochodzenia, tradycji, gwary. A jednocześnie można odnieść wrażenie, że wielu dziś woli, by dzieci, kiedy wyjadą na studia czy do pracy poza Podhale, nie zdradzały swoim akcentem, skąd pochodzą.

A pan poszedł w świat i zrobił doktorat, by ratować góralszczyznę?

Ta historia nie jest aż tak romantyczna. Wszystko zaczęło się od mojej specjalizacji na studiach magisterskich na Uniwersytecie Warszawskim. Wybrałem językoznawstwo teoretyczne, a konkretnie – fonologię. To dziedzina, która zajmuje się dźwiękami językowymi i regułami decydującymi o tym, jaki dźwięk może się sparować z innym. Uczyliśmy się tam różnych modeli językowych, głównie w metodologii amerykańskiej, których celem jest sprowadzenie wszystkich 7 tys. języków świata do wspólnego mianownika. I wtedy mnie olśniło: mamy nowoczesną teorię, a gwara podhalańska nigdy nie była nią badana.

I tak po prostu postanowił pan to zmienić?

Impuls dał mój promotor, prof. Jerzy Rubach. Kiedy usłyszał, skąd pochodzę, stwierdził krótko: „Nawet nie ma dyskusji, będziesz zajmował się góralszczyzną i pójdziesz na doktorat". Wtedy nawet nie wiedziałem, z czym się ten doktorat je, ale on już wiedział, że to droga dla mnie. Zawsze czułem lokalny patriotyzm, byłem dumny ze swojego pochodzenia. Ta praca połączyła dwie rzeczy: głód intelektualny młodego naukowca i moją tożsamość. O góralszczyźnie wylano już morze atramentu, ale cała ta literatura była zakotwiczona w tradycyjnym, polskim ujęciu opisowym. To, co ja zacząłem robić, było próbą opisania faktów o naszej wymowie przy użyciu nowoczesnych narzędzi. Efektem ubocznym tych badań jest system ortograficzny, który zacząłem współtworzyć z prof. Rubachem. Bo żeby stworzyć dobre pismo, trzeba najpierw precyzyjnie znać wymowę.

Gdybyśmy chcieli zapisać ten wywiad gwarą, to nie moglibyśmy zrobić tego, stosując się do ogólnych zasad ortografii języka polskiego?

Ortografia ogólnopolska wprawdzie posiada środki do wyrażenia większości detali fonetycznych góralszczyzny, lecz używa tych środków inaczej.

Na przykład?

Weźmy literę „o" kreskowane („ó"). W języku ogólnopolskim wymawiamy je tak samo jak „u" otwarte. Słowa „Bóg" (Stwórca) i „buk" (drzewo) brzmią identycznie. Piszemy je różnie z dwóch powodów: historycznego (kiedyś brzmiały inaczej) i fonologicznego (bo „Bóg" wymienia się na „Boga", a „buk" się nie wymienia: mówimy „buka", nie „boka"). Różnica w wymowie „ó" oraz „u" zatarła się w polszczyźnie w połowie XIX w., ale w gwarze podhalańskiej ona wciąż istnieje. My wymawiamy „ó" inaczej – to tzw. dźwięk ścieśniony, który barwą przypomina coś pomiędzy „o" oraz „u". Po góralsku to „o" kreskowane piszemy czasem na końcu słowa. W wołaczu po polsku: „mamo!". A po góralsku: „mamó!". Istnieją tzw. pary minimalne, czyli dwa słowa, które różnią się wyłącznie jednym dźwiękiem.

eprasa.pl 4c1b1273a2

Przykładem w polskim byłoby „byk" oraz „łyk" – różnią się pierwszą literą. Skoro się różnią, to musimy mieć dwie różne litery na „b" i „ł". Po góralsku taką parą minimalną, jeśli chodzi o „o" kreskowane, są przymiotniki i przysłówki. Na przykład „mało" i „małó". „Mało" to przymiotnik żeński: „mało kawa" (mała kawa). A „małó" to przysłówek: „małó kawy" (mało kawy). Każdy Polak zna literę „ó", ale to, że pisze się ją na końcu po góralsku, jest dziwne dla użytkownika ortografii ogólnopolskiej.

Czyli nie widzi pan potrzeby wprowadzania nowych znaków i wymiany klawiatur na Podhalu?

Staramy się tego unikać. Nie można komplikować rzeczy ponad potrzebę. Jeśli chcemy, żeby młodzi ludzie pisali po góralsku, nie mogą instalować specjalnych układów klawiatury. Po prostu „klepią" w telefonie. Dlatego korzystamy z istniejących znaków, tylko zmieniamy zasady ich rozmieszczenia. Jedynym wyjątkiem jest wprowadzona już 100 lat temu litera „ý" („y" z kreseczką), oznaczająca tzw. archaizm podhalański – dźwięk pośredni między „i" a „y". Na przykład w słowie „sýn", „grzýb", „sýska", „cýtać". Brzmi to nieco jak: „sin", „grzib", „siska", „citać", choć ta wymowa „ý" podlega obecnie zmianom. Ale w praktyce, w SMS-ach czy na Facebooku, zaznaczanie tego dźwięku nie jest absolutnie konieczne do sprawnej komunikacji. Konkluzja jest taka: klawiatura, którą ma pan w komputerze, wystarczy do pisania po góralsku.

Często pan pisze po góralsku? Częściej w pracy czy prywatnie?

W pracy naukowej nie piszę po góralsku, piszę po angielsku. W językoznawstwie teoretycznym posługujemy się teorią i danymi, przy pomocy których testujemy tę teorię. A te dane w fonologii trzeba wyrazić tzw. międzynarodowym alfabetem fonetycznym, czyli transkrypcją fonetyczną. Alfabet fonetyczny ma setki znaków, jest bardzo dokładny, można nim zapisać wszystkie języki świata. Dzięki temu np. naukowiec z Indii, jeśli zna ten alfabet, otworzy mój artykuł i będzie czytał po góralsku, dokładnie odtwarzając brzmienie. Po góralsku piszę prywatnie z kumplami i z rodziną. Mamy grupkę rodzinną, gdzie piszemy po góralsku. Nauczyłem rodziców i siostry: klepią po góralsku świetnie.

A kiedy pokolenie pańskich dziadków wysyłało kartkę do rodziny w Chicago, to jak pisało po góralsku, skoro zasady ortograficzne to nowość?

Ludzie pisali tak, jak umieli. Zgaduję, że starali się jednak pisać językiem ogólnopolskim – tak jak uczono ich w szkole. Ale na pewno ciekawe byłoby zgromadzić takie źródła pisane i przeanalizować je pod kątem interferencji, czyli wpływu góralszczyzny na pismo. Być może znaleźlibyśmy rozwiązania ortograficzne, które przeciętny człowiek uznałby za karygodne błędy, a dla językoznawcy byłyby raczej pięknym świadectwem kreatywności autora oraz żywotności podhalańskiej gramatyki.

Żywy język wciąż się zmienia. Czy góralszczyzna również?

Oczywiście. Troszkę tutaj narzekam, że góralszczyzna zamiera i faktycznie trzeba bić na alarm, ale język góralski wciąż jest żywy, codziennie posługują się nim dziesiątki tysięcy ludzi. A każdy żywy język adaptuje zapożyczenia, czyli dostosowuje je pod siebie, przepuszczając je przez filtr własnej gramatyki. Bierzemy obce słowo, np. „Facebook", i dodajemy polską (lub góralską) końcówkę „-ować", żeby zrobić czasownik. Takie doczepienie końcówki do obcego słowa nazywamy adaptacją morfologiczną. Po angielsku nie powiemy „facebookować", a my mówimy „fejsbukować". Tyle że po góralsku brzmi to inaczej niż po polsku, gdyż obok adaptacji morfologicznej istnieje jeszcze adaptacja fonologiczna, czyli zmiany wymowy.

Jaka to różnica?

Co najmniej dwie. Po pierwsze: akcent. Po polsku pada na przedostatnią sylabę: „fejs-bu-KO-wać". Po góralsku akcentujemy inicjalnie, na pierwszą sylabę: „FEJS-bu-ko-wać". Po drugie: barwa tego „o". Po góralsku jest to „ó" (ścieśnione) – „fejsbukówać". Jak powiem „fejsbukować" po polsku, to góralowi będzie to brzmiało bardzo obco. Musi być „fejsbukówać". To jest przykład na przerabianie zapożyczeń, a więc dowód na żywotność gramatyki góralskiej – są ich tysiące.

A kiedy góral słyszy, jak cepry przyjeżdżają na narty i próbują mówić gwarą, to co sobie myśli?

Sądzę, że dominują pozytywne odczucia, o ile oczywiście takim próbom przyświecają szczere intencje. Góralowi może schlebiać to, że ktoś próbuje skrócić dystans poprzez próbę użycia jego ojczystej mowy. Mówi się przecież, że naśladownictwo to najwyższa forma pochlebstwa. Jeśli ktoś zadaje sobie trud zwracania się do nas w naszym własnym języku, to jest to wyraz szacunku i poszanowania dla tego języka, naszej kultury i nas samych. Niestety, tego poszanowania często brakuje w przestrzeni publicznej. Dla przykładu: górale bardzo ubolewają nad tym, jak ich język jest wykorzystywany do celów komercyjnych. Jedna marka piwa, zresztą bardzo lichego, od dawna opiera swoją reklamę na motywach podhalańskich. Nie dość, że gwara podhalańska jest używana do promocji pijaństwa, to w dodatku porażająca jest niedbałość, z jaką marketingowcy się nią posługują. To, co pada z ust aktorów, jest bardzo odległe od poprawnej góralszczyzny czy zresztą od jakiegokolwiek innego wariantu polszczyzny. Taka eksploatacja

dr Tomasz Łuszczek *– językoznawca, anglista, adiunkt w Instytucie Anglistyki UW. W roku akademickim 2023/2024 był stypendystą Programu Fulbrighta na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jego zainteresowania badawcze obejmują zagadnienia związane z językoznawstwem ogólnym (teoretycznym), zwłaszcza fonologią generatywną i teorią optymalności, oraz z fonetyką języków lokalnych.*

FOT. ARCHIWUM TOMASZA ŁUSZCZKA

eprasa.pl 4c1b1273a2

góralszczyzny podhalańskiej utrwala krzywdzące stereotypy i jest szkodliwa społecznie w każdym wymiarze, dlatego budzi powszechne oburzenie wśród górali. Również wiele do życzenia pozostawia sposób wykorzystywania języka górali w filmach i serialach. Ciężko znaleźć produkcję o skali ogólnokrajowej, w której ten język byłby użyty z dbałością o szczegóły. Zawsze mamy do czynienia z brakiem profesjonalizmu w tej kwestii. To wszystko musi się zmienić.

Czy trzeba mówić gwarą, żeby być góralem?

Kiedy ginie język, zawsze umiera kultura, która jest w nim odbita. Każdy język to oryginalny sposób postrzegania świata, osobna filozofia życia. W języku mamy zapisaną historię, przeżycia społeczności, wspólne traumy. To znika razem z językiem. Jeśli ratujemy język – rewitalizujemy go – to dbamy o to, żeby te rzeczy kulturowe nie zginęły. Żeby zachować różnorodność. Jeśli zginie gwara podhalańska, to zginie cały ten ładunek, który trudno teraz wyrazić.

Górale to temperamentni ludzie. Nie zabraknie słów w polszczyźnie, by wyrazić wszystkie emocje? I jak jest z tym u pana? Na przykład w takiej klasycznej sytuacji, kiedy mały palec u stopy spotyka się z nogą od stołu. Czy w tej krótkiej, żołnierskiej wypowiedzi, która następuje sekundę później, słychać echo Tatr czy raczej literacką polszczyznę?

Silne emocje to sytuacja, w której wychodzi nasz pierwszy język. Jeśli ktoś wychował się w środowisku dwujęzycznym i zastanawia się, który język jest pierwszy, wystarczy uderzyć się w piszczel albo w palec młotkiem. Mogę w pracy mówić, a nawet myśleć po angielsku, ale kiedy palec spotyka nogę od stołu, nie ma wątpliwości, że jestem góralem (śmiech). Górale są kreatywni, jeśli chodzi o leksykę w przekleństwach. Mamy dużo przekleństw, ale też takich „soft".

Jak „motyla noga!", „kurka wodna!", „jasny gwint!"?

Górale to lud pobożny, ale temperamentny. Są w nas dwa wilki: chciałoby się zakląć, ale Pan Bóg słucha, więc trzeba uważać. Dlatego mamy wersje łagodne, z odniesieniami do religii albo gór. Na przykład odwołujące się do sfery sacrum: „sakramyncko", „sakraportka", „sakrabanda", „sakraholsko". To ostatnie przekleństwo jest bardzo ciekawe, bo łączy sacrum i hole, czyli po góralsku góry, Tatry. Idę w hole, czyli idę w góry. Bardzo góralskie słowo, które dotyka dwóch ważnych spraw dla górala: religii i gór.

Górale mają ambicję, jak część Ślązaków, by gwarę podhalańską oficjalnie uznano za język?

Dyskusja o statusie języka zawsze jest polityczna, a nie naukowa. W językoznawstwie nie ma jasnej granicy między dialektem (lub gwarą) a językiem. Jednak na Podhalu nie ma tematu separatyzmu. Jesteśmy bardzo konserwatywnym regionem. Duma podhalańska i duma polska są u nas nierozłączne. Nie ma tu sprzeczności. Ponadto uznanie gwary za język regionalny dałoby nam potężne narzędzia: finansowanie, systemową ochronę, obecność w szkołach. To by nam bardzo pomogło. Bo teraz walczymy o pacjenta, który jeszcze żyje. Być może za 20 lat będziemy mogli już tylko odtwarzać ten język z archiwalnych nagrań. A po co rekonstruować coś, co można jeszcze uratować?

To co należy zrobić, żeby pacjent przeżył?

Kiedyś to sobie spisałem po góralsku.

To poproszę w oryginale!

Jo godom prostó: nas jynzýk giny na nasýk łocak. Za jakjy 20 rokow bedźy juz katastrofa, aly dźiś jesce sýćkó do śy uratować. Jak? Jo myślym, ze tak:

1. Muśime se zdać sprawe, ze nas jynzýk giny. Pjyrsým krokjym do łozwjonzańo kozdegó problemu jest wjedźyć, ze tyn problem jest.

2. Muśime se zdać sprawe, ze nas jynzýk tó nas FUNDAMYNT. Jak umre naso mowa, tó ś ńom umre sýćkó tó, co jest w ńyj z dowjyn downa przechowywane: góralsko myntalność, góralski charakter, góralsko duma, góralsko śleboda, góralskjy zwyki, góralsko mondrość zýćowo i fachowo itp. Tó sýćkó tó jest nas góralski KRYNGOSŁUP.

3. Muśime pilnować tegó, jak sami godome.

4. Muśime pilnować tegó, jak godome do swojik dźeći.

5. Muśime pilnować tegó, jak godajom nase dźeći do nos i mjyndzy sobom.

6. Muśime wyrzyc śy swojik kompleksow i róznyk zabobonow na temat „gwary", a w tó mjyjsce wloć pocućy dumy i wyjontkowośći z racji posługiwańo śy mowom podholańskom.

7. Muśime mjeć przedskola i złóbki, we ftóryk pańy nałucýćylki godajom do dźeći po góralsku.

8. Muśime mjeć spisanom gramatyke i porzondnom, łoficjalnom łortografjy podholańskom. Gramatyka podholańsko jest inno łod „polskjyj'", dlotegó tyz pismó muśi być inne. A pisma poczebujyme z róznyk powodow, np. po tó, coby archiwizować dlo potomnyk nasom mowe, abó po tó, coby podwyzsýć status nasyj mowy w skali kraju.

9. Muśime wprowadźić do skół podstawowyk na tereńy Podhola dwa łosobne przedmjoty: a) Kultura podholańsko; b) Jynzýk podholański.

10. Muśime kćeć.

Punkty 1–6 kozdy z nos moze zacońć wprowodzać w zýćy juz łod zaroz. Punkty 7–9 som trudńyjse, wymogajom duzó casu i poru zmjan sýstymowyk, aly wjerzym, ze som do zrobjyńo. Sýćkó zolyzý łod punktu 10.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

W „Hamnecie" poznajemy dzieje małżeństwa Williama Szekspira i Agnes Hathaway (Jessie Buckley)

FOT. AGATA GRZYBOWSKA

Nie ten Szekspir

Piotr Gociek

Mam film „Hamnet" Chloé Zhao, który właśnie trafił do polskich kin, za dzieło sztuczne i pretensjonalne, choć czytam wszędzie, jakie jest oryginalne i intrygujące

Hamnet" to film o rzeczy najważniejszej dla pokolenia płatków śniegu: o traumie. Trauma – jak wiadomo – to dziś słowo klucz. Nie można zrobić ani powiedzieć niczego, bo wywołuje traumę. Zatem dziecku nie wolno powiedzieć, że powinno się bardziej starać, dorosłemu – że coś spaprał. Kobiecie – że ładnie wygląda. Mężczyźnie – że cymbał. Wyborcy – że się myli. Bo jeszcze doznają traumy. I co wtedy? Świat się zawali. Nie mówiąc już o tak traumatycznych przeżyciach, jak jedzenie mięsa, które – jak wiadomo – pochodzi z rzeźni. Tyle że dziś, zdaje się, nawet nie można użyć słowa „rzeźnia", gdyż wywołuje to traumę.

ZBÓJECKIE PRAWO PISARZA

Film Chloé Zhao, skądinąd bardzo sprawnie nakręcony, nieźle napisany, dobrze zagrany i pięknie opowiedziany obrazem (zdjęcia: Łukasz Żal, znany ze „Strefy interesów"), posuwa się jeszcze dalej. Trauma nie tylko jest najważniejsza; jest również głównym wytłumaczeniem wszystkiego, łącznie z fenomenem twórczości Williama Szekspira. Co oczywiście jest bzdurą, bo każdy, kto czyta Szekspira, wie, z czego powstały jego nieśmiertelne dramaty i komedie. Potrzeba było wielkiego talentu, niezwykłego umysłu, ogromnej ciekawości świata i równie wielkiej przenikliwości w spoglądaniu na ów świat. Znajomości ludzkich charakterów, zrozumienia mechanizmów władzy, zdrady i namiętności. No i oczywiście do tego wszystkiego dołączyć musiało coś nieuchwytnego, coś, co od Pana Boga pochodzi – geniusz.

Nie chcę przez to powiedzieć, że w życiu artystów traumy są nieistotne – wręcz przeciwnie, wielu z nich z dumą obnosi swą nadwrażliwość. Kto widzi więcej, często i ból większy odczuwa – tak jest, było i będzie. A osobiste tragedie to źródło nieskończonego szeregu arcydzieł. Czy jednak jest wśród nich „Hamlet"?

Odpowiedzi nie zna nikt, ale na takiej właśnie spekulacji zbudowała swoją powieść Maggie O'Farrell. Takie zbójeckie prawo pisarza – może sobie stawiać dowolne tezy i pisać co chce. Ale zbójeckie prawo krytyka to z kolei wołanie: „Sprawdzam!" i przyglądanie się, co tam właściwie zmajstrowano i co z tego wynika. Spójrzmy więc na filmową wersję „Hamneta", nominowaną do Oscarów w ośmiu kategoriach, w tym dla najlepszego filmu i za najlepszą reżyserię.

Chloé Zhao wśród swoich filmowych inspiracji wymienia Anga Lee, Spike'a Lee i Wong Kar-Waia. Głośno zrobiło się o niej za sprawą dramatu „Nomadland", za który w 2021 r. zdobyła Oscara. Potem była nieudana przygoda z Marvel Cinematic

eprasa.pl 4c1b1273a2

Universe, czyli „Eternals". Teraz dzięki „Hamnetowi" Zhao znów przeżywa wielkie dni: recenzje są dobre, opinie widzów również; nie tylko nominacje, lecz także nagrody – Złoty Glob chociażby.

W „Hamnecie" poznajemy dzieje małżeństwa Williama Szekspira (Paul Mescal) i Agnes (wł. Anny) Hathaway (Jessie Buckley), kluczowymi zdarzeniami dla fabuły są zaś: rodzinna tragedia (śmierć syna imieniem Hamnet), epidemia „Dżumy" oraz przygotowania do wystawienia „Hamleta", który to dramat miał być wedle Maggie O'Farrell i Chloé Zhao przekuciem traumy pisarza w sztukę.

Podobnego chwytu użyli twórcy filmu „Zakochany Szekspir" (1998) nagrodzonego siedmioma Oscarami. Tyle że tam scenarzyści – Marc Norman i Tom Stoppard – oraz reżyser John Madden sięgnęli po formułę komedii romantycznej (fakt, że z nieszczęśliwym zakończeniem). W „Zakochanym Szekspirze" miłość młodego Willa (Joseph Fiennes) do Violi de Lesseps (Gwyneth Paltrow) owocuje napisaniem „Romea i Julii", a gwałtowny koniec romansu przynosi publice sztukę „Wieczór Trzech Króli" (której bohaterka zyskała nawet imię Viola).

„Hamnet" to natomiast melodramat z elementami pogaństwa, ta ostatnia rzecz jest chyba w filmie Chloé Zhao najbardziej zaskakująca. Już pierwsze kadry wprowadzają nas w sedno konfliktu: oto natura kontra cywilizacja. Agnes czuje się za pan brat z lasem i ptakami. Kadr, w którym leży między korzeniami wielkiego drzewa, sugeruje, że sama matka natura ją zrodziła (a w każdym razie obdarowała mocami). Szekspir zaś spogląda na nią zza krat (okno), uwięziony wewnątrz budynku (twór sztuczny), wykonujący zawód nauczyciela (patriarchat i przymus), w dodatku nauczyciela łaciny (skoro łacina, to i Kościół, zresztą część badaczy biografii Szekspira wysuwa tezę, że jego skrytość wynikała z faktu, że był katolikiem – a tych anglikanie prześladowali).

Budowa takiego przeciwstawienia owocuje masą bzdur w stylu New Age czy raczej powinniśmy powiedzieć: „old witchcraft", łącznie z leśnym połogiem, rozmaitymi przesądami, przepowiadaniem przyszłości przez „czarownicę" Agnes. Nie dość, że melodramat, to jeszcze folk horror czy może folk fantasy, a jako że o traumie (dramat utraty

„Hamnet" – jako melodramat, folk horror czy może folk fantasty – to produkt idealny dla pokolenia płatków śniegu i Generacji Z FOT. AGATA GRZYBOWSKA

dziecka), to jeszcze emocjonalny szantaż. Używam tego ostatniego sformułowania, bo dostrzegam, jak często i spontanicznie używane bywa przez widzów dzielących się swymi opiniami w Internecie.

Krytycy są dużo bardziej zachwyceni, bo oczywiście wywód, w myśl którego jedyną siłą napędową świata jest pogańska kobiecość, wynikająca z mocy świętej matki natury, doskonale pasuje do współczesnych mód ideologicznych. Kłopot w tym, że w całym tym równaniu Szekspir, nieśmiertelny bard, wyśmienity znawca tajników ludzkiej duszy, okazuje się niezbyt lotnym wieśniakiem, który gdyby nie tajemniczość i talenty żony oraz przedwczesne odejście syna, Hamneta, nie miałby za wiele do powiedzenia.

Mam zatem dzieło Chloé Zhao za sztuczne i pretensjonalne, choć czytam wszędzie, jakie oryginalne i intrygujące. Otóż nie, tak nie jest, to typowy film oscarowy, który gra na emocjach. I nieprawdą jest, że mówi nam coś ważnego – on udaje, że coś ważnego mówi. Co czyni „Hamneta" produktem charakterystycznym i idealnym zarazem dla pokolenia płatków śniegu i Generacji Z. Nie mądrość się dziś bowiem liczy, nie poważna refleksja, ale rozedrganie, histeria, emocja do kwadratu, spazm, płacz, krzyk itd.

TAJEMNICA GENIUSZU

Jednocześnie niesprawiedliwe byłoby nadmierne deprecjonowanie filmowego „Hamneta". Zdjęcia – jak wspomniałem – są znakomite, ładnie wybrzmiewa w tej historii znaczenie sztuki opowieści. Czasem snujemy je, by świat zrozumieć, czasem, by go zaczarować, a innym razem – bo po prostu musimy, bo są jedyną drogą do uzdrowienia.

Finałowe sceny „Hamneta" poruszają głęboko, nawet jeśli melodramatycznym szantażem nie czułem się poruszony wcześniej. Aktorzy spisali się przyzwoicie, fanem talentu Paula Mescala jestem od chwili, gdy zobaczyłem go w świetnym filmie „Aftersun". Świetnie wypadają aktorzy dziecięcy. Co do Jessie Buckley jako Agnes – tu kłopot. Słyszę już, że niektórzy obwołują ją „nową Meryl Streep", a to przecież bzdura. Jedyne, co dotąd w filmach pokazała, to że nieźle wypada w rolach chmurnych kobiet o zaciętych minach. Widać to dziś wystarczy, gdy wokół wystarczająco wiele toksycznej męskości, przeciw której owa chmurność jest skierowana.

Znamienna rzecz: jak często filmy o Szekspirze zajmują się umniejszaniem Szekspira. Nieudany „Anonim" (2011) Rolanda Emmericha w ogóle kwestionował jego istnienie, w „Zakochanym Szekspirze" Will nosił się jak knajpiany zabijaka, w hiszpańskim „Miguel y William" (2007) Cervantes i Szekspir rywalizowali nie tylko o serce tej samej kobiety, lecz także o to, który wypadnie bardziej przyziemnie. „Cała prawda o Szekspirze" (2018) to obraz poety u kresu życia, z wyeksponowanym wątkiem traumy po śmierci syna – ciekawe, na ile film Kennetha Branagha zainspirował Maggie O'Farrell i jej „Hamneta".

A gdyby tak… hm… myśl rewolucyjna: A gdyby tak nie dekonstruować? Gdyby przyznać Szekspirowi zasłużoną przecież wielkość? Nie żądam, by poświęcić mu panegiryk – jako człowiek był pewnie, cóż, tylko człowiekiem. Zatem i grzesznym, i lepszym; i weselszym, i smutniejszym – w zależności od tego, co w życiu się przydarza. Tajemnica jego geniuszu pozostaje dużo bardziej fascynująca niż wszelkie poświęcone mu dotąd filmy. Może po prostu, by jej dotknąć i choć trochę ją zrozumieć, powinniśmy studiować Szekspira, a nie tych, którzy karierę robią, czepiając się guzików jego kaftana.

REŻ. CHLOÉ ZHAO „HAMNET" WIELKA BRYTANIA, USA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

„Pastorałka", czyli co straciliśmy

Grzegorz Kondrasiuk

„Stara-Nowa Pastorałka" w Teatrze Klasyki Polskiej FOT. TEATR KLASYKI POLSKIEJ

Istnieje w pamięci teatru legenda „Pastorałki" Leona Schillera, tej mistrzowskiej stylizacji na ludowy teatr, granej w scenerii bożonarodzeniowej szopki. „Pastorałka" narodziła się ponad 100 lat temu, jeździła z Redutą Juliusza Osterwy po prowincji w międzywojniu, wzruszała w dużych i małych miastach i teatrach, a potem w czasie wojny w oflagach i u Samarytanek w Henrykowie (reżyserowana tam przez samego Schillera w dziewczęcym zakładzie opiekuńczym dla sierot i młodocianych prostytutek). Mamy kilka świadectw, tzw. dużych nazwisk, w dodatku o świetnych piórach. Ci ludzie twierdzili, że wywołała ona najważniejsze doświadczenie teatralne w ich życiu, wrażenie wejścia w samą „esencję" teatru, a wszystkiego tego można dowiedzieć się z reprintu scenariusza (z nutami!) wydanego przez Instytut Teatralny.

Świetnie, ale legenda ta znacząco utrudnia sięgnięcie po „Pastorałkę" w roku 2026. Bo co tak naprawdę się tutaj gra? I sam scenariusz, zawierający piosnki oraz scenki nawiązujące do stylu teatru pamiętającego jeszcze o średniowieczu i staropolszczyźnie, wraz ze współczesnymi (czyli sprzed prawie wieku) aluzjami, i obyczaj kolędowania, i tradycję, i boskie oraz szatańskie osoby, a wreszcie – gra się nas samych, wspólnotę, połączoną wspólnym śpiewaniem, a może nawet wzruszeniem… Trudności mnożą się na każdym poziomie, bo jesteśmy przecież w zawodowym teatrze, a nie np. na Mszy albo w muzeum teatralnym. Kawałki Schillera kojarzymy też, nawet nie znając, poprzez powtarzane w okolicach świąt telewizyjne realizacje, wzbudzające nieciekawe skojarzenie ze świątecznym przesytem oraz nudną, komercyjną twórczością okolicznościową.

O tym wszystkim chyba wiedzieli Teatr Klasyki Polskiej i reżyser Jerzy Machowski i – co ciekawe – mimo to znaleźli drogę do skarbca, do współpracy pozyskując doborowe grono majstrów w aktorskim, muzycznym i plastycznym fachu. Machowski opracował nowy scenariusz, zręczną, stylową kompilację pierwowzoru i innych dawnych tekstów (inkrustowaną w strategicznym miejscu Stanisławem Wyspiańskim). Wykazał się też podziwu godnym słuchem, jeśli chodzi o poszukiwanie trudno uchwytnego stylu „Pastorałki", unikającego muzealnej rekonstrukcji. Próbuję go opisać i brzmi to w sposób niewiarygodny: styl wysoki, odwołujący się do sakralności, tęskniący za patosem, zmieszany z „ludowym" (cokolwiek to dzisiaj znaczy), z rubasznym humorem i „naiwnym" sposobem bycia. Do tego zwroty do publiczności, apelujące do dawno utraconego poczucia jedności, oraz piękna warstwa muzyczna. Teatr i ogólnie sztuka są przecież po to, by rozkładać, podważać, kwestionować, krytykować – kto nam to wmówił i kiedy? A co z teatrem, który składa to, co rozbite, i daje nadzieję? Gdybym tego nie widział na własne oczy, to powiedziałbym, że styl „Starej-Nowej Pastorałki" to dziś gatunek wymarły, skompromitowany przez niesławnej pamięci cepelię, unieważniony przez obowiązujący dziś powszechnie, ironiczny sposób reagowania…

Myślę, że udało się to wszystko z jeszcze jednego powodu: Machowski postawił tu na czystą teatralność, bez żadnych podpórek, na kunszt aktorski i muzyczny bez medialnych pośredników. Na jakość nieprzekazywalną w żaden inny sposób, jak tylko podczas żywego spektaklu granego w świątecznym, wyjątkowym czasie. Tu się gra postaci teatralne, wyczarowane z błyskotliwego, pogłębionego dialogu, tu się śpiewa, a kiedy trzeba – to się zgrywa i żartuje (jak przezabawna grupa pasterzy oraz turoń ze skłonnością do nadużywania oraz inne epizodyczne postaci wokół stajenki). A jeśli trzeba, to jest się lirycznym i serio (jak postaci świętej opowieści, anioły, Bóg i Szatan oraz Prologus) dokładnie w takim tonie, jak wypada. Wszystkiemu też służy rzemiosło reżyserskie, fantazyjnie posługujące się sprawdzonymi chwytami, smaczkami i dowcipami scenicznymi, gęstością i zmiennością planów akcji, wychodzeniem z roli, traktowaniem epizodów jako scen głównych itd. Jest rzeczą niemożliwą w krótkiej recenzji opisać życie tych wszystkich kreacji, bo należałoby wymienić i odnotować całą obsadę. Oto zatem i ona: Marta Dylewska, Justyna Fabisiak, Natalia Gadomska, Agata Piotrowska-Mastalerz, Henryk Gołębiewski, Dariusz Kowalski, Robert Latusek, Paweł Lipnicki, Andrzej Mastalerz, Filip Orliński, Ksawery Szlenkier, Bartosz Turzyński, Maciej Wyczański, Leszek Zduń. A także mała orkiestra prowadzona przez Marię Pomianowską, posługująca się nietypowym, folkowym i egzotycznym instrumentarium i zaskakującymi aranżacjami. ©℗

TEATR KLASYKI POLSKIEJ, „STARA-NOWA PASTORAŁKA", WEDŁUG ANONIMOWYCH MISTERIÓW STAROPOLSKICH I KOLĘD ORAZ „PASTORAŁKI" SCHILLERA
REŻYSERIA: JERZY MACHOWSKI
OPRACOWANIE MUZYCZNE: MARIA POMIANOWSKA
PREMIERA: 13 GRUDNIA 2025 R., PREZENTACJA 12 GRUDNIA 2026 R. W MOK W ŚWIDNIKU (SPEKTAKL GRANY W FORMULE OBJAZDOWEJ)

eprasa.pl 4c1b1273a2

REPUBLIKA

Danuta Holecka zaprasza na główne wydanie serwisu informacyjnego Republiki — program **„DZISIAJ" — prawdziwe polskie wiadomości.**

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Ten niezwykły Mel

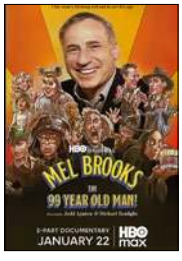

★★★★★☆

REŻ. JUDD APATOW I MICHAEL BONFIGLIO
„MEL BROOKS: 99-LATEK!" („MEL BROOKS: THE 99 YEAR OLD MAN!")
USA 2026

Urodził się podczas wielkiej depresji. Do show-biznesu trafił jako 14-latek. Podczas drugiej wojny światowej zdążył jeszcze jako amerykański żołnierz rozminowywać Francję. Wiele lat terminował w telewizji. Ale marzył o jednym: pisać filmy. Udzielił wielu wywiadów o swym życiu – większość z nich to całkowita fikcja. Jaka więc jest prawda? Tego dojść próbuje Judd Apatow, mistrz współczesnej komedii, sięgając po archiwalne materiały, nagrywając komików, dla których twórca „Kosmicznych jaj" był inspiracją, ale przede wszystkim rozmawiając z 99-letnim bohaterem dwuczęściowego dokumentu.

Zwłaszcza pierwsza część jest intrygująca. Szczegóły kariery w TV, małżeństwo z Anne Bancroft („Wyglądał jak mój ojciec, zachowywał się jak moja matka – jakże mogłam się nie zakochać" – kpi znakomita aktorka); zapomniana, a kultowa niegdyś postać „Człowieka, Który Żył 2000 lat", wreszcie kulisy powstawania debiutu, czyli „Producentów". Brooks przez pierwszą połowę życia nieustannie balansował na cienkiej granicy dzielącej umiarkowany sukces (ale nie taki, o jakim marzył) i całkowite odrzucenie. Gdy Bancroft poślubiała go w roku 1964, usłyszała od znajomego: „Co ty robisz? Przecież on jest skończony!".

W części drugiej kariera nabiera rozpędu – to niesamowite, ale właściwie niemal cała reputacja Brooksa zbudowana została w ciągu kilku zaledwie lat (1974–1977), gdy obwołany został nowym królem komedii za sprawą filmów „Płonące siodła", „Młody Frankenstein", „Nieme kino" i „Lęk wysokości". Z późniejszych przedsięwzięć równie udane okazały się jedynie „Kosmiczne jaja" (1987) oraz „Robin Hood: faceci w rajtuzach" (1993). Przypomniano dorobek wytwórni Brooksfilms, dzięki której powstały ważne filmy innych reżyserów: „Człowiek słoń" Davida Lyncha czy „Mucha" Davida Cronenberga.

Brooks nigdy nie był ulubieńcem krytyków, którzy mieli mu za złe wulgarny humor i nadmierną miłość do slapsticku. Prawda jednak jest taka, że poszerzył granice tego, co można na serio powiedzieć w formie teoretycznie niemądrej komedii. Poza wszystkim film Apatowa jest opowieścią o dwóch najważniejszych relacjach Brooksa: z ukochaną żoną Anne Bancroft oraz z najlepszym przyjacielem, Carlem Reinerem. ©℗

GRA TYGODNIA: ANIMAL CROSSING: NEW HORIZONS – NINTENDO SWITCH 2 EDITION ★★★★★☆

Wyszła w pandemii i stała się hitem. Pozamykani w domach ludzie chętnie przenosili się na rajską wyspę, gdzie sami lub w towarzystwie innych graczy cieszyli się takimi prozaicznymi czynnościami jak uprawa roślin, łowienie ryb czy upiększanie otoczenia. Edycja na Nintendo Switch 2 przynosi rozbudowane opcje on-line (m.in. więcej graczy na jednej wyspie, integracja z GameChatem i obsługa kamery), lepszą oprawę graficzną, stabilniejsze działania i kilka innych nowości, w tym obsługę Joy-Con w funkcji myszki. ©℗ ***Radosław Wojtas***

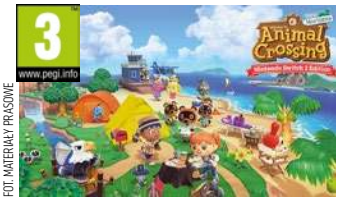

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *symulator życia, sandbox, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl 4c1b1273a2

Za porządek!

KINO

Niemcy wierzyli, że Hitler dąży do pokoju, i nie mieli pojęcia, co dzieje się z Żydami na terenach opanowanych przez III Rzeszę. Absurd? Trochę na podobnej zasadzie Siergiej Łoźnica próbuje nam wmówić, że w 1937 r. dorosły, wykształcony obywatel ZSRS mógł sądzić, że żyje w państwie demokratycznym i praworządnym. Cóż, w każdej epoce zdarzają się jednostki odklejone od rzeczywistości, lecz bohater idealista jest najsłabszym ogniwem fabuły „Dwóch prokuratorów". My tę lekcję już odrobiliśmy. W PRL w momentach politycznej odwilży pojawiały się książki i filmy, nieśmiało piętnujące „błędy i wypaczenia". Najodważniejsi stawiali tezę, że stalinizm był zły od momentu, gdy zaczął prześladować ideowych komunistów. Na więcej nie pozwalała (auto)cenzura.

U Łoźnicy świeżo upieczony prawnik reaguje na skargę zasłużonego bolszewika, który z nadzwyczajnym uporem odmawia przyznania się do winy. Wizyta w więzieniu i rozmowa z rzekomym kontrrewolucjonistą wstrząsną młodzieńcem, dumnym z posiadania czerwonej legitymacji i nauczonym „walczyć o prawdę". Gdyby stawką w tej grze było życie antykomunisty, raczej nie ryzykowałby konfrontacji z prokuratorem generalnym, osławionym Andriejem Wyszynskim. Widza, mającego blade pojęcie o rosyjskim mentalu, ten seans może przerazić. Nowe, partyjne elity praktykują cynizm, podszyty strachem. Ogłupiali obywatele piszą listy do S. z nadzieją, że pochyli się na ich krzywdą – jak przystało na dobrego cara.

Drugim, po bezpiece, filarem systemu jest upiorna biurokracja. Fakt, że wkrótce oprawcy sami znajdą się w opałach, ponieważ gensek paranoik zaordynuje rozprawę z „jeżowszczyzną", mało pociesza. Tempo narracji może wydawać się ospałe, lecz to pozór. Obcowanie z filmem Łoźnicy dostarcza wrażeń porównywalnych z wycieczką w Alpy. Poruszasz się w gęstej mgle, która stopniowo opada i dopiero na koniec widzisz, że maszerujesz wąską ścieżką tuż nad przepaścią. „Dwaj prokuratorzy" są filmem festiwalowym. Szkoda, szeroka dystrybucja mogłaby utrudnić zadanie putinofilom tudzież ludziom „rozumiejącym Rosję" tym lepiej, im więcej rubelków wpadnie do ich portfeli. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. SIERGIEJ ŁOŹNICA
„DWAJ PROKURATORZY"
NIEMCY/FRANCJA/LITWA/ŁOTWA 2025

wyst. Aleksandr Kuźniecow, Vytautas Kaniušonis, Aleksandr Filippienko

TYLKO DLA FANÓW

U Wesa Andersona bez zmian. Wciąż uprawia filmową kaligrafię. W Ameryce to wada, gdzie indziej zaleta. „Fenicki układ" to kolejna nonsensowna opowieść w stylu retro. Bohater, szemrany biznesmen rodem z Lewantu, przeżywszy cudem serię zamachów, postanawia się zmienić. Chociaż spłodził dziewięciu synów, to całą posiadaną gotówkę, dokumenty tudzież rodzinne pamiątki trzymane w pudełkach po butach przekazuje córce zakonnicy. Pod warunkiem, że pomoże mu dopiąć pewną inwestycję. Najemni zabójcy, ekscentryczni bogacze, rozrywka granatem ręcznym – dzieje się dużo, jednak poza odkryciem, że fez był uroczym nakryciem głowy, nic z tego nie wynika. Zeuropeizowanego Teksańczyka kochają gwiazdy kina: godzą się występować nawet w epizodach. Jaką rolę dostał najbardziej zblazowany aktor w naszej galaktyce? Oczywiście Pana Boga. ©℗

prime video

★★★☆☆☆

REŻ. WES ANDERSON
„FENICKI UKŁAD"
USA/NIEMCY 2025

wyst. Benicio del Toro, Mia Threapleton, Michael Cera

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Blask i widmo korony

Ich życia rozpoczęły się w blasku koron, który z czasem stawał się coraz bardziej odległy. Dwa rody z odległych krajów połączył w 1719 r. ślub Marii Klementyny Sobieskiej, wnuczki króla Jana III z Jakubem III/VIII z rodu Stuartów, pretendentem do tronów Anglii, Szkocji oraz Irlandii. Ojciec Marii Klementyny, Jakub Ludwik Sobieski, przegrał walkę o tron Rzeczypospolitej podczas wolnej elekcji po śmierci króla Jana III. Ojciec Jakuba III/VIII – Jakub II/VII Stuart – stracił władzę po wybuchu rewolucji w 1688 r.

Wystawa „Sobiescy i Stuartowie – blask i widmo korony" snuje opowieść o dwóch rodach poprzez dzieła sztuki i przedmioty osobiste. Jednym z najciekawszych eksponatów, a przy tym najstarszym i otwierającym wystawę jest modlitewnik należący do Marii Stuart (1542–1587), z inskrypcją wpisaną przed wiekami własnoręcznie przez królową Szkotów. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie***
KIEDY? ***do 31 maja***

FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE/FACEBOOK

eprasa.pl 4c1b1273a2

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zbrodnia nieosądzona

Był 31 października 1949 r. Tego dnia do przedstawicielstwa Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genui wpłynęła prośba o wystawienie dokumentu podróży uprawniającego do wjazdu do Argentyny. Składający prośbę Theodoro Kremhart posługiwał się dowodem osobistym wydanym przez gminę Termeno w Tyrolu Południowym. Dowody tożsamości z tej samej gminy otrzymali wcześniej, ot ciekawostka, Józef Mengele i Adolf Eichmann. A wniosek Kremharta poparł ten sam franciszkanin, który poświadczył wniosek Eichmanna.

W grudniu 1949 r. rzekomy Theodoro Kremhart, ponoć urodzony w Poznaniu 43-letni rolnik, wyznania rzymskokatolickiego i narodowości polskiej, przypłynął na statku „Cabo de Buena Esperanza" do Buenos Aires. Argentyńczycy nie zwrócili uwagi na sprzeczności w papierach przybysza dotyczących i jego narodowości, i wyznania. Złożył przysięgę na wierność rządzonej przez Juana Peróna republice, jej konstytucji i ustawom, przy okazji zapewniając, że nie popełnił żadnych zbrodni. Niebawem otrzymał obywatelstwo argentyńskie.

Z czasem zamieszkał w Santa Rosa de Calamuchita, utrzymując się m.in. z handlu nieruchomościami, pracował także jako inspektor rybołówstwa i myślistwa. Był człowiekiem towarzyskim, na ogół lubianym. Sąsiedzi nie dawali wiary, że to poszukiwany zbrodniarz, choć to, że był w III Rzeszy generałem, nie stanowiło już tajemnicy, zresztą sam zainteresowany szczycił się tym. We względnym spokoju dożył 1970 r. W pogrzebie poza rodziną wzięło udział 20, rzec można, towarzyszy broni. Odśpiewali stosowny marsz, wznieśli hitlerowskie pozdrowienie i tak pożegnali jednego z 10 „najważniejszych nazistowskich katów w Polsce", jak o zmarłym powiedział francuskiemu reporterowi Tadeusz Kur, dziennikarz okryty złą sławą w 1968 r., ale mający dużą wiedzę o „bohaterze" tej ponurej historii, którą przekazał w wydanej w 1975 r. książce „Trzy srebrne róże znaczą ślad zbrodni. Saga rodu von Alvenslebenów".

Ludolf von Alvensleben zwany „Bubim", bo o nim mowa, rzeczywiście pochodził z tego jednego z najstarszych rodów arystokratycznych w Niemczech. Urodzony w Halle w roku 1901 stosunkowo wcześnie związał się z ruchem narodowosocjalistycznym. W 1929 r. wstąpił do NSDAP, szybko awansował w strukturach partyjnych, a po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera zasiadł w Reichstagu, został też naczelnym adiutantem samego Heinricha Himmlera, do końca pozostając z przywódcą SS w zażyłości, na tyle bliskiej, że ten został ojcem chrzestnym jego syna.

We wrześniu roku 1939 Ludolf von Alvensleben objął dowództwo nad północnym okręgiem Selbstschutzu, złożonej głównie z volksdeutschów paramilitarnej formacji, która dokonała eksterminacji ludności polskiej. W jednym z raportów wysłanych do szefa niemieckiej policji porządkowej, Kurta Daluege, już 7 października pisał: „Melduję, że udało się nam unieszkodliwić ponad 17 tysięcy osób, z czego zlikwidowaliśmy ponad 4 tysiące. Melduję, że zlikwidowaliśmy najbardziej niebezpieczne elementy mogące zaszkodzić nam w przyszłości. Heil Hitler".

Oddziały Selbstschutzu mordowały polską ludność cywilną w Fordońskiej Dolinie Śmierci, a także w innych miejscach kaźni: w Barbarce pod Toruniem, Lesie Szpęgawskim i Lesie Piaśnickim. Ludolf von Alvensleben osobiście stawiał krzyżyki na listach aresztowanych osób, od podwładnych domagając się jeszcze większego zintensyfikowania terroru. Doszło w końcu do tego, że sami Niemcy zaczęli domagać się rozwiązania organizacji, zrzeszającej ludzi, którym, zanim stali się zbrodniarzami, ktoś reprezentujący państwo niemieckie dał – jak pisał historyk Tomasz Ceran – „karabin i opaskę na rękę oraz przesiąkniętych antypolską ideologią dowódców". Tym kimś był Ludolf von Alvensleben, którego po wojnie chciały postawić przed sądem Polska i ZSRS (za zbrodnie popełnione na Ukrainie), Czechosłowacja i Niemcy – Wschodnie oraz Zachodnie. Te ostatnie, jak wynika z książki Filipa Gańczaka, czyniły to jednak zadziwiająco opieszale, mnożąc formalne przeszkody czy wręcz dając wyraz wątpliwości, czy ekstradycja zbrodniarza do kraju w ogóle będzie możliwa.

Wypada tylko żałować, że kiedy w 1946 r. został on rozpoznany i uwięziony przez Brytyjczyków w obozie Neuengamme pod Hamburgiem, udało mu się zbiec. Sławny „łowca nazistów", Szymon Wiesentahl, zapisał, że „chociaż został aresztowany pod swoim nazwiskiem, wydaje się, że Anglicy nie doceniali znaczenia tego człowieka". Autor „Polakożercy" ma uzasadnione wątpliwości, by tak właśnie miało być, ale w tej sprawie nic nie jest pewne, poza tym, że arcyzbrodniarz winny śmierci – co ujęte zostało w 1970 r. w mocno spóźnionym NRD-owskim liście gończym – „trzech obywateli Eisleben, 1480 obywateli ZSRR i tysięcy ludzi w Polsce" umknął sprawiedliwości. ©℗

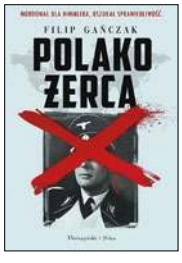

★★★★☆

FILIP GAŃCZAK „POLAKOŻERCA" PRÓSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 4c1b1273a2

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zasada Adamsa

Scott Adams mówił i pisał to, co myślał, za co płacono mu miliony. Najwyższa stawka, jaką zaoferowano mu za godzinę publicznego wystąpienia, to 100 tys. dol. Ale dużo więcej zarobił jako twórca komiksów o Dilbercie i autor złośliwych, bardzo celnych opowieści – poradników o życiu w korporacjach.

Była to postać popularna i wpływowa, zdroworozsądkowa, a więc prawoskrętna i prokapitalistyczna. Lewicy udało się dopaść Adamsa dopiero parę lat przed śmiercią (zmarł 13 stycznia tego roku), gdy na mocy cancel culture przestano go drukować w gazetach: była to kara za rasizm. Rasizm – uwaga – polegał na tym, że skomentował wyniki sondażu, według którego 26 proc. Amerykanów twierdziło, że „bycie białym nie jest OK". I stwierdził, że czarna mniejszość to hejterzy.

Nie były to pierwsze kłopoty Scotta Adamsa z „nowym wspaniałym światem". W autobiografii „Jak przegrać prawie wszystko i wyjść z tego zwycięsko" opisuje, jak dwukrotnie jego karierę przerwały postępy postępu. Z posady menedżera w Crocker National Bank odszedł, bo usłyszał, że wedle nowej polityki firmy dalsze awanse dla białych mężczyzn nie są możliwe. Zatrudnił się w telkomie Pacific Bell, gdzie piął się dopóty, dopóki nie usłyszał, że… wedle nowej polityki firmy dalsze awanse dla białych mężczyzn nie są możliwe. Dzięki temu świat stracił menedżera, ale zyskał jedynego w swoim rodzaju twórcę „Dilberta". Scott Adams już do żadnego korpo nigdy nie powrócił, chyba że jako zaproszony za grube pieniądze prelegent.

Z nieznanych mi powodów książki Scotta Adamsa bojkotowane są przez polskie wydawnictwa – może chodzi o politykę, może o pieniądze. Z drugiej ręki kupić można stare edycje wydawnictwa Amber sprzed ćwierćwiecza. W Internecie znalazłem natomiast publikację, którą dziś chciałem polecić. Nie dość, że to autobiografia, to jeszcze poradnik, jak zorganizować sobie życie. Część autobiograficzna podobała mi się bardziej, z resztą jest tak, jak zwykle bywa z poradnikami: jedne rady wydają się nam trafne, inne mniej.

Tak czy inaczej jest to książka godna lektury, niegłupia i przezabawna. Hymn ku czci wolnej konkurencji, dobrze rozumianego egoizmu, kapitalizmu jako najlepszego systemu ujmującego w karby naszą energię i nasze popędy oraz nieustającej pracy nad sobą. Szukajcie i czytajcie. ©℗

★★★★★☆
SCOTT ADAMS
„JAK PRZEGRAĆ PRAWIE WSZYSTKO I WYJŚĆ Z TEGO ZWYCIĘSKO"
GRAFWORKS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ciąg dalszy opowieści rozpoczętej w „Wielkiej wojnie Izraela". Jak wygląda nowy ład po atakach na Gazę i Iran oraz po pokoju negocjowanym przez Trumpa? Europa, według autora, jest na straconej pozycji, a ciąg dalszy nastąpi.

PAWEŁ RAKOWSKI
„NOWY BLISKI WSCHÓD"
FRONDA

„Kto będzie pamiętał o nas w czasach, które przyjdą" („Pieśń miłosna"). Obszerny tom wierszy jednego z najważniejszych amerykańskich poetów w wyborze i przekładach Julii Hartwig. Edycja nowa, poprawiona i przejrzana.

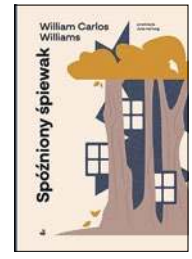

WILLIAM CARLOS WILLIAMS
„SPÓŹNIONY ŚPIEWAK"
BIURO LITERACKIE

Rozmowy z podcastu „Talking Sopranos" o jednym z najlepszych seriali w dziejach TV. Pytają aktorzy grający Christophera Moltisantiego i Bobby'ego Baccalieri. Odpowiadają członkowie ekipy, w tym David Chase, twórca serii.

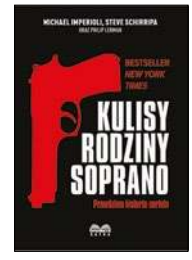

MICHAEL IMPERIOLI, STEVE SCHIRRIPA
„KULISY RODZINY SOPRANO"
OPEN BETA

Klasyka niemieckiego romantyzmu w nowej, współczesnej edycji. A zarazem klasyka fantazji: bez opowieści o nimfie, która chce poślubić rycerza, by uzyskać duszę, nie byłoby połowy literatury fantasy – oraz „Małej syrenki". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

FRIEDRICH DE LA MOTTE FOUQUÉ
„ONDYNA"
WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA:
„KOMIKS I MY" – RETRO

Gruzińska klasyka w formie powieści graficznej – rzecz na podstawie słynnego XII-wiecznego, narodowego eposu gruzińskiego autorstwa Szoty Rustaweliego (skądinąd arcyciekawa postać). Dzieje boju Tariela i Awtandila o wyzwolenie uwięzionej królewny Nestan-Daredżan – opowieść sławiąca miłość, przyjaźń, odwagę oraz hart ducha. ©℗

DAVID MATCHAVARIANI
„RYCERZ W TYGRYSIEJ SKÓRZE"
SPP 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 4c1b1273a2

Projekt Trumpa – korzyść dla Polski

Adam Wielomski

Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Włochy, Kanada, odmawiają pomniejszenia swojej roli. Państwa te były dotąd traktowane niczym książęta krwi w małej radzie królewskiej. Według planu prezydenta USA miałyby spaść do pozycji równych członków w większym parlamencie szlacheckim

Prezydent Donald Trump ogłasza inicjatywę Rady Pokoju, Davos, 22 stycznia 2026 r. FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

Niedawno na łamach „Do Rzeczy" (nr 4/2026), w tekście „Wenezuela, Grenlandia i nowy system globalny", naszkicowałem ogólne zasady postulowanej przez Donalda Trumpa transformacji porządku międzynarodowego w kierunku podziału świata na tzw. wielkie przestrzenie, z lokalnymi centrami zarządzającymi każdą z nich w postaci Stanów Zjednoczonych, Chińskiej Republiki Ludowej i Federacji Rosyjskiej. Przy okazji wskazałem, w jakim kierunku (najprawdopodobniej) iść będą zmiany prawa międzynarodowego, które opiszą kształtujący się w oparciu o te zasady nowy porządek. Zmarginalizowana zostanie zasada prawnej równości wszystkich państw na korzyść hegemonii mocarstw zarządzających własnymi wielkimi przestrzeniami. Minęły dwa tygodnie, a w tym projekcie Trumpa pojawiła się nowa inicjatywa – Rada Pokoju.

Zanim spróbuję zanalizować sens tej inicjatywy, chciałbym poczynić dwie bardzo istotne uwagi formalne do samego projektu, gdyż media wypaczają treść tej inicjatywy w celu szukania sensacji. Po pierwsze, media twierdzą, że jest to całkowicie osobista inicjatywa Donalda Trumpa. Nie jest tak do końca. Rada Pokoju (ang. Board of Peace) posiada umocowanie w rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ nr 2803 z 17 listopada 2025 r., wniesionej pod obrady przez Stany Zjednoczone. Za rezolucją głosowało trzech stałych członków Rady Bezpieczeństwa (USA, Wielka Brytania i Francja), a także 10 niestałych członków. Nikt nie był przeciwny. Rosja i Chiny nie skorzystały z prawa weta, wstrzymując się od głosu. Podstawa legalna zatem istnieje. Nadinterpretacja Trumpa polega na próbie poszerzenia kompetencji tego ciała. Zostało ono powołane wyłącznie (co należy podkreślić) w celu egzekwowania i monitorowania pokoju w Stefie Gazy, stanowiąc jeden z punktów porozumienia zaproponowanego przez Stany Zjednoczone. Tymczasem prezydent USA chce to ciało przekształcić w organ współzarządzający sprawami całego świata, a nie tylko tym, co dzieje się w Gazie.

Po drugie, media w tonie sensacyjnym ciągle podkreślają, że udział w tej inicjatywie wymaga wpłaty 1 mld dol., więc uczestnictwo w niej jest dość kosztowne. Wyjaśnijmy zatem: Trump zapowiedział, że on sam ma być przewodniczącym dożywotnim tej instytucji. Dopóki jest prezydentem USA, dopóty będzie to inicjatywa międzypaństwowa. Ma jednak zamiar zarządzać nią także po zakończeniu swojej kadencji za trzy lata, co przekształci ją w inicjatywę po części prywatną, która ma utrzymywać się z tych miliardowych „biletów wstępu". Wejście do tej inicjatywy teraz

eprasa.pl 4c1b1273a2

i zasiadanie w niej przez następne trzy lata nic nas nie kosztuje. Gdy Trump przestanie być prezydentem, wówczas za dalszy w niej udział trzeba będzie zapłacić. Decyzja o płatności odsuwana jest zatem o trzy lata i będzie podejmowana w zależności od siły politycznej prezydenta emeryta. Mówiąc prościej: być może warto będzie uiścić tę kwotę, jeśli kolejnym prezydentem zostanie obecny wiceprezydent J.D. Vance, który będzie się pewnie liczył z opinią obecnego lokatora Białego Domu. Jeśli prezydenturę obejmie jakaś Hillary Clinton lub Kamala Harris, to nie będzie to miało sensu.

BEZ GÓRNOLOTNYCH HASEŁ

Powtórzę na początku raz jeszcze, że Donald Trump robi, co może, aby doprowadzić do rozmontowania prawa narodów, powstałego po 1945 r. i jakoś tam funkcjonującego do dziś. Jego fundamentalnym założeniem jest formalna równość wszystkich państw, bez względu na ich wielkość, potencjał i zasoby militarne. Oczywiście wszyscy wiemy, że do 1989 r. USA i ZSRS sprawowały nieformalną hegemonię nad swoimi, mówiąc językiem Trumpa, „hemisferami", czyli zarządzanymi przez siebie nieformalnie połaciami globu w postaci państw zależnych politycznie, ideologicznie, militarnie i ekonomiczne od danego supermocarstwa.

Obecna amerykańska administracja rozmontowuje ten system w teorii i w praktyce. Amerykanie od 1945 r. przeprowadzili najwięcej akcji militarnych przeciwko państwom im wrogim, zawsze jednak legitymizując te działania albo zgodą Rady Bezpieczeństwa ONZ, albo „zasadami" wywiedzionymi z ONZ-owskiej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 r. Dlatego Amerykanie bombardowali i zabijali w imię szerzenia demokracji i praw człowieka. Trump zerwał z tym obyczajem nadużywania górnolotnych haseł. Gdy jego komandosi uprowadzili wenezuelskiego prezydenta Nicolása Maduro, to ten akt – nazwijmy po imieniu – terroryzmu państwowego uzasadnił wprost chęcią zagarnięcia wenezuelskiej ropy naftowej, nie siląc się na „demokratyczne" i „prawo-człowiecze" argumenty (w odróżnieniu od jego przytakiwaczy z Polski). Podobny charakter mają amerykańskie groźby agresji na Iran i zapowiedź ewentualnej aneksji Grenlandii, gdzie nie ma żadnego uzasadnienia prawnego lub ideologicznego, poza odpowiedzią w stylu: „Bo mogę. I co mi zrobicie?".

Inną sferą ataku na prawo międzynarodowe są jego podstawowe instytucje. Najpierw Trump rzucił propozycję stworzenia grupy C5 (USA, Rosja, Chiny, Japonia i Indie), która miałaby zastąpić Radę Bezpieczeństwa ONZ i grupę najbogatszych państw w postaci G7. Teraz zaś, czego amerykański prezydent nawet nie ukrywa i o czym mówi głośno, istniejącą Organizację Narodów Zjednoczonych miałaby zastąpić Rada Pokoju, do której Trump osobiście zaprosił ok. 60 państw (oficjalnej listy zaproszonych nie podano, więc liczba ta siłą rzeczy jest przybliżona). Dlaczego Stany Zjednoczone dążą do delegitymizacji RB ONZ i G7? Nie zostało to światu wprost przedstawione, więc mogę w tej kwestii jedynie spekulować. Obydwa te ciała coś łączy. W skład obydwu instytucji mających zostać zdelegitymizowanymi i, w efekcie, pozbawionymi sprawczości wchodzą państwa europejskie. W obydwu tych ciałach znajdują się Francja i Wielka Brytania, a w G7 dodatkowo Niemcy i Włochy, a także Kanada, którą amerykański prezydent najchętniej przyłączyłby do Stanów Zjednoczonych, czego bynajmniej nie ukrywa. Tymczasem w opublikowanej w grudniu 2025 r. amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego czytamy, że Europa Zachodnia jest całkowicie zdeprawowana i zdegenerowana, chora na kosmopolityzm, biurokratyczny socjalizm, walczy z „wolnością słowa" i dobrowolnie daje się zalewać wielomilionowymi falami imigrantów. Europa jest podstarzałą i cherlawą, zmierzchającą potęgą. Donald Trump i sekretarz stanu Marco Rubio kilkakrotnie już publicznie mówili, że świat podzielą między siebie trzy supermocarstwa w postaci USA, Chin i Rosji, ostentacyjnie pomijając Europę. Tę samą, o której Ursula von der Leyen ustawicznie mówi, że ma być kolejnym supermocarstwem, używając w tym celu pojęcia „centrum geopolitycznego" i innych terminów, zawsze z geopolityką lub geopolitycznością w nazwie. Atak na RB ONZ i grupę G7 de facto jest zatem atakiem na instytucjonalne umocowanie Europy Zachodniej w systemie światowym – Europy, którą obecna administracja mocno gardzi. Zresztą, biorąc pod uwagę, że ta Europa zdołała w celu obrony Grenlandii wysłać w sumie 30 żołnierzy, lecz uznaje istnienie 300 płci, potwierdza tę diagnozę. Trudno za mocarstwo uznawać strukturę, która ma 10 razy więcej płci niż żołnierzy zdolnych do udziału w projekcji siły.

Państwa planowanej grupy C5 zostały także zaproszone do Rady Pokoju, podobnie jak wszyscy obecni członkowie RB ONZ i G7. Nie znamy pełnej listy zaproszonych państw, ale zapewne znajdują się w nich także wszystkie państwa grupy G20, a obok nich ze 40 innych. Nic dziwnego, że Emmanuel Macron zareagował bardzo nerwowo, jako pierwszy odmawiając wzięcia udziału w tej inicjatywie, a i inne państwa Europy Zachodniej też nie palą się do udziału. Jej istotą jest delegitymizacja dwóch forów rządzących obecnie światem, a mianowicie RB ONZ i G7, gdzie Europa jest mocno reprezentowana. Nie zawaham się rzec, że z powodów dziś już bardzo historycznych jest mocno nadreprezentowana w stosunku do swojego malejącego potencjału. W obydwu tych ciałach są Francja i Wielka Brytania, a brak np. Indii, które mają już dziś większą gospodarkę, posiadają broń jądrową i lotniskowce. Esencją amerykańskiego pomysłu jest redukcja państw europejskich z zarządzającej piątki (RB ONZ, gdzie Europa ma dwa miejsca) i siódemki (G7, gdzie Europa ma aż cztery miejsca) do grona członków ciała złożonego z ok. 60 państw, jako jego równych członków. Dlatego Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Włochy, a także zasiadająca w G7 Kanada odmawiają pomniejszenia swojej roli. Państwa te były dotąd traktowane niczym książęta krwi w małej radzie królewskiej, a teraz miałyby spaść do pozycji równych członków w większym parlamencie szlacheckim.

KONCERT MOCARSTW

Tak jak państwa Europy Zachodniej miałyby w Radzie Pokoju stracić swoją uprzywilejowaną pozycję, tak też większość państw świata w ogóle utraciłaby reprezentację w nowym systemie. Do ONZ należą dzisiaj 193 państwa. 188 z nich to członkowie drugiej kategorii, niemający prawa weta w RB ONZ

eprasa.pl 4c1b1273a2

i zasiadający w mało istotnym Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Niemcy, Włochy i Kanada po części równoważą to sobie członkostwem w G7. Pozostałe 185 państw bierze udział tylko w głosowaniach Zgromadzenia Ogólnego ONZ, którego uchwały nie mają mocy prawa międzynarodowego, wyrażając jedynie opinię państw plebejuszy. W zamyśle Trumpa ma dojść do rewolucyjnej zmiany. Około 50–55 z tych 185 państw miałoby zasiadać w Radzie Pokoju, na prawach równych ze zdegradowanymi Francją, Wielką Brytanią, Niemcami, Włochami i Kanadą. Oznaczałoby to wpuszczenie do przedpokoju na światowym salonie pół setki państw o średnim potencjale, takich jak Polska, które w układzie dotychczasowym nie miały kompletnie nic do powiedzenia. Niestety, pozostałych ok. 130 państw nie ma mieć prawa wstępu nie tylko do salonu, lecz także do przedpokojów, gdyż – mówiąc klasycznymi już słowami Trumpa tłumaczącego Wołodymyrowi Zełenskiemu jego pozycję międzynarodową – „nie mają żadnych kart". Państwa te mają całkiem formalnie stanowić światowy plebs pozbawiony praw obywatelskich, w tym i prawa głosu na arenie międzynarodowej.

Reasumując, plan przedstawiony przez Biały Dom zakłada pojawienie się na świecie tzw. koncertu mocarstw w postaci USA, Rosji i Chin, mających prawo do posiadania własnych wielkich przestrzeni, różnych doktryn Monroego czy doktryn Miedwiediewa. Obok tego do systemu C5 mają być dokooptowane Japonia i Indie, acz bez własnych wielkich przestrzeni. Oto cesarski dwór w przyszłym porządku świata. Obok niego ma istnieć senat złożony z 60 państw mających prawa polityczne. Pozostała część ciała złożona z ok. 130 państw to byłby pozbawiony prawa reprezentacji plebs. Swoje zdanie mógłby wyrażać jedynie za pomocą oświadczeń przywódców publikowanych w mediach społecznościowych. Jest to system hierarchiczny, odrzucający dogmat formalnej równości państw. Byłaby to rewolucja w prawie międzynarodowym.

KATASTROFA GEOPOLITYKI PIS

Państwa zachodioeuropejskie i ich akolici odrzucają propozycje Trumpa, gdyż dla Europy Zachodniej to degradacja. Odrzucają je także Chiny, które zarabiają krocie na wolnym handlu światowym, podczas gdy podział globu na wielkie przestrzenie oznaczałby powrót do protekcjonizmu. Pomysł podchwyciły Białoruś i Rosja, ponieważ oznacza dla nich wyjście z (mocno nieskutecznej) izolacji w świecie. Dla Moskwy wizja wielkich przestrzeni jest szczególnie nęcąca, gdyż oznaczałaby realizację doktryny Miedwiediewa, czyli uznanie specjalnej pozycji Rosji w krajach postsowieckich i mających znaczącą mniejszość rosyjskojęzyczną.

Trudno za mocarstwo uznawać strukturę, która ma 10 razy więcej płci niż żołnierzy zdolnych do udziału w projekcji siły. Tak jest w przypadku Europy

Szkoły realistycznej w stosunkach międzynarodowych, do której się zaliczam, nie interesuje w sumie abstrakcyjne pytanie, czy dla świata propozycje prawno-polityczne Trumpa są dobre czy złe. Interesuje mnie jedynie korzyść albo strata dla Polski. Nasze państwo znalazło się pośród zaproszonych 60 państw. Oznacza to, że spośród dotychczasowego plebsu państw mogących sobie tylko głosować nad uchwałami w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, bez żadnej mocy sprawczej, mielibyśmy awansować w hierarchii prawno-politycznej do rangi państwa średniego szczebla. Wedle Trumpa Polska miałaby znaleźć się na tym samym poziomie co Niemcy, Francja, Wielka Brytania i Włochy. O ile dla tamtych państw zrównanie z Polską byłoby upokorzeniem i skarleniem znaczenia, o tyle dla Polski byłby to awans do szeroko światowego senatu, nad którym byłby dwór cesarski złożony z państw członków projektowanej grupy C5. Plan Rady Pokoju Trumpa jest zatem dla Polski korzystny i Karol Nawrocki powinien był natychmiast zaakceptować to zaproszenie. Dobrze, że choć pojawił się 22 stycznia 2026 r. na uroczystości akcesji pierwszych państw do Rady Pokoju.

Niestety, prezydent RP nie zdecydował się samodzielnie podpisać dokumentu, zasłaniając się koniecznością udzielenia zgody przez Sejm, co było tylko wykrętem. Niestety, sam prezydent, całe jego otoczenie i formacja polityczna, która go wyniosła do władzy prezydenckiej, nie mogły znieść tego, że miałby zasiadać w gronie obok Alaksandra Łukaszenki i „zbrodniarza" Władimira Putina, acz temu środowisku nijak nie przeszkadza urządzający czystki etniczne w Gazie Beniamin Netanjahu.

Karol Nawrocki wystraszył się reakcji własnego obozu, liberalno-lewicowych polityków z obozu rządowego i mediów. Zachowanie naszego prezydenta to pokłosie problemu, o którym wielokroć już mówiłem i pisałem, a mianowicie całkowitej katastrofy geopolityki PiS, od lat zakładającej zajmowanie pozycji skrajnie antyrosyjskich w oparciu o sojusz z USA, gdy wraz z powrotem Trumpa do Białego Domu sojusz z Waszyngtonem wymaga resetu stosunków z Moskwą – czy to się komuś podoba czy nie. Elementem polityki proamerykańskiej i tego resetu jest zasiadanie w Radzie Pokoju. Dlatego Nawrocki zdecydował się przerzucić tę decyzję na Sejm, co prawdopodobnie spowoduje jej odrzucenie przez Polskę. Ku naszej szkodzie.

Prawdę mówiąc, osobiście nie wierzę, aby Rada Pokoju przetrwała koniec kadencji Trumpa, gdyż jej znaczenie jako inicjatywy prywatnej byłego prezydenta radykalnie spadnie, nawet wtedy, gdy przyszłe wybory wygra Vance. Udział w niej będzie istotny przez następne trzy lata, w czasie których przez świat przetoczy się wiele burz w związku z walką o podział sfer wpływów przez mocarstwa. Warto też pamiętać, że amerykański przywódca nie toleruje sprzeciwu swoich sojuszników, reagując alergią i wściekłością (słynna zapowiedź nałożenia 200 proc. ceł na francuskie szampany i wina w odpowiedzi na odpowiedź negatywną Macrona na zaproszenie). Przyjmuje odmowy sojuszników nie jako ich decyzje polityczne, lecz jako osobiste afronty. Zresztą, jak napisał mi niezwykle trafnie w dyskusji o Radzie Pokoju pod moim wpisem na portalu X jeden z komentujących, „zawsze lepiej siedzieć przy stole, niż zostać podanym na stole".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. PHILIPPE BUSSIN/EP/EU

Co dalej z Mercosurem?

Łukasz Warzecha

Zgodnie z procedurą umowa z Mercosurem powinna wejść w życie dopiero po uzyskaniu ratyfikacji w PE. Czy jej tymczasowe wprowadzenie w życie jest możliwe?

Wynik głosowania na sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego w Strasburgu 21 stycznia mógł być największym szokiem dla Ursuli von der Leyen podczas całej jej dotychczasowej kariery na stanowisku przewodniczącej Komisji Europejskiej. Wtedy większością zaledwie 10 głosów (334 do 324) PE zdecydował o odesłaniu umowy z krajami Mercosuru do Trybunału Sprawiedliwości UE.

Swoją pierwszą kadencję (2019–2024) von der Leyen może dzisiaj wspominać z rozrzewnieniem jako wyjątkowo spokojną. Wtedy europejski główny nurt miał wyraźnie mocniejszą pozycję, a Parlament nie bruździł. Nie zdarzyło się głosowanie nad wotum nieufności dla Komisji Europejskiej. Taki wniosek musi zebrać (przy obecnym składzie PE) przynajmniej 72 podpisy, co samo w sobie stanowiło poważną barierę. Zgodnie z art. 234 traktatu o funkcjonowaniu UE wniosek musiałby uzyskać większość aż dwóch trzecich oddanych głosów, aby zostać przyjęty, co oznaczałoby dymisję całej KE. Gdyby głosowało wszystkich 720 posłów, za wotum musiałoby się zatem opowiedzieć przynajmniej 476.

Tymczasem w tej kadencji, rozpoczętej w 2024 r., głosowano nad wotum nieufności już czterokrotnie, a więc von der Leyen pod tym względem idzie na rekord. Wnioski o wotum nieufności wobec KE głosowano w historii UE już wcześniej. Na przykład Komisja pod kierownictwem Jacques'a Delorsa na początku lat 90. mierzyła się z nimi trzykrotnie, ta pod zwierzchnictwem Jeana-Claude'a Junckera, poprzednika von der Leyen – raz. Ale cztery razy podczas jednej kadencji – to się nie zdarzyło. Na razie von der Leyen wygrywała za każdym razem wyraźną większością.

PODZIAŁY NA BOK

Przegrana w przypadku umowy z Mercosurem jest wstrząsem także dlatego, że za wnioskiem o skierowanie umowy do TSUE głosowała duża część europosłów Europejskiej Partii Ludowej, macierzystej formacji Niemki. Na 147 europosłów tej grupy były to 43 osoby, w tym znaczna część to Polacy. Tak się bowiem złożyło, że było to jedno z niewielu głosowań w PE, gdzie wszyscy polscy przedstawiciele zagłosowali tak samo – od grupy Europa Suwerennych Narodów, poprzez Patriotów dla Europy, Socjaldemokratów, aż po EPL. Nie wiem, czy zdarzyło się wcześniej głosowanie, w którym ten sam przycisk nacisnęliby Joanna Scheuring-Wielgus, Anna Bryłka, Michał Szczerba i Ewa Zajączkowska-Hernik. Jak się okazało, każdy głos miał znaczenie.

Głosujący podzielili się według kryteriów narodowych, a nie partyjnych, co pokazuje, że gdy w grę wchodzą żywotne interesy krajów, opowieści o europejskiej solidarności i jedności zostają odłożone na bok. Nie miało dla głosujących znaczenia, że autorkami wniosku były trzy europosłanki lewicy: dwie z grupy politycznej Zielonych – Majdouline Sbai (Francja) i Saskia Bricmont (Belgia) – oraz przedstawicielka grupy Lewica Manon Aubry (Francja), z wojowniczej francuskiej partii La France Insoumise Jeana-Luca Mélanchona. Proweniencja autorek spowodowała, że nikt z grupy politycznej Lewicy nie był przeciwny wnioskowi, a w grupie Zielonych zagłosowała za nim zdecydowana większość.

ARGUMENTY PRZECIW MERCOSUROWI

We wniosku podniesiono trzy poważne zastrzeżenia wobec umowy, kwestionując jej zgodność z traktatami.

Po pierwsze – podział umowy na część handlową i polityczną, którego arbitralnie dokonała Komisja Europejska. Autorki wniosku do TSUE twierdzą, że taki podział umowy był nielegalny – KE nie ma mandatu do jego dokonywania.

Taki zabieg po raz pierwszy zastosowano w 2018 r., przy okazji umowy z Singapurem. Pozwala on obejść wymóg jednomyślności w Radzie UE, wynikający z art. 218 TFUE. Ma to ogromne znaczenie, bo gdyby umowa rozpatrywana była jako całość, wystarczyłoby weto jednego z krajów, żeby do jej zawarcia nie doszło. Natomiast przy głosowaniu większością kwalifikowaną dla zatwierdzenia umowy wystarczy 55 proc. krajów członkowskich, w których zamieszkuje minimum 65 proc. ludności UE. To z kolei oznacza, że dla stworzenia większości blokującej trzeba by mieć po swojej stronie ponad 45 proc. krajów – czyli co najmniej 12, co było nierealne – albo ponad 35 proc. ludności UE. Przeciwko umowie podczas ostatniego nad nią głosowania w Radzie UE opowiedziały się Polska, Francja, Irlandia, Austria i Węgry, Belgia zaś wstrzymała się od głosu. Kluczowe ze względu na liczbę ludności było stanowisko Włoch. Te wahały się bardzo długo, ale Giorgia Meloni nie po raz pierwszy okazała się twardą pragmatyczką. Włochy – inaczej niż Polska – mogły na

eprasa.pl 4c1b1273a2

umowie zyskać, ale jasne było, że straci włoskie rolnictwo. Włoska premier zapewniła sobie jednak, że KE uruchomi awansem 45 mld euro na wspólną politykę rolną na poczet przyszłego długoterminowego budżetu (2028–2035). Dostała też zapewnienie, że nie będzie pomniejszenia przewidzianej na WPR kwoty 293 mld euro. To wystarczyło, aby Włochy poparły umowę. Meloni znowu spadła na cztery łapy.

Oskarżenia pod adresem prezydenta Nawrockiego, że nie przekonał włoskiej premier do naszych racji, są absurdalne. Polska, a tym bardziej sam prezydent, nie miała w ręku żadnych kart przetargowych. W polityce zaś nikt nie wspiera innego państwa na piękne oczy albo ze względu na osobistą sympatię. Od początku jasne było, że zdecydują gospodarczy interes Włoch i polityczne korzyści Meloni, która mogła pochwalić się sukcesem.

Drugim argumentem – kompletnie nieobecnym w polskiej debacie – było wskazanie, że umowa zawiera mechanizm kompensacyjny dla krajów Mercosuru, który gwarantuje im „odszkodowanie", gdyby wskutek późniejszych zmian europejskiego prawa zasady wolnego handlu zostały ograniczone. To bardzo groźne postanowienie stanowi hamulec dla jakichkolwiek przyszłych zmian czy wypowiedzenia umowy. Jego przeciwnicy będą przecież mogli argumentować, że odejście od zasad określonych w umowie będzie oznaczało dla UE konieczność wypłacenia „zadośćuczynienia".

Trzeci podnoszony argument dotyczył zagwarantowanego w umowie prawa krajów Mercosuru do zaskarżania do TSUE europejskich regulacji, w szczególności tych związanych z wdrażaniem Zielonego Ładu. Autorki wniosku słusznie zauważały, że w praktyce daje to państwom spoza wspólnoty bezzasadne prawo do decydowania o jej ustawodawstwie.

Rezultat głosowania był dla von der Leyen niemiłym zaskoczeniem. Podważał jeden z jej najważniejszych politycznych projektów, który mógł mieć dla niej także znaczenie czysto osobiste. Umowa z krajami Mercosuru przysłuży się bowiem przede wszystkim Niemcom, których rolnictwo ucierpi w niewielkim stopniu, natomiast potencjalnie dużo zyskać może przemysł, a zwłaszcza branża motoryzacyjna, poddana ogromnej presji regulacji wynikających z Zielonego Ładu. Można postawić hipotezę, że przepychając negocjowaną od ćwierć wieku umowę, von der Leyen dbała również o swoją polityczną przyszłość w ojczystym kraju po odejściu ze stanowiska w UE. Możliwe również, że jej celem było osłabienie oporu niemieckiego przemysłu wobec wprowadzanych zielonoładowych regulacji za sprawą stworzenia nowego rynku zbytu, gdzie te reguły nie obowiązują.

Innym powodem determinacji przewodniczącej KE jest desperacka chęć ratowania obrazu UE na świecie. Unia jest przeregulowana, przyduszona ogromnymi cenami energii, wynikającymi z jej absurdalnej polityki klimatycznej, rozwija się w ślimaczym tempie. Podczas gdy w latach 2023–2024 gospodarka Chin rosła o ok. 5 proc., a amerykańska o ok. 2,5 proc., unijna nie sięgała nawet 1 proc. Zawarcie umowy z krajami Mercosuru, obejmującej – co szczególnie wybijano – aż 780 mln ludzi, a następnie z Indiami ma przekonać świat globalnych finansów i gospodarki, że Unia się nie skończyła. W podobnym tonie utrzymane było buńczuczne wystąpienie szefowej KE w Davos.

CZEKAJĄC NA TSUE

Zgodnie z procedurą umowa z Mercosurem powinna wejść w życie dopiero po uzyskaniu ratyfikacji w PE. Tej jednak przez długi czas nie będzie, bo głosowania w tej sprawie nie może być dopóty, dopóki umowa będzie w TSUE, a ten może rozpatrywać sprawę kilkanaście miesięcy, nawet do dwóch lat. To potężny cios dla von der Leyen, a także dla Berlina. Stąd bardzo szybko po decyzji Parlamentu kanclerz Friedrich Merz napisał na X: „Decyzja Parlamentu Europejskiego w sprawie umowy z Mercosurem jest godna ubolewania. Błędnie ocenia sytuację geopolityczną. Jesteśmy przekonani o legalności umowy. Koniec z opóźnieniami. Umowa musi teraz wejść w życie tymczasowo". Poparł go Manfred Weber, lider EPL w PE.

Czy tymczasowe wprowadzenie umowy w życie jest możliwe? Teoretycznie tak, ale w tej sprawie musiałaby zapaść decyzja Rady UE. Artykuł 218 TFUE mówi: „Rada, na wniosek negocjatora, przyjmuje decyzję upoważniającą do podpisania umowy, a w stosownych przypadkach do tymczasowego jej stosowania przed jej wejściem w życie". Gdyby przyjąć, że głosowanie w Radzie UE wyglądałoby podobnie jak nad ratyfikacją umowy, jej tymczasowe stosowanie byłoby pewnikiem. Jednak po głosowaniu w PE nie jest to takie oczywiste.

Po pierwsze – byłby to krok jawnie konfrontacyjny wobec Parlamentu. Gdyby ostatecznie TSUE zdecydował, że umowa jest jednak zgodna z prawem europejskim, trafi ona potem do PE w celu ratyfikacji. Może się wtedy okazać, że europosłowie postanowią się odegrać za brutalny nacisk na jej przepchnięcie mimo ich wcześniejszej opinii. Kto wie, jak wówczas wyglądałby wynik głosowania nad kolejnym wotum nieufności dla von der Leyen.

Po drugie – konieczność kolejnego głosowania w Radzie otwiera nowe pole do działań dla państw opowiadających się przeciwko umowie. W tym dla Polski. Zaskakujące są tutaj brak jakichkolwiek deklaracji ze strony polskiego rządu, a także milczenie w tej sprawie prezydenta.

Afera z umową z krajami Mercosuru pokazuje dwie rzeczy bardzo jasno.

Pierwsza to ta, że UE tworzy jedynie instytucjonalne ramy dla brutalnej walki interesów pomiędzy krajami członkowskimi. Opowieści infantylnych euroentuzjastów czy propagandzistów o tym, że istnieje jakiś wspólny, europejski interes, można wyrzucić do kosza (co zresztą powinno być jasne i bez tej sprawy).

Druga kwestia to pokazanie, że unijne mechanizmy decyzyjne są skonstruowane w taki sposób, że pozwalają najsilniejszym forsować swoje korzyści kosztem innych. W przypadku umowy z Mercosurem mówimy o żywotnym zagrożeniu bezpieczeństwa żywnościowego i dużym ciosie dla m.in. polskiego rolnictwa. Nie ma tu równej konkurencji, bo nawet gdyby przyjąć, że płynące do Europy produkty faktycznie będą spełniać unijne normy – co nie jest bynajmniej pewne – to i tak będą produkowane przy znacznie mniejszym obciążeniu narzucanymi odgórnie regulacjami. Jeżeli w takiej sprawie UE – a tak naprawdę przede wszystkim Berlin – jest w stanie narzucić nam stanowisko sprzeczne z naszym interesem, to dlaczego nie miałaby tego zrobić w innych podobnie ważnych kwestiach?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Filip Memches

Dziś twarzami Partii Demokratycznej są ludzie radykalnej lewicy – tacy politycy jak Zohran Mamdani czy Bernie Sanders. Zachód postrzegają oni jako kolonialnego wyzyskiwacza Globalnego Południa. Odnawianie transatlantyckich związków z Europą nie jest dla nich sprawą pierwszoplanową

Zohran Mamdani i Bernie Sanders, Nowy Jork, 1 grudnia 2025 r.

FOT. KATIE GODOWSKI/MPI/CAPITAL PICTURES/FORUM

Demokraci jak Trump?

Minął rok drugiej prezydentury Donalda Trumpa. Mówiąc kolokwialnie, gospodarz Białego Domu w tym czasie zaserwował politykom głównego nurtu w Europie ostrą jazdę bez trzymanki. Oczywiście niczego komfortowego dla siebie się po nim nie spodziewali, niemniej ich dezorientacja zdaje się narastać. Jedno jest pewne: europejscy oponenci Trumpa tęsknią za prezydenturą Joe Bidena. W swoich zrębach wydawała się ona bowiem kompatybilna z politycznym kursem państw Unii Europejskiej.

Nie od dziś w lewicowo-liberalnych kręgach, które stanowią polityczny, medialny, kulturowy establishment w Europie, panuje przekonanie, że źródłem zła w Stanach Zjednoczonych – tak jak na Starym Kontynencie – jest prawicowy „populizm". A zjawisko to reprezentuje Make America Great Again – polityczna subkultura będąca czymś w rodzaju nieformalnego ruchu zwolenników Trumpa. To właśnie MAGA po raz kolejny wyniosła go do prezydentury. Nasuwa się zatem wniosek, że wystarczy zmiana gospodarza w Białym Domu na polityka z innej opcji niż ta, którą reprezentuje ten „populistyczny" ruch, a wszystko wróci do pożądanej normy – tej, którą wyznaczali Biden i inni prezydenci USA – zarówno z Partii Demokratycznej, jak i z Partii Republikańskiej.

Warto bowiem przypomnieć, że MAGA to zjawisko nowe – rodem z drugiej dekady XXI w. Ujmując rzecz w kategoriach biznesowych, politycy tego ruchu dokonali wrogiego przejęcia republikanów. I tak postrzega zaistniałą sytuację antytrumpistowskie skrzydło tej formacji, które straciło w niej na znaczeniu. A zanim środowisko Trumpa zdominowało Partię Republikańską, zajmowała ona w wielu kwestiach inne stanowisko niż obecnie. Dotyczyło to zwłaszcza stosunków międzynarodowych. Republikanie upatrywali w swoim państwie żandarma świata nie tylko stojącego na straży amerykańskich interesów w skali globalnej, lecz także zaangażowanego wszędzie w walkę o demokrację, „prawa człowieka", wolny rynek. Choć taka Partia Republikańska bywała w przeszłości przedmiotem zjadliwej krytyki ze strony lewicowo-liberalnych polityków z Europy (to było wtedy, gdy potępiali oni to, co postrzegali jako wyraz konfliktogennego amerykańskiego militaryzmu, choćby interwencję zbrojną w Iraku w roku 2003), to teraz jest przez nich wspominana z nostalgiczną łezką w oku.

„POPULIZM" NIE TYLKO NA PRAWICY

Szkopuł w tym, że wbrew temu, co obecnie głoszą lub co przynajmniej sugerują europejscy oponenci Białego Domu, MAGA – a personalnie sam Trump – nie jest przyczyną zmian w polityce USA, ale skutkiem procesów, które toczą się od co najmniej pierwszej dekady XXI stulecia. Żeby jednak wyjaśnić, o co dokładnie chodzi, trzeba się cofnąć do końca lat 80. XX w.

Gdy Zachód na czele z Ameryką wygrał zimną wojnę, obowiązującym trendem gospodarczym w świecie stał się turbokapitalizm (w ramach tzw. konsensusu waszyngtońskiego), z takimi jego mechanizmami jak otwarta wymiana handlowa i deregulacja. Tym samym zrobiło się wielkie eldorado dla spekulacji finansowych. Natomiast jeśli chodzi o przemysł, to firmom z państw zachodnich coraz bardziej opłacało się przenosić produkcję ze swoich rodzimych fabryk tam, gdzie była tania siła robocza, czyli do krajów Globalnego Południa, w tym zwłaszcza do Chińskiej Republiki Ludowej. Komunistyczne Chiny (choć faktycznie podążające już hybrydową drogą „kapitalizmu państwowego") na tych przenosinach zaczęły zarabiać krocie. Rozkręciły eksport będący jedną z dźwigni swoich nadwyżek w zagranicznym bilansie handlowym. W ostatecznym rachunku ChRL urosła do rozmiaru drugiego, po USA, mocarstwa świata. Tymczasem Zachód w latach 2007–2009 musiał stawić czoła kryzysowi finansowemu, będącemu konsekwencją pęknięcia baniek spekulacyjnych. Niekontrolowane obracanie pieniędzmi spowodowało, że przestały one odzwierciedlać realny stan gospodarek poszczególnych państw.

Turbokapitalizm dał się mocno we znaki amerykańskiej klasie średniej. Jej pauperyzacja zaczęła być istotnym czynnikiem politycznym, bo sprzyjała nastrojom „populistycznym" w USA. Jed-

eprasa.pl 4c1b1273a2

nocześnie wzrost potęgi Chin komunistycznych przełożył się na geopolitykę.

Powszechna jest opinia, że punktem zwrotnym w dziejach Ameryki XXI stulecia były wybory prezydenckie w roku 2016, kiedy po raz pierwszy na fali „populizmu" zwyciężył Trump. To właśnie z tamtym jego sukcesem kojarzony jest początek polityki zwijania imperium. Tymczasem zainicjowano ją – choć ostrożnie i w bardzo umiarkowany sposób – dużo wcześniej, bo już w roku 2009, gdy prezydentem USA został Barack Obama, czyli kandydat demokratów. To z Partii Demokratycznej oraz od zbliżonych do niej politologów (takich, jak choćby Charles Kupchan) płynęły wówczas pod adresem republikanów, w tym zwłaszcza tzw. neokonserwatystów z administracji poprzednika Obamy – George'a W. Busha, zarzuty o uprawianie przez Amerykę zbędnego polityczno-militarnego interwencjonizmu w rozmaitych miejscach w świecie. Jednocześnie już wtedy Obama stawiał następującą diagnozę: wyzwaniem dla USA jest ChRL, więc trzeba przesunąć ciężar zainteresowania sytuacją międzynarodową z Europy na region Indo-Pacyfiku. To był jeden z powodów, dla którego doszło do „resetu" stosunków Ameryki z Rosją. USA podjęły też rewizję swojego polityczno-militarnego zaangażowania w Europie, czego wyrazem było choćby anulowanie realizacji uruchomionego za prezydentury Busha projektu budowy elementów tarczy antyrakietowej w Polsce. Decyzję tę ogłoszono w 70. rocznicę ataku ZSRS na II Rzeczpospolitą, co, szczególnie ze względu na symboliczną wymowę tej daty, zostało odebrane nad Wisłą jako akt lekceważący Polaków.

Warto też zauważyć, że bolesne skutki światowego kryzysu finansowego rezonowały także w polityce wewnętrznej Obamy poprzez forsowanie reform społecznych – będące jak najbardziej odpowiedzią również na nastroje „populistyczne". Przykładem może być przyjęcie w roku 2010 Obamacare – słynnej ustawy mającej na celu regulację rynku ubezpieczeń zdrowotnych, żeby w założeniu obywatelom amerykańskim zwiększyć do nich dostęp i tym samym przeciwdziałać wykluczeniu społecznemu. Już wtedy demokraci zastanawiali się nad tym, czy długoterminowo Amerykanów będzie stać na to, żeby utrzymywać swoje imperium, bo jeśli nie, to przyjdzie je zwijać i jako priorytet potraktować rozwiązywanie problemów wewnętrznych.

Oczywiście z upływem czasu Obama pod naciskiem zmieniających się okoliczności korygował wektory swojej polityki (choćby po fiasku „resetu" z Kremlem udzielił poparcia Euromajdanowi w Kijowie, co było powielaniem interwencjonistycznej strategii wspomnianych neokonserwatystów). Niemniej w jakimś sensie był prekursorem tego, co da się dostrzec w tych działaniach Trumpa, które można scharakteryzować jako dążenie do obniżania finansowych kosztów polityczno-militarnej obecności USA w różnych miejscach świata, bo tego wymaga trudna sytuacja wewnętrzna tego państwa.

CZYNNIKI OBIEKTYWNE

Tak jak MAGA zdominowała Partię Republikańską, tak radykalna lewica rośnie w siłę w Partii Demokratycznej. Rzecz jasna, gdy się przywoła w pamięci prezydenturę Joe Bidena, trudno dać temu wiarę. Wizerunkowo jawił się on jako centrysta, choć z lewicowym odchyleniem, ale nie radykał. W dodatku w polityce zagranicznej, którą prowadził, odzywała się jego zimnowojenna przeszłość. Wobec Kremla – przynajmniej w retoryce – pozycjonował się jako „jastrząb", który wpisywał się w dawną konfrontacyjną agendę neokonserwatystów.

Politykę zwijania amerykańskiego imperium zainicjowano za prezydentury demokraty Baracka Obamy

Ale gdyby jakiś demokrata miał znów zasiąść w Białym Domu, to powrotu do takiej linii nie będzie. W takim przypadku można byłoby się spodziewać raczej nawiązywania do elementów pierwszej kadencji prezydenckiej Obamy. Dziś twarzami Partii Demokratycznej są bowiem tacy politycy jak burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani czy niedoszły kandydat na prezydenta Bernie Sanders. Można ich jak najbardziej zaliczyć do lewicowych „populistów". Zachód postrzegają jako kolonialnego wyzyskiwacza Globalnego Południa. Odnawianie transatlantyckich związków z Europą nie jest dla nich sprawą pierwszoplanową. Są zwolennikami tego, co nazywają wprost „socjalizmem demokratycznym". Postulują, żeby państwo amerykańskie zajęło się rozwiązywaniem problemów wewnętrznych, a więc zwłaszcza przeciwdziałaniem spadającemu poziomowi życia swoich obywateli (w tym pladze bezdomności). Zdaniem tych polityków Stany Zjednoczone, zamiast wydawać ogromne środki na rozwój przemysłu zbrojeniowego – koniecznego, żeby angażować się militarnie w rozmaite konflikty w świecie (w tym na Ukrainie czy na Bliskim Wschodzie) – powinny inwestować w programy socjalne. A to właśnie oznacza zwijanie imperium.

Demokraci, aby podjąć skuteczną rywalizację z Trumpem, nie mają innego wyjścia, jak eskalować swój lewicowy radykalizm. Niedawno Mark Mitchell z firmy sondażowej Rasmussen Reports stwierdził, że prezydent USA – wbrew oczekiwaniom MAGA – zamyka się w oligarchicznej bańce i tym samym coraz bardziej odkleja się od rzeczywistości, podczas gdy politycy Partii Demokratycznej wsłuchują się w głosy niezadowolenia społeczeństwa amerykańskiego (szczególnie osób poniżej 30. roku życia) – a to może się odbić na negatywnych dla republikanów wynikach zbliżających się tegorocznych midterms (wyborów do Kongresu). Ów badacz preferencji wyborczych wyciągnął z tego wniosek, że frustracja wielu Amerykanów, która wyniosła Trumpa do drugiej prezydentury, w roku 2026 może przysporzyć poparcia demokratom.

Tak więc to nie prawicowy „populizm" MAGA jest przyczyną tego, że USA zmieniają swoją politykę wobec Europy, choćby sygnalizując zamiar ograniczania swojej militarnej obecności na Starym Kontynencie. Stoją za tym czynniki obiektywne, z którymi liczą się obie główne partie amerykańskiej sceny politycznej. Wymierzona w Trumpa ideologizacja tej kwestii przez lewicowo-liberalny front polityczno-medialny w Polsce jest propagandowym mydleniem oczu Polakom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Kaja Godek

Protest przeciwników aborcji przed przychodnią AboTak Aborcyjnego Dream Teamu, 8 marca 2025 r. FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Strefy buforowe w Polsce – marzenie aborterów

W Polsce trwają przymiarki do wprowadzenia stref buforowych wokół placówek, które wykonują aborcje. Strefy te mają umożliwić zabójcom dzieci funkcjonowanie w spokoju i bez protestów przeciw ich okrutnej działalności. O takie strefy apelują sami wykonawcy aborcji. Najpierw śmiało deklarują, że przerywają ciąże, ale później nie akceptują krytyki. Chcieliby robić aborcje i równocześnie mieć spokój, a przede wszystkim – powszechny szacunek

Lekarze pracujący na oddziale odczuwają ogromny dyskomfort, kiedy nie słyszą, że ratują życie i zdrowie kobiet, a słyszą, że są mordercami dzieci. Utrudnia im to pracę – mówi Maciej Socha, ordynator Oddziału Położniczo-Ginekologicznego w szpitalu na gdańskiej Zaspie.

– Powinny być strefy buforowe pod szpitalami. Tak jest w innych państwach, dzięki czemu nie ma tam żadnych takich protestów – to z kolei słowa najsłynniejszej aborterki w Polsce, Gizeli Jagielskiej.

CENZURA NA ULICY I... W PRYWATNYCH DOMACH

Czym są strefy buforowe i jak funkcjonują – wiadomo. Wystarczy spojrzeć na państwa, gdzie już je wprowadzono. Obszary z zakazem działalności pro-life – w tym także z zakazem modlitwy w obronie życia – są w Australii, Nowej Zelandii, wielu stanach USA, w Kanadzie i Wielkiej Brytanii.

W Szkocji lokalny rząd posunął się tak daleko, że strefy buforowe obejmują także prywatne posesje wokół klinik aborcyjnych. We wrześniu 2024 r. władze w Edynburgu rozesłały właścicielom takich nieruchomości specjalne listy z ostrzeżeniem, że nie wolno im prowadzić żadnych działań przeciw aborcji we własnych domach. W praktyce nie wolno we własnym domu powiesić na balkonie banneru antyaborcyjnego ani np. modlić się za dzieci nienarodzone, jeśli ktoś może usłyszeć tę modlitwę – np. przez okno.

Wariantem stref buforowych są „strefy bańki" (tzw. bubble zones) – czyli połacie terenu wokół klinik, gdzie nie wolno zbliżać się na mniej niż 8–10 stóp do kobiety, która idzie na aborcję. Odpadają zatem jakiekolwiek rozmowy o możliwościach przekazania matce pomocy, adopcji dziecka czy zachęcanie, by nie iść na aborcję pochopnie.

Strefy buforowe stanowią cenzurę ideologiczną przestrzeni publicznej, a nawet, jak w Szkocji, przestrzeni prywatnej. Łamią wolności obywatelskie – do praktyk religijnych, wolności słowa, zgromadzeń, przemieszczania się, a także prawo własności.

Istotne zastrzeżenie: nie wolno nigdy „wybierać" ani „decydować" o życiu dziecka – życie należy chronić, a nie poddawać pod czyjeś wybory. Jednak nawet w proaborcyjnej logice „wyboru" i „decyzji" strefy buforowe nie pozwalają na świadomą decyzję o aborcji. Nakierowane są raczej na nagonienie klientek i realizację interesu biznesowego klinik niż na dostęp do rzetelnej informacji, czym jest aborcja.

OBROŃCY ŻYCIA NA CELOWNIKU

Choć większość stref buforowych powstała w ostatnich latach, to już pojawiają się pierwsze represje wobec obrońców życia. Sądy skazują staruszki, które oferują pomoc ciężarnym, młode matki, które dają świadectwo, że aborcja jest złem, a także katolików, którzy modlą się pod centrami aborcyjnymi.

W marcu 2023 r. 64-letnia Livia Tossici-Bolt podeszła pod zakład aborcyjny w Bournemouth na południu Anglii. Miała przy sobie tabliczkę: „Jestem tu, by poroz-

eprasa.pl 4c1b1273a2

mawiać, jeśli zechcesz". Została skazana na grzywnę wysokości 20 tys. funtów oraz więzienie w zawieszeniu na dwa lata, gdyż – jak uzasadniał sędzia – „jej obecność miała szkodliwy wpływ na kobiety oraz personel kliniki".

W Szkocji pierwszą ofiarą prawa o strefach buforowych stała się Rose Docherty, 75-letnia kobieta, która pod kliniką w Glasgow chciała rozmawiać z kobietami idącymi na aborcję. Sprawa jest w toku, a starsza pani oskarżona jest o „wpływanie" na klientki kliniki.

W Nowym Jorku Bevelyn Williams – młoda, czarnoskóra kobieta, matka dwuletniej dziewczynki – trafiła do więzienia za protest pod kliniką Planned Parenthood. Usłyszała wyrok 41 miesięcy pozbawienia wolności i kolejnych dwóch lat nadzoru policyjnego. Williams – mająca za sobą trzykrotną aborcję – dawała publicznie świadectwo, że tęskni za swoimi dziećmi, cytowała Biblię i mobilizowała ludzi do pójścia pod kliniki aborcyjne. Byłaby w więzieniu do dziś, ale została ułaskawiona przez Donalda Trumpa w pierwszych dniach jego prezydentury.

PRÓBY W POLSCE

W Polsce coraz wyraźniej zarysowują się próby tworzenia stref buforowych wokół miejsc, gdzie robi się aborcję. Przykład Gdańska z ostatnich tygodni pokazuje, że zaczyna się od teoretycznych postulatów zgłaszanych przez środowiska lewicowe, a następnie do gry wkraczają instytucje państwa.

Jesienią ubiegłego roku Szpital św. Wojciecha na Zaspie oficjalnie przyznał, że wykonuje późne aborcje, a także robi zastrzyki dopłodowe w serca dzieci jeszcze przed samą aborcją. Ta informacja wywołała ogromny protest. Mieszkańcy Trójmiasta zrozumieli, że mają u siebie drugą Oleśnicę. Zrodził się wówczas oddolny sprzeciw wobec praktyk szpitala. W grudniu odbyła się pierwsza duża pikieta połączona z Publicznym Różańcem. Pod placówkę przyszło kilkaset osób, panowała atmosfera przerażenia, ale też buntu wobec dziejącego się zła.

Wraz z wybuchem antyaborcyjnych protestów pojawiły się otwarte żądania, aby zgromadzenia pro-life zostały zakazane. Jako główny argument zaczęto przywoływać dobro pacjentów, całkowicie pomijając fakt, że publiczne modlitwy i protesty są prowadzone właśnie w obronie pacjentów – tych najbardziej bezbronnych, poddawanych aborcji.

Ujawniła się także niesłychana buta zarządców szpitala, którzy w trakcie interwencji poselskiej posła Krzysztofa Szymańskiego z Ruchu Narodowego zadeklarowali, że dzieci przed porodem nie są pacjentami szpitala, bo… do tego szpitala „nie przychodzą". Dariusz Kostrzewa, prezes spółki Copernicus prowadzącej szpital na Zaspie, lekceważąco stwierdził nawet, że nie wie, co czuje dziecko zabijane chlorkiem potasu, bo przecież jemu samemu nigdy nikt nie wstrzyknął nic do serca.

W styczniu, tuż przed kolejnym zgromadzeniem, podjęto próby usunięcia obrońców życia spod szpitala. Najpierw pojawiły się trudności administracyjne z przyjęciem zawiadomienia o zgromadzeniu, a następnie otwarte, bezprawne działania, które miały stworzyć formalną podstawę do zakazania manifestacji. Prezes Kostrzewa ad hoc wprowadził regulamin porządkowy, zawierający zakaz działań religijnych na terenach administrowanych przez spółkę – czyli w szpitalu i na chodniku przed wejściem. Regulamin ten nie został przyjęty żadną uchwałą, nie uzyskał zgody organu nadzoru spółki i w istocie próbował wyłączyć nieruchomości Copernicusa spod obowiązywania ustawy Prawo o zgromadzeniach – a regulaminami wewnętrznymi nie zmienia się przecież ustaw ani ich nie odwołuje.

Dokument błyskawicznie trafił do Urzędu Miasta w Gdańsku, a stamtąd do organizatora planowanego zgromadzenia pro-life – wraz z żądaniem zmiany miejsca manifestacji. Organizator nie uległ presji, więc aborcjoniści postanowili wytoczyć kolejne działa. W dniu pikiety, 18 stycznia 2026 r., godzinę przed jej rozpoczęciem wokół szpitala ustawiono barierki, a osoby przybyłe na Publiczny Różaniec były wypychane spod placówki przy udziale policji i administracji szpitala. Mimo chaosu i nacisków modlitwa oraz pikieta odbyły się zgodnie z planem.

Warto zauważyć, że prezes Copernicusa, pisząc na kolanie swój regulamin, pogwałcił wolność wyznania i swobodę głoszenia poglądów, działając wbrew polskiej konstytucji, która stoi na straży tych podstawowych wolności. Jest jasne, że obostrzenia wymyślone przez Kostrzewę miały uderzać w konkretną grupę: katolików i pro-liferów. Proszę wyobrazić sobie, jaki krzyk by się podniósł, gdyby ktoś zakazał modlitw na ulicy np. muzułmanom czy żydom…

Nie należy lekceważyć tej próby gwałtu na polskim porządku prawnym. Gdyby regulamin autorstwa Dariusza Kostrzewy został przyjęty przez spółkę i wszedł w życie, zakazywałby przecież również działalności kapelanom szpitalnym. I to informacja dla społeczeństwa: gdy wy lub wasi bliscy znajdziecie się w sytuacji zagrożenia życia, gdy będziecie chcieli się wyspowiadać czy przyjąć ostatnie namaszczenie, to już są i już czekają lewicowi ideolodzy, którzy chcą wyrzucić stamtąd księży, tworząc swoje wewnętrzne regulaminy.

Równolegle pojawiły się petycje organizacji lewicowych, domagające się wprowadzenia zakazu pikiet pro-life pod szpitalami. Jako kluczowy argument wskazują dyskomfort lekarzy, którzy muszą słuchać haseł o zabijaniu dzieci. A chcieliby być chwaleni za swoje kompetencje! Widać też, że w Polsce odbywa się próba zainstalowania stref buforowych w modelu brytyjskim – z wydzielonym terenem, gdzie nałożony zostaje zakaz modlitw oraz głoszenia określonych poglądów.

STREFA BUFOROWA POD ABOTAKIEM?

Gdańsk to zresztą niejedyne miejsce, gdzie aborterom marzy się strefa buforowa. Identyczne żądania zgłaszali właściciele punktu AboTak w Warszawie. Z początku przekonani, że otwarcie ich ośrodka zostanie powitane gromkimi brawami, szybko zobaczyli skalę oporu, z którym muszą się mierzyć. Dlatego pragną cenzury na ulicy. Sprawa kilkakrotnie oparła się o Radę Warszawy (ostatnio w listopadzie) i ma być podnoszona ponownie.

Jesteśmy w momencie przesilenia. Właśnie teraz decyduje się, czy będzie można w ogóle stawać w obronie poczętych dzieci. Aborcjonistom skończyły się argumenty, mają też w Polsce duży problem – ruch obrony życia jest liczny i sprawny. Aby rozprawić się z pro-liferami, będą próbowali łamać konstytucję i stosować bezprawne represje.

I tu pojawia się zasadnicze pytanie: Cóż to za „procedura medyczna", że aby ją wykonywać, trzeba najpierw zdusić uliczne protesty…?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem Zarządu Fundacji Życie i Rodzina.

eprasa.pl 4c1b1273a2

Grzegorz Majchrzak

Igrzyska pod nadzorem „smutnych panów”

Po zimowych igrzyskach olimpijskich w Sarajewie esbecy informowali o niewłaściwym ubiorze Barbary Kossowskiej, trenerki najlepszego w historii polskiego łyżwiarstwa figurowego zawodnika Grzegorza Filipowskiego. W jej przypadku chodziło o to, że w trakcie wywiadu dla Telewizji Polskiej miała na sobie koszulkę z napisem „USA”

Najważniejsze imprezy sportowe – zarówno w Polsce Ludowej, jak i za granicą – odbywały się pod czujnym okiem „smutnych panów”, głównie tych z Urzędu Bezpieczeństwa, a następnie ze Służby Bezpieczeństwa, a w mniejszym stopniu również Informacji Wojskowej, a później Wojskowej Służby Wewnętrznej. Nie inaczej było także w przypadku igrzysk olimpijskich – zarówno tych letnich, jak i zimowych. Członkowie polskich ekip olimpijskich wyjeżdzający z ludowej ojczyzny byli zresztą pod podwójnym nadzorem – kierownictwa ekipy oraz funkcjonariuszy bezpieki i ich agentury. Pod nadzorem esbeków pozostawali również ci Polacy, którym udało się – zazwyczaj po starannej selekcji – na nie wyjechać. Były to – w przypadku SB – poważne, a jak w przypadku pierwszych igrzysk w państwie socjalistycznym (w Moskwie latem 1980 r.) wręcz wielkie operacje. Przy czym funkcjonariusze zdecydowanie więcej uwagi poświęcali igrzyskom letnim, co zresztą zrozumiałe, gdyż wyjeżdżało na nie znacznie więcej rodaków niż na zmagania zimowe. A i potencjalnych zagrożeń było – w ocenie esbeków – w ich trakcie więcej.

Przyjrzyjmy się jednak działaniom Służby Bezpieczeństwa w związku z igrzyskami zimowymi. O tym, jakie zagrożenia przewidywano w związku z nimi, wiemy ze sprawy pod mało wyszukanym kryptonimem Calgary. W jej ramach MSW prowadziło działania w związku z igrzyskami w kanadyjskim Calgary, największym mieście prowincji Alberta, w dniach 13–28 lutego 1988 r. Konieczność jej prowadzenia uzasadniano faktem, że „odbędą się [one] w trudnej i skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, uwarunkowanej konfrontacyjnym kursem polityki zagranicznej państw kapitalistycznych, głównie USA, rzutującym bezpośrednio na jakość i zwartość światowego ruchu sportowego”. Przede wszystkim jednak obawiano się licznej w Kanadzie Polonii, szczególnie tej najnowszej, solidarnościowej z lat 80, jak stwierdzali esbecy – „zdecydowanie wrogo ustosunkowanej do socjalizmu i obecnej rzeczywistości w Polsce”. Polską ekipę zamierzano zatem zabezpieczyć nie tylko – co wydaje się zrozumiałe, choć było de facto zadaniem gospodarzy igrzysk – przed ewentualnymi aktami terroru, lecz także przed prowokacjami politycznymi (głównie ze strony Polonii i zachodnich służb specjalnych) czy namawianiem do pozostania – głównie polskich sportowców – na Zachodzie. Służył temu odpowiedni dobór osób wyjeżdżających do Calgary. I od razu trzeba powiedzieć, że najprawdopodobniej w kilku przypadkach – jak się można domyślać, w wyniku działań SB – wyjazd polskich sportowców do Kanady nie doszedł do skutku. Z zachowanych materiałów funkcjonariusze wytypowali zresztą całkiem sporą grupę naszych reprezentantów, w których przypadku miało zachodzić ryzyko pozostania na Zachodzie. Znaleźli się w niej: dwuboista Tadeusza Bafia, hokeiści Jerzy Christ, Franciszek Kukla, Leszek Jachna i Piotr Rybowski, skoczek narciarski Jan Kowal oraz narciarka alpejska Małgorzata Bachleda-Szeliga. Przy czym o ile w przypadku mężczyzn ewentualna odmowa powrotu do kraju miała być uwarunkowana „względami materialnymi i możliwościami szkoleniowo-treningowymi”, o tyle w wypadku ich koleżanki z nieco już innych przyczyn – „z uwagi na stan materialny i ewentualną korzystną ofertę zawarcia związku małżeńskiego”. Z tej grupy do Calgary nie pojechali ostatecznie „jedynie” Bachle-

eprasa.pl 4c1b1273a2

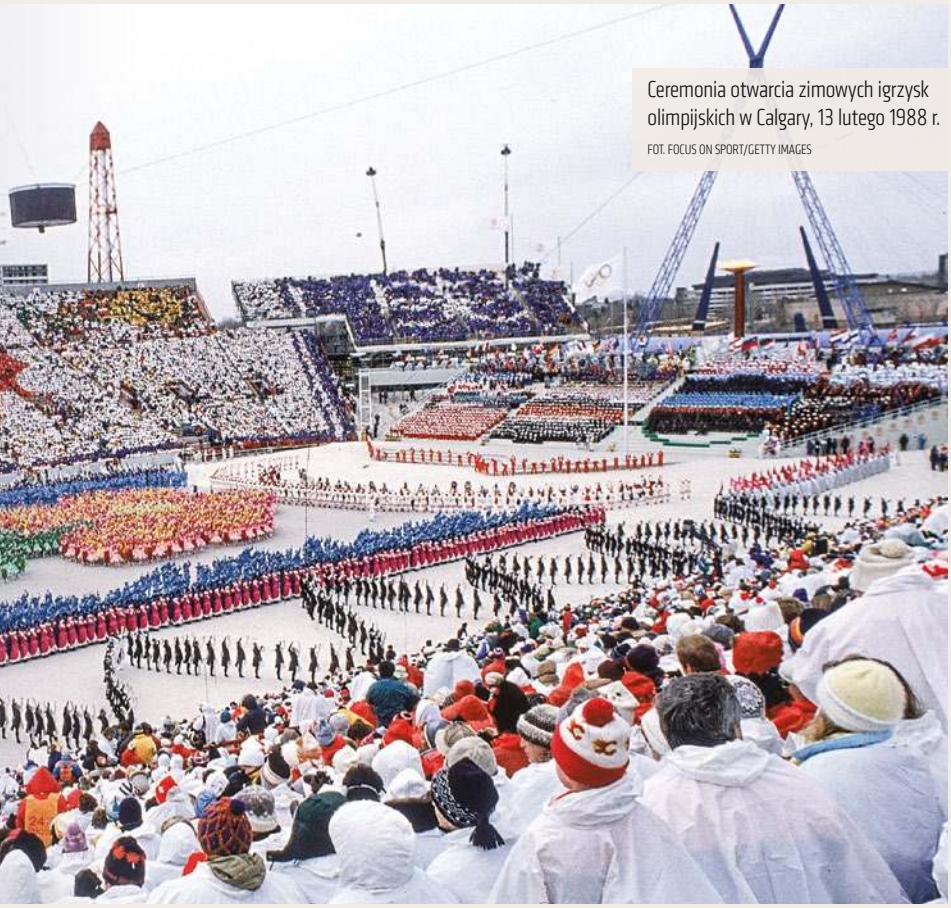

Ceremonia otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich w Calgary, 13 lutego 1988 r.
FOT. FOCUS ON SPORT/GETTY IMAGES

da-Szeliga oraz Rybowski. O dużym szczęściu mógł mówić zwłaszcza Bafia – wyjechał on, mimo że do funkcjonariuszy dotarły informacje, iż „od dłuższego czasu nosi się z zamiarem pozostania za granicą kraju (RFN) […], odmówi powrotu do kraju w czasie trwania igrzysk bądź bezpośrednio po ich zakończeniu". Zawdzięczał to wstawiennictwu swojego klubu, który udzielił mu „pełnej gwarancji". Smaczku tej sprawie dodaje fakt, że reprezentował on barwy resortu spraw wewnętrznych – był zawodnikiem Towarzystwa Sportowego Wisła Gwardia Zakopane… Tak na marginesie: do Calgary nie wyjechał również hokeista GKS Tychy Roman Zborowski. Jego przypadek był jednak zupełnie nietypowy – otóż temu reprezentantowi Polski od dwóch lat Wydział Paszportów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku odmawiał wydania paszportu, gdyż córka naczelnika tego wydziału miała z nim nieślubne dziecko... W jego przypadku interwencje – jednego z działaczy Polskiego Związku Hokeja na Lodzie, który był zresztą kontaktem operacyjnym SB o pseudonimie M.B. – okazały się nieskuteczne.

ODMOWA POWROTU DO PRL

Ci, którym udało się wyjechać czy to do Calgary w 1988 r., czy na wcześniejsze zimowe igrzyska olimpijskie, pozostawali – o czym była już mowa – pod czujnym nadzorem. Przy czym funkcjonariuszy nie interesowały wyniki sportowe, lecz wszelkie niepożądane zjawiska towarzyszące tym wyjazdom. Dzięki temu dowiadujemy się o kulisach tych zimowych zmagań oraz o zachowaniu szczęśliwców, którym udało się na nie wyjechać. Jak się zresztą okazuje, dla wielu z nich nie wynik czy zmagania sportowe były rzeczą najważniejszą. I tak np. na zimowe igrzyska w Innsbrucku w 1976 r. wyjechało zaledwie 135 polskich turystów, którzy mieli nie interesować się zmaganiami sportowymi, „zajmując się głównie handlem lub kontaktami z rodzinami zamieszkałymi na Zachodzie". Pozytywny wyjątek miała w tym przypadku stanowić „grupa działaczy i trenerów, którzy przyjechali za wiedzą i zgodą G[łównego] K[omitetu] K[ultury] F[izycznej] i T[urystyki]". Jakby tego było mało, sześć osób spośród wspomnianych 135 odmówiło powrotu do PRL. Rzekomo miało to wynikać z faktu, że „dobór turystów był przypadkowy".

Tak na marginesie – jak informowano z kolei po igrzyskach w Sarajewie, czyli dawnej Jugosławii, należącej do bloku państw socjalistycznych, choć poza Układem Warszawskim – nie odnotowano ani jednego takiego przypadku. Nie znaczy to jednak, że postawa wyjeżdżających na nie była właściwa. Funkcjonariusze SB informowali po nich o różnicach w postawie polskich hokeistów – o ile ci młodzi „przejmowali się swoją słabą grą i reperkusjami tej sprawy w kraju", o tyle ich starsi, bardziej rutynowani koledzy mieli sprawiać wrażenie, że „przyjechali na wycieczkę, a nie na igrzyska olimpijskie".

Cztery lata później wspomniany wcześniej kontakt operacyjny „M.B." wskazywał w gronie hokeistów, którzy mieli wyjechać do Calgary, tych znanych z „zamiłowań handlowych". Zaliczył do nich: Andrzeja Hanisza, Jerzego Christa, Leszka Jachny, Mieczysława Łasia (ostatecznie nie wyjechał) oraz Jana Stopczyka. Nie byli oni zresztą jedyni – jak informował po zakończeniu zmagań w Sarajewie tajny współpracownik „Krystyna", który zgodził się na jednorazową pomoc dla bezpieki w związku z tymi igrzyskami: „Trener od zjazdów ob. [Andrzej] Kozak miał z sobą dużą torbę sprzętu w postaci ocieplaczy firmy »Descente« z Japonii, co wzbudziło zainteresowanie kontroli granicznej". Z kolei – jak wspominali po olimpijskich zmaganiach w Innsbrucku esbecy – „część zawodników większą wagę przywiązywało do różnych transakcji handlowych (np. zakup samochodów przez saneczkarzy) niż do wyników sportowych". Problem był zresztą na tyle duży, że przed zimowymi igrzyskami w Calgary wszystkich członków polskiej ekipy olimpijskiej miano m.in. poinformować o zakazie handlu i spekulacji.

Nie zawsze też najlepsze były – delikatnie rzecz ujmując – atmosfera i stosunki w polskiej ekipie. Po igrzyskach w Innsbrucku Służba Bezpieczeństwa informowała: „Strona moralna i polityczna części zawodników, trenerów i działaczy pozostawiała wiele do życzenia.

eprasa.pl 4c1b1273a2

Szczególnie niekorzystnie kształtowała się sytuacja i atmosfera między zawodnikami oraz trenerami i kierownikami grup w poszczególnych dyscyplinach. Trenerzy nie posiadali u zawodników niezbędnego autorytetu i zupełnie nie interesowali się ich postawą moralno-polityczną, sami niejednokrotnie dając zły przykład". Nie zawsze też mieli interesować się wynikami swoich podopiecznych. Przed zmaganiami w 1988 r. bezpieka – zapewne na podstawie doniesień swojej agentury – stwierdzała, że trener kadry saneczkarzy, Jan Tomera, „wyjazd do Calgary, podobnie jak wiele innych, traktuje jako możliwość uzyskania prywatnych korzyści, płynących z nielegalnego handlu". A ponadto że rzekomo „nie interesuje się on przebiegiem startów podopiecznych zawodników, udziela im mylnych wskazówek technicznych, co ma istotny wpływ na osiągane wyniki i atmosferę w zespole"…

Z kolei podczas igrzysk w Sarajewie – jak informował funkcjonariuszy TW „Krystyna" – miało dojść do konfliktu między polskimi łyżwiarkami szybkimi Erwiną Ryś-Ferens oraz Lilianną Morawiec i Zofią Tokarczyk.

AFERA DOPINGOWA HOKEISTY

„Smutnych panów" interesował również ubiór polskich zawodników i trenerów. Po zmaganiach w Innsbrucku wręcz alarmowali: „Zaobserwowano zupełny brak poszanowania i przywiązania do polskich barw narodowych, czego odbiciem była m.in. masowa sprzedaż i wymiana strojów olimpijskich w miejscu zakwaterowania oraz na lotnisku w Monachium, w drodze powrotnej. Nawet niektórzy działacze twierdzili, że »każdy może robić ze strojem olimpijskim, co zechce, gdyż stanowi on jego własność«". Z kolei po igrzyskach w Sarajewie esbecy informowali o niewłaściwym ubiorze Barbary Kossowskiej, trenerki najlepszego w historii polskiego łyżwiarstwa figurowego zawodnika Grzegorza Filipowskiego. W jej przypadku chodziło o to, że w trakcie wywiadu dla Telewizji Polskiej miała na sobie koszulkę z napisem „USA". Esbekom nie spodobał się również wywiad Emila Nikodemowicza (trenera polskich hokeistów) po ich wysokiej przegranej (1:12) z reprezentacją Związku Sowieckiego – podczas tych samych igrzysk – udzielony amerykańskiej NBC, a wyemitowany zresztą później również przez Głos Ameryki. Stwierdzali oni, że „jakkolwiek miał on charakter sportowy, to również negatywnie należy ocenić szukanie […] przyczyn porażki w sprawach wewnętrznych stosunków między władzami i organizacjami sportowymi w kraju". W tym miejscu warto przypomnieć, że podczas igrzysk obowiązywał zakaz udzielania – bez wiedzy i zgody kierownictwa ekipy – wywiadów osobom spoza kraju. Podobnie zresztą jak wiele innych zakazów, np. nawiązywania „niejasnych i niezasadnych kontaktów", nadużywania alkoholu, „przemieszczania bez zgody kierownictwa" czy używania „środków dopingujących, pobudzających". Nie zapobiegło to zresztą aferze z udziałem polskiego hokeisty Jarosława Morawieckiego, u którego podczas igrzysk w Calgary stwierdzono podwyższony poziom testosteronu we krwi, co sam zainteresowany tłumaczył podanym mu podczas spotkania organizowanego przez kanadyjską Polonię barszczykiem z krokietami. Miało to spowodować, że po wnikliwym rozpoznaniu jego przypadku „podjęto zdecydowane kroki dyscyplinarne i profilaktyczne w odniesieniu do całej sfery sportu". W przypadku Służby Bezpieczeństwa było to zdobywanie wyprzedzających informacji o polskich sportowcach korzystających z dopingu i informowaniu o nich władz sportowych – przed letnimi igrzyskami olimpijskimi w Seulu w 1988 r. szersze zestawienie zawierające m.in. takie przypadki mieli otrzymać przewodniczący Komitetu do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej Aleksander Kwaśniewski oraz szef polskiej misji olimpijskiej Stefan Paszczyk. Nie przeszkodziło to zresztą tym sportowcom w wyjeździe, a w jednym przypadku również w zdobyciu medalu olimpijskiego.

AWANTURA Z NRD-OWCAMI

Na koniec warto przypomnieć o tajemniczej przygodzie naszej reprezentantki w saneczkarstwie Anny Mąki po igrzyskach w Grenoble w 1968 r. Otóż po powrocie z nich do kraju prosto z lotniska zabrała ją milicyjna „suka" na przesłuchanie przez „smutnych panów". Miało to związek z jedną z najgłośniejszych afer w trakcie zimowych igrzysk, czyli dyskwalifikacją trzech reprezentantek Niemieckiej Republiki Demokratycznej w saneczkarstwie za – niedozwolone – podgrzewanie płóz do sanek. Zgłosiła ona sędziom wytopienie toru startowego do betonu przez dwie startujące przed nią zawodniczki NRD, później temat ten podjęli polscy działacze, czego efektem była wspomniana dyskwalifikacja i – w jej efekcie – afera rozpętana u naszego zachodniego sąsiada. W jej ramach – jak odnotowywała Służba Bezpieczeństwa – „potępiono udział sportu polskiego w podjęciu decyzji o dyskwalifikacji saneczkarek NRD". Głównym celem ataków stał się prezes Polskiego Związku Sportów Saneczkowych Lucjan Świderki, ale Mąkę – jak sama wspominała po latach – w Niemieckiej Republice Demokratycznej okrzyknięto antykomunistką, a „człowiek z konsulatu" miał jej przekazać, że nie może wrócić do Polski, bo czeka ją tam więzienie. Stanęła wówczas przed trudną decyzją, czy wracać do kraju, gdzie miała właśnie zdawać maturę, czy też zostać na Zachodzie. Ostatecznie wróciła, odrzucając propozycję ucieczki do Francji lub USA. Na szczęście cała afera – być może dzięki ogromnemu rozgłosowi wokół niej – nie wpłynęła na jej dalszą karierę, choć była przyczyną zainteresowania nią funkcjonariuszy.

Podczas igrzysk reprezentantów Polski obowiązywał zakaz udzielania – bez wiedzy i zgody kierownictwa ekipy – wywiadów osobom spoza kraju

Dzisiaj na szczęście wyjazdy polskich sportowców – nie tylko na igrzyska olimpijskie – nie odbywają się już pod nadzorem „smutnych panów", przynajmniej ze służb III RP. Ten zwyczaj odszedł do lamusa wraz z likwidacją Służby Bezpieczeństwa w 1990 r. Dzięki temu obecnie jej dokumenty są jedynie ciekawym świadectwem – często nieznanych – kulisów zmagań sportowych oraz szczęśliwie minionej epoki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

O UDZIALE POLAKÓW W IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH MEDIOLAN--CORTINA 2026 CZYTAJ NA STR. 72

eprasa.pl 4c1b1273a2

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niewachlów

Warto tu przypomnieć osławioną wypowiedź aktora Macieja Stuhra o „metodzie żywych tarcz", rzekomo zastosowanej przez polskich wojów Mieszka I pod Cedynią w 972 r., jako o metodzie walki z niemieckimi najeźdźcami. Ale przecież nic takiego nie miało miejsca. Aktorowi pomieszały się daty i wydarzenia, ponieważ rzecz taka miała miejsce, ale kilkadziesiąt lat później i 250 km od Cedyni – czyli podczas oblężenia Głogowa w 1109 r. przez wojska niemieckiego króla (później cesarza) Henryka V Salickiego, który najechał ziemie polskie. Wobec zdecydowanej obrony grodu Niemcy zastosowali metodę „żywych tarcz", wykorzystując polskich zakładników w czasie ataku na Głogów. Obrońcy nie ulegli i się nie poddali... Uznawanie aktorek i aktorów za autorytety w dziedzinie wiedzy ogólnej prowadzi wyłącznie na manowce. Skąd takie pomysły u aktora? Stąd, że poznaje „prawdę historyczną" z „Wyborczej". Kiedyś powiedział: „Poruszyła mnie nie tyle prawda historyczna, którą znałem z »GW«, ale to, jak ta historia wpływa na ludzi".

Taka zbrodnicza, okrutna metoda była w historii wykorzystywana wielokrotnie przez walczące strony. My znamy ją przede wszystkim z powstania warszawskiego, gdy Niemcy i ich sojusznicy z formacji kolaboranckich stosowali ją nagminnie, aby chronić swe szeregi przed ostrzałem powstańców. Pędzili cywilów, głównie kobiety i dzieci, przed czołgami i pojazdami pancernymi. Czynili to z pełną świadomością, że prawo międzynarodowe – obowiązujące w tym zakresie od końca XIX w. – zakazywało takich praktyk. Było ono jednak łamane, gdyż metoda ta bywała skuteczna. Dziś o tym zapominamy, lecz to nie były incydenty i wyjątki, ale zbrodnie dosłownie codzienne.

W tym kontekście warto przypomnieć fakt, że podczas okupacji niemieckiej metoda „żywych tarcz" stosowana była przez bandy Gwardii Ludowej wobec ludności polskiej. Tak było m.in. w Niewachlowie koło Kielc w lutym 1943 r. Mieścił się tam mały posterunek polskiej „policji granatowej". Gwardzistom bardzo zależało na zdobyciu broni, ale nie odważyli się atakować policjantów bezpośrednio. Uznali zatem, że wezmą ich na litość, pędząc przed sobą ich rodziny, wzięte „do niewoli" i zasłaniając się nimi. Wydarzenie jest dość dobrze udokumentowane przez polskie organizacje konspiracyjne. „[Bandyci] wywlekli z mieszkań rodziny policjantów i zgrupowali je pod posterunkiem. Okrzykiem zażądali poddania się całej załogi, zasłaniając się jednocześnie rodzinami"... W tej sytuacji policjanci się poddali. Jeden strzał ranił córkę komendanta posterunku. Dla gwardzistów była to wielka akcja bojowa. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bogusław X Wielki

Rozrodzona dynastia zachodniopomorskich Gryfitów u schyłku średniowiecza zaczęła wymierać i w 1475 r. przy życiu pozostało tylko dwóch przedstawicieli: Bogusław X i jego stryj, Warcisław X. Zgodnie z obowiązującymi układami w razie wygaśnięcia rodu Pomorze przeszłoby pod władzę Brandenburgii.

Bogusław wiedział, że od niego zależało nie tylko przetrwanie Gryfitów, lecz także państwa. Synowie stryja zmarli na zarazę i to on miał być jego następcą, ale sprawa nie ograniczała się wyłącznie do posiadania potomstwa. Pomorze musiało zostać zmodernizowane, gdyż niemal wszystkie dziedziny życia wymagały głębokich reform. Księstwo tkwiło jeszcze w głębokim średniowieczu i znacznie odbiegało pod względem rozwoju gospodarczego od sąsiednich państw. Nie powstało nowoczesne sądownictwo, praktycznie nie istniała centralna administracja, nie było nawet kancelarii książęcej. Zarządcy majątków władcy od lat nie zdawali żadnych sprawozdań finansowych i traktując je jak własne, bez skrupułów okradali panującego. Na domiar złego szerzyło się bezprawie, na drogach bezkarnie rabowano kupców, a brali w tym udział nawet pomorscy rycerze. Oczywiście wpływało to na ograniczenie handlu, co oznaczało znacznie mniejsze pieniądze nie tylko dla kupców, lecz także dla księcia.

Rzeczywiście pod względem finansowym sytuacja Bogusława X wyglądała tragicznie. Nie tylko zarządcy okradali władcę, lecz także podatki spływały bardzo powoli albo wręcz w ogóle. W efekcie obliczano, że dochody książęce z całego Pomorza wynosiły zaledwie 559 guldenów, czyli ok. 145 tys. euro (urzędnik zarabiał od 10 do 30 guldenów rocznie). Dwór czasami nie miał pieniędzy na najpotrzebniejsze wydatki i często nie płacono za dostawy. Bogusław, podróżując po obszarze swojego księstwa, najchętniej zatrzymywał się w klasztorach, gdzie nie musiał regulować rachunków.

Warcisław X zmarł w grudniu 1478 r. i jego bratanek zjednoczył całe Pomorze Zachodnie. Rozpoczął przebudowę państwa i nawiązał przyjazne stosunki z Kazimierzem Jagiellończykiem. Dzięki temu udało się wreszcie zawrzeć korzystny układ z Brandenburgią, której władca zrezygnował z pretensji do Pomorza. Był to początek przemian nad Bałtykiem, a Bogusław zaczął myśleć o uznaniu zwierzchnictwa króla Polski i 2 lutego 1491 r. poślubił jego córkę, Annę. Miał z nią pięciu synów, którzy zapewnili przetrwanie rodu. Niestety, nigdy nie złożył hołdu lennego Rzeczypospolitej i z czasem uznał zwierzchnictwo cesarza, ale jako jeden z dwóch Gryfitów zasłużył na przydomek Wielkiego. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

Krystian Kratiuk

Z człowieka zmarłego w opinii świętości już udało się zrobić „pogrzebanego żywcem". Postępowi katolicy z szermierza kontrreformacji próbują zrobić zwolennika dzisiejszego wydania ekumenizmu. Wielkie społeczne zaangażowanie kapłana przemilczają niemal wszyscy historiografowie, a polska szkoła naucza o ważnym, ale nie o najpoczytniejszym z jego dzieł. Dlaczego?

Ksiądz Piotr Skarga na obrazie Jana Matejki FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Kim nie był ksiądz Skarga?

Mija dokładnie 490 lat od urodzin jednego z największych Polaków, którego życiorysem i dokonaniami obdzielić by można kilka osób. Mowa przecież o człowieku, którego książka stanowiła odpowiednik dzisiejszego „bestsellera" przez kilka stuleci, sejmowym kaznodziei, wychowawcy narodu, współtwórcy polskiej nauki oraz dobroczynności.

Większość Polaków kojarzy dziś ks. Piotra Skargę z dwóch powodów – pierwszym jest słynny obraz Jana Matejki, na którym ów największy reżyser w dziejach Polski odmalował kaznodzieję w charakterystycznej postawie pełnej pasji, charyzmy, przejęcia, ale jednocześnie troski i powagi. Drugim zaś powodem jest obecność fragmentów jego dzieł na liście obowiązkowych lektur szkolnych. Chodzi rzecz jasna o słynne „Kazania sejmowe".

KAZNODZIEJA

Jeśli zatem w ogóle pamiętamy o ks. Skardze, to właśnie dlatego, że mówił do króla i szlachty. Czy pamiętamy jednak, co mówił? Otóż warto sobie przypomnieć, że w niemałej części jego „Kazania sejmowe" były aktem oskarżenia. Stanowiły to, co absurd naszych czasów nakazuje niektórym nazywać „wtrącaniem się księży w politykę". Skarga piętnował zatem szlacheckie wady, wśród których wymieniał pychę, nieumiejętność dojścia do zgody, brak sprzeciwu wobec rozmywania jedności narodu, osłabianie władzy i powszechną anarchizację oraz niewystarczającą czy raczej nieszczerą pobożność.

Po kilku stuleciach nadal brzmi znajomo, nieprawdaż?

Do rangi symbolu urasta jednak fakt, że ks. Skarga mówił o tym wszystkim w momencie wielkiego rozkwitu Rzeczypospolitej, gdy stanowiła potęgę, najrozleglejsze państwo na mapie Europy, a szlachta chełpiła się myślą o trwającym właśnie „złotym wieku". Wtedy pośrodku pysznych magnatów, wzmocniony królewskim rozkazem, stawał jezuicki kaznodzieja i przepowiadał… upadek tego mocarstwa. „Żaden z was, Przezacni Panowie, nie jest tak prosty, aby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego Królestwa i wnętrznego a domowego jego zachwiania; abo żeby nie uczuł mocnego nieprzyjaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym nam grozi".

Zdawał sobie sprawę, jak jest odbierany. Wiedział, że prorokuje, ale chciał powiedzieć swym słuchaczom, że to nie efekt szczególnego Bożego natchnienia, ale wnioski z obserwacji rzeczywistości i historii. „Bójcie się wżdy tych pogróżek! Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam: ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Wszytki królestwa, które upadały, takie posłańce Boże i kaznodzieje miały, którzy im wymiatali na oczy grzechy ich i upadek oznajmiali. Jako mieli Żydowie przed Babilońską niewolą" – mówił.

Nie został posłuchany. Królestwo upadło. Trudno jest być prorokiem we własnym kraju.

CZŁOWIEK PIÓRA

Chociaż dziś znamy głównie „Kazania sejmowe", to warto pamiętać, że Skarga to pisarz formatu narodowego, pisarz formujący wiele pokoleń Polaków. Choć zadebiutował literacko stosunkowo późno, bo ok. czterdziestki, to stale tworzył teksty polemiczne, apologetyczne, moralne, polityczne i hagiograficzne. Miał jeden cel: wychować katolika, a przez katolików – podźwignąć Rzeczpospolitą: naprawić obyczaje, umocnić wiarę, ożywić gorliwość. Przebudzić sumienia. Po to napisał „Żywoty świętych".

eprasa.pl 4c1b1273a2

To dzieło, które śmiało można nazwać bestsellerem epoki staropolskiej. Pierwsze wydanie ukazało się w 1579 r. i było tak rozchwytywane, że wyczerpało się już w 1583 r. (co w realiach XVI w. jest wynikiem wręcz sensacyjnym). Do 1644 r. książka doczekała się aż 12 wydań, rzadko które dzieło w dawnej Polsce wznawiano tak często.

Literacką wielkość Skargi paradoksalnie najdobitniej potwierdza to, że jako pisarza docenili go również ideowi przeciwnicy Kościoła: Stanisław Trembecki (libertyn i antyklerykał) oraz Stanisław Potocki (mason), chwaląc w jego dziełach czystość języka, prostotę i powagę stylu. Ten ton uznania powracał także później – Henryk Rzewuski zestawiał „Żywoty świętych" z „Panem Tadeuszem", a nawet Janusz Tazbir, znany krytyk kontrreformacji, przyznawał, że proza Skargi stanowi szczytowy punkt rozwoju polszczyzny XVI w.

WOJOWNIK

A skoro o kontrreformacji mowa – to Skarga żył w dobie wielkiego rozdarcia chrześcijańskiej Europy, po buncie Marcina Lutra i wybuchu rewolucji protestanckiej. Połowa niegdysiejszej Christianitas odrywała się od papieża, Kościoła i prawdziwej wiary. Jezuita nie mógł przejść obok tego obojętnie – jak nikt zaangażował się zatem w obronę katolicyzmu, głosząc konieczność pozostania przy tej religii polskich szlachciców. Przekonany był już wówczas, że gra toczy się nie tylko o zbawienie dusz i o fundament cywilizacji. Pleniąca się herezja nie była dlań „inną opinią" ani „inną wrażliwością duchową", lecz buntem przeciw prawdzie objawionej, który rozsadza Kościół od środka i popycha ludzi ku utracie wiary. Skarga pisał ostro, bo uważał, że w sprawach wiary nie wolno „mięknąć" pod presją świata ani być „katolikiem bojaźliwym" – a tych szczególnie piętnował: „A naszkodliwszy są katolicy bojaźliwi, i małego serca […], a zelum [gorliwości] nie mają".

Co ważne, Skarga w protestantyzmie widział nie tylko problem teologiczny, lecz także polityczny – czynnik rozkładu państwa. W „Kazaniach sejmowych" mówi wprost o związku między wiarą a trwałością Rzeczypospolitej, głosząc, że religia katolicka buduje porządek, posłuszeństwo, cnotę i zdolność do ofiary, natomiast „heretyctwo" rozbija jedność duchową i moralną wspólnoty, przez co osłabia naród. „Upadnie wszytko królestwo wasze, jeśli ten nowy stan […] do niego […] heretyki przyjmiecie" – pisał.

Tu akurat wielu go posłuchało, choć przecież zdarzyły się liczne odstępstwa od wiary. Ale niech prorocki charakter jego słów podkreśla to, co później stało się z protestancką częścią Europy – jak stopniowo odchodziła od religii i moralności, czego skutki obserwujemy do dziś. A duchowym dzieciom Lutra udało się jeszcze jedno – zaszczepienie swych zgubnych idei w ciele rzymskiego Kościoła, wskutek czego od dziesięcioleci podąża on zgubną drogą „braci odłączonych".

SPOŁECZNIK

Skarga był nie tylko kaznodzieją, lecz także człowiekiem instytucją: rektorem Akademii Wileńskiej stanowiącej zaczątek późniejszego Uniwersytetu Wileńskiego, a więc jednym z pierwszych budowniczych inteligencji Rzeczypospolitej.

Równocześnie był praktykiem miłosierdzia: w 1584 r. założył w Krakowie Bractwo Miłosierdzia Bogarodzice (późniejsze Arcybractwo), które miało pomagać ubogim materialnie i duchowo, szczególnie tym „wstydzącym się żebrać". Przy bractwie działał też Bank Pobożny, udzielający wsparcia pod zastaw bez lichwy. A gdy widział ludzką krzywdę, nie poprzestawał na kazaniach: wchodził w realne życie społeczne – pisał w imieniu biednych skargi i prośby do urzędów, interweniując, by słabszych broniono przed bezprawiem. Stąd najpewniej przydomek Skarga, który dla potomnych przez wieki stał się nazwiskiem. A przecież Piotr Skarga faktycznie nazywał się Piotr Pawęski.

LEGENDA

Po niemal pięciu stuleciach od narodzin i ponad 400 latach od śmierci ks. Skarga nierzadko pada ofiarą pomówień. Pierwsze, najgłośniejsze, to tzw. czarna legenda Skargi, rozpowszechniona absurdalnie szeroko, a niemająca absolutnie nic wspólnego z prawdą. Według owej kłamliwej legendy ów Kaznodzieja Narodu miał zostać pochowany żywcem i obudzić się w trumnie, po czym doznać załamania, a być może nawet złorzeczyć Bogu. Historycy podkreślają jednak, że nie ma na to – i nigdy nie było – żadnego (podkreślmy: żadnego) dowodu.

„Kazania sejmowe" księdza Piotra Skargi były aktem oskarżenia. Stanowiły to, co absurd naszych czasów nakazuje niektórym nazywać „wtrącaniem się księży w politykę"

Niektórzy przewodnicy po Krakowie, gdzie spoczywają doczesne szczątki Skargi, nadal powtarzają te absurdalne kalumnie. Ale w tym mieście pamięć o księdzu ma i innych przeciwników – co jakiś czas powraca bowiem temat usunięcia jego pomnika z Placu św. Marii Magdaleny. W tym roku dyskusja znów się rozpoczyna – w związku z planowaną „rewitalizacją" placu. Krakowianie jednak nie zamierzają do tego dopuścić i od lat protestują przeciwko tym pomysłom.

Pamięć o ks. Skardze w Polsce jednak nie ustanie, bez względu na to, kiedy dojdzie wreszcie do wyczekiwanej przez wielu beatyfikacji. Proces na szczeblu diecezjalnym rozpoczął się w 2014 r., dokumenty są już w Rzymie. Gdy proces dobiegnie szczęśliwego końca, ks. Skarga z pewnością doczeka się wielu nowych wrogów i oskarżycieli – wszak u lewicowych autorów już dziś można przeczytać, że był on rzekomo chorym fundamentalistą i podżegaczem do nienawiści. A niektóre z mediów katolickich próbują uczynić z tego największego w dziejach Polski szermierza kontrreformacji… lidera ekumenizmu (sic!!!).

Nowa czarna legenda budowana jest bowiem od lat, ale jak każda z nich zostanie prędzej czy później zweryfikowana i zapomniana przez historię. A pamięć o Skardze, jego kazaniach, książkach, systemowych dziełach naukowych i dobroczynnych oraz o iście prorockiej, kaznodziejskiej pasji nie zaginie dopóty, dopóki istnieć będą choćby zręby katolickiej Rzeczypospolitej.

Czyli jak długo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 4c1b1273a2

Siły Zdemoralizowane

Maciej Pieczyński

Dezercja, korupcja, nielegalny handel bronią. Armię ukraińską trawią liczne patologie. Heroizm i talent jednych żołnierzy oraz oficerów niweczone są przez innych. Mimo to Rosja wciąż nie jest w stanie osiągnąć swoich celów

Nowy minister obrony Ukrainy zastał armię w opłakanym stanie. Otwarcie to zresztą przyznał. Przemawiając przed deputowanymi Rady Najwyższej, Mychajło Fedorow oświadczył, że resort trafił w jego ręce z deficytem budżetowym w wysokości 300 mld hrywien (prawie 25 mln zł). Problemem są nie tylko pieniądze, lecz także ludzie. Dwa miliony Ukraińców są poszukiwane listem gończym w związku z uchylaniem się przed obowiązkiem służby wojskowej, a 200 tys. samowolnie porzuciło jednostki.

Problemy finansowe Ministerstwa Obrony nie mogą dziwić, biorąc pod uwagę niekończący się łańcuch afer korupcyjnych w resorcie. Z powodu podejrzanie przepłaconych kontraktów na żywność czy broń dla armii stanowiska tracili kolejni wysoko postawieni urzędnicy. W tym nawet sam minister Ołeksij Reznikow. Po jego odejściu posadę przez niecałe pół roku zajmował były premier Denys Szmyhal. 35-letni Mychajło Fedorow, zanim objął MO, zdążył już być premierem i ministrem cyfryzacji. Uważany jest za bardzo sprawnego urzędnika. Ukończył Yale School of Management. Jego zasługą jest skuteczne przeniesienie większości usług urzędowych do Internetu. Zwalczył może nie tyle biurokrację, ile papierologię. Ukraina, na wielu innych polach przypominająca państwo upadłe, w dziedzinie e-administracji stanowi wzór do naśladowania dla bardzo wielu innych krajów. Ponadto od początku wojny Fedorow odgrywa ważną rolę, jeśli chodzi o zakupy dronów i rozwój technologiczny armii.

Teraz zapowiada kompleksowy audyt w Ministerstwie Obrony. Obiecał też zreformować szkolenie i rekrutację żołnierzy, aby w przyszłości ograniczyć straty na polu walki oraz zwiększyć skuteczność armii. Stoi przed nim zatem nie lada wyzwanie…

POD PERMANENTNYM OSTRZAŁEM

Na razie trzeba przyznać, że nie próbuje mamić ukraińskiej opinii publicznej wyidealizowanym obrazem armii. Warto przyjrzeć się zatrważającym statystykom, które przedstawił przed Radą Najwyższą. Służbę czynną w szeregach Sił Zbrojnych Ukrainy odbywa między 900 tys. a milionem żołnierzy. Hipotetycznie zatem zaciągnięcie do służby tych 2 mln „uchylantów" pozwoliłoby potroić stan liczebny armii. To oczywiście jedynie czysta matematyka. W rzeczywistości mowa o ludziach, którzy najzwyczajniej w świecie nie chcą walczyć – albo nie chcą ginąć w ogóle, albo nie chcą ginąć za swój kraj, toczony przez korupcję na szczytach władz. Przymusowa mobilizacja zapewnia ilość, ale nie jakość. Najprawdopodobniej spora część z tych 2 mln wyjechała już za granicę. Oczywiście nielegalnie, dzięki łapówkom. Ci, których na to nie stać, wciąż ukrywają się w kraju przed

eprasa.pl 4c1b1273a2

Nowy minister obrony Mychajło Fedorow zastał ukraińską armię w opłakanym stanie

FOT. ANDRII NESTERENKO/REUTERS/FORUM

Ukrainy

coraz bardziej znienawidzonymi w powszechnym odbiorze funkcjonariuszami TCK, czyli ukraińskiego WKU.

Natomiast 200 tys. żołnierzy, którzy samowolnie opuścili swoje jednostki, to nie tylko dezerterzy. Mowa również o tych, którzy, zmęczeni wielomiesięczną służbą bez rotacji, uciekają, by odpocząć, ale później wracają. Problem ten na początku stycznia, na antenie kanału Novyny.Live na YouTube, szczegółowo omówił dowódca obrony przeciwlotniczej 3. Korpusu Armijnego kpt. Witalij Samojłenko ps. Boczka. W jego ocenie jedną z najważniejszych przyczyn samowolnego opuszczania jednostki są braki kadrowe, które uniemożliwiają rotowanie żołnierzy na froncie. Na froncie, który na wielu odcinkach trzeba utrzymywać bez przerwy, pod permanentnym ostrzałem. „Decydującym czynnikiem jest praca z ludźmi – ideologiczna, psychologiczna, nieprzerwana komunikacja z dowódcami" – mówił kpt. Samojłenko. Jego zdaniem należy nie tylko zapobiegać przypadkom samowolnego opuszczenia jednostki, lecz także dawać możliwość powrotu. Marchewka może się w tym wypadku okazać bardziej skuteczna niż kij. „Błędy się zdarzają" – zaznacza kpt. Samojłenko. I dodaje, że państwo powinno dawać żołnierzom szansę na naprawę owych błędów.

„SYNOWIE MARNOTRAWNI"

Wojskowi stosunkowo często komentują sytuację w armii na łamach mediów. Akurat w tym wypadku cenzura wojenna nie działa. O przyczynach ucieczek z frontu w wywiadzie dla Armii TV opowiedział w zeszłym tygodniu „Hans" – zastępca dowódcy batalionu systemów bezzałogowych „Synowie Chorsa" 128. Górsko-Szturmowej Brygady Zakarpackiej. Jak przekonuje, rzadko takie wypadki wywołane są niezadowoleniem z sytuacji w oddziale. Zazwyczaj przyczyny są natury osobistej. „To mogą być jakieś rodzinne problemy, o których chłopak czy dziewczyna na czas nie opowiedzieli, nie otrzymali więc potrzebnego wsparcia" – mówi „Hans". Jak takie wsparcie mogłoby wyglądać? „Hans" zapewnia, że w podobnej sytuacji żołnierz mógłby liczyć na jedno- czy dwudniową przepustkę, żeby pojechać do domu i rozwiązać problemy, a potem wrócić na front. „Wtedy spada kamień z serca i ty rozumiesz, że z tymi sprawami jest już wszystko dobrze, można zatem dalej wykonywać swoją pracę" – mówi wojskowy. „Hans" sugeruje też, że nie wszyscy żołnierze wytrzymują panującą w szeregach armii dyscyplinę. Jeśli ktoś w cywilu nie był szczególnie pracowity, to ogrom obowiązków może go przytłoczyć nie mniej niż sama wojna. Mniej wyrozumiałości dla niedoszłych dezerterów mają „Ragnar" i „Azymut" – oficerowie 47. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej „Magura". Żołnierze, którzy samodzielnie oddalili się od jednostki, często skarżą się na złe dowodzenie. Tymczasem, według oficerów, to tylko pretekst, podczas gdy w rzeczywistości najczęstszym powodem ucieczki są wytaczane im sprawy dyscyplinarne, np. za nadużywanie alkoholu.

Żołnierze, którzy opuścili jednostkę, ale chcą wrócić, dostają drugą szansę. Swoje jednak muszą odpokutować, stając się mięsem armatnim. Głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Ołeksandr Syrski przyznał niedawno, że tacy „synowie marnotrawni" delegowani są do tych oddziałów, które walczą na najtrudniejszych odcinkach frontu. W wywiadzie dla LB.ua, opublikowanym 18 stycznia, gen. Syrski odpowiadał też na pytanie o rosnącą liczbę dezercji. W jego ocenie wynika ona, po pierwsze, z intensyfikacji działań bojowych, po drugie – z perspektywy rozmów pokojowych.

Statystyki, podane przez ministra Fedorowa, nie są wyczerpujące i nie przedstawiają pełnej skali patologii w armii ukraińskiej. Jak informuje portal NV.ua, powołując się na dane biura Prokuratora Generalnego, od początku pełnoskalowej inwazji Rosji do października 2025 r. wytoczono ponad 310 tys. spraw karnych w związku z samowolnym opuszczeniem jednostki lub dezercją. Najgorzej pod tym względem było w minionym roku. Między styczniem a październikiem 2025 r. wszczęto 162,5 tys. postępowań w sprawie samowolnego opuszczenia oraz 21,6 tys. – w sprawie dezercji. W grudniu biuro Prokuratora Generalnego utajniło te dane, nie wiadomo zatem, jaka jest obecna skala problemu. Jelizawieta Drabkina z NV.ua, powołując się na opinie ekspertów, stwierdza, że nie ma jednego powodu ucieczek z wojska. Błędy dowódców, problemy rodzinne czy brak przepustek – to przyczyny podawane najczęściej przez samych żołnierzy. Ponadto czasem do rubryki „SZCz" (samowilne załyszennia czastyny – samowolne opuszczenie jednostki) można zostać wpisanym przez pomyłkę – jeśli np. ranny żołnierz jest przenoszony z jednego szpitala do drugiego i na czas nie wysłał odpowiednich dokumentów. To jednak akurat marginalne zjawisko. Rusłan Pletinka ps. Trener, oficer zajmujący się szkoleniem żołnierzy, w rozmowie z NV.ua przekonuje, że za dezercję częściej winę ponoszą sami dowódcy niż ich podkomendni. Gdyby chcieli, oficerowie mogliby o wiele skuteczniej zapobiegać „SZCz".

Symptomatyczna jest w tym kontekście historia Stepana Raduła ps. Kleryk. Już drugiego dnia inwazji poszedł walczyć na ochotnika. Walczył na froncie przez wiele miesięcy. Jego oddział nie stracił żadnej pozycji. Brał rosyjskich jeńców. Zdobywał rosyjskie okopy. W pewnym momencie nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy jego batalionu. Zmiana na gorsze. Nowy dowódca nawet nie witał się z żołnierzami, którymi, jako oficer, gardził. Nie słuchał nikogo

eprasa.pl 4c1b1273a2

– nawet dowódców kompanii, wchodzących w skład jego batalionu. „Nasi dowódcy to byli prości ludzie, a on, zamiast ich wysłuchać, zamykał im usta groźbami i krzykami" – mówi NV.ua Raduł. Batalion był wysyłany na najtrudniejsze odcinki frontu, a nowy dowódca nie liczył się ze stratami. Niezadowolenie w szeregach rosło. Dowódcy kompanii alarmowali, że skład osobowy batalionu jest niewystarczający, żołnierze zaś – psychicznie zmęczeni. O problemach tego oddziału opowiadał publicznie również znany dziennikarz śledczy, a obecnie żołnierz, Jurij Butusow, a także polityk opozycyjnej Solidarności Europejskiej Wołodymyr Arjew. Szef sztabu złożył nawet zawiadomienie do Państwowego Biura Śledczego w sprawie zachowania dowódcy batalionu. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Jak opowiada Raduł, w pewnym momencie na pluton, który regulaminowo powinien liczyć od 15 do 55 żołnierzy, przypadały dwie osoby. Pozostali byli ranni albo zabici. Utrzymywanie obrony w takiej sytuacji było niemożliwe. Dowódca batalionu nie raportował swoim przełożonym na temat realnej sytuacji w oddziale, który wobec tego nadal był rzucany na najbardziej wymagające odcinki. Co więcej, nie mówił też prawdy własnym podkomendnym. Dlatego pod Kupiańskiem batalion musiał trzymać front, mając na swoich tyłach siły wroga, o których nie wiedział. Wszystkie straty, poniesione w tej konkretnej bitwie, poniesione zostały właśnie na tyłach, co zdaniem Raduła jednoznacznie obciąża dowódcę oddziału. „Wiem, czym jest wojna, śmierć z powodu wojny, wiem też, czym jest śmierć z powodu zaniedbań czy obojętności wobec składu osobowego" – mówi NV.ua Raduł, podkreślając, że podczas walk pod Kupiańskiem jego towarzysze broni ginęli „nie dlatego, że jest wojna, ale dlatego, że obojętne dowództwo nie informowało o realnym położeniu oddziału".

Na tle permanentnego stresu, działań bojowych, odniesionych ran oraz traum, związanych ze śmiercią kolejnych towarzyszy broni, u Raduła odnowiła się epilepsja, zdiagnozowana jeszcze w 2018 r. A potem jeszcze pogorszyły mu się wzrok i koordynacja ruchowa. Chciał skonsultować się z lekarzem, ale zgodnie z rozkazami dowódców batalionu i brygady żaden żołnierz nie był wypuszczany na przepustkę, niezależnie od stanu zdrowia. W końcu jednak Raduł tę przepustkę uzyskał. Poszedł do lekarza. Usunięto mu odłamek, który tkwił w głowie jeszcze od czasów Rewolucji Godności. Potwierdzono epilepsję. Raduł zaczął leczenie i chciał je kontynuować na tyłach, ale dowódca batalionu się na to nie zgodził. W końcu żołnierz opuścił jednostkę. Nie zdezerterował jednak, tylko przeniósł się, bez zgody swojego dowódcy, do innego oddziału – 3. Brygady Szturmowej. Tam trafił na bardziej empatycznych przełożonych. Uwzględnili zarówno jego słaby stan zdrowia, jak i przedwojenną pracę na stanowisku menedżera supermarketu i oddelegowali do służby w sztabie. Teraz Raduł zajmuje się nie tylko pracą biurową, lecz także przeprowadza rozmowy z żołnierzami, którzy chcą trafić do brygady po ucieczce z własnego oddziału.

Dezercja nie zawsze jest związana z sytuacją pojedynczych żołnierzy. Czasem nabiera charakteru systemowego. Dla Państwowego Biura Śledczego (DBR) walka z przestępczością w szeregach armii jest w warunkach wojny jednym z priorytetów. Pod koniec stycznia funkcjonariusze zatrzymali instruktora wojskowego centrum szkoleniowego w obwodzie rówieńskim. Brał od zmobilizowanych łapówki za ułatwienie im dezercji. Za pomoc w ucieczce z poligonu życzył sobie 3 tys. dol. Instruktora zatrzymano na gorącym uczynku, gdy przyjmował pieniądze od rekruta. Za organizację dezercji instruktorowi grozi do 12 lat więzienia. Mniej więcej rok temu było głośno o masowej dezercji w 155. Samodzielnej Brygadzie Zmechanizowanej. Jej szeregi opuściło aż 1,5 tys. żołnierzy.

KORUPCJA NA SZCZYTACH WŁADZY

Dezercja nie jest jedynym problemem w ukraińskiej armii. W połowie stycznia funkcjonariusze Państwowego Biura Śledczego zatrzymali żołnierza za próbę nielegalnego handlu bronią. Dowódca drużyny w jednostce, stacjonującej w obwodzie donieckim, chciał sprzedać przenośny przeciwlotniczy zestaw rakietowy oraz dwa karabiny maszynowe. Klienta znalazł przez Internet. W mieszkaniu przechowywał ponadto 549 dronów i akumulatory do nich, a także 80 kg materiałów wybuchowych i 74 tys. dol. Sprzęt wojskowy najpewniej ukradł z jednostki, pieniądze zarobił na dotychczasowych „transakcjach". Grozi mu do siedmiu lat więzienia. Niedługo przed sądem staną prawniczka i jej wspólnicy, odpowiedzialni za fałszowanie fikcyjnych diagnoz psychiatrycznych dla osób objętych obowiązkiem służby wojskowej. Z tych usług skorzystać zdążyło ponad 20 osób.

Nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie doszło do zawieszenia broni, nie mówiąc o zawarciu pokoju

Nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie doszło do zawieszenia broni, nie mówiąc już o zawarciu pokoju. Rosja, pomimo ogromnych strat, powoli, ale jednak posuwa się naprzód. Nie jest w stanie osiągnąć celu maksimum, którym jest likwidacja państwa ukraińskiego w jego obecnym kształcie. Na razie nie jest nawet w stanie osiągnąć granic obwodu donieckiego. Ale Ukraińcy też nie mają w tej chwili możliwości odzyskania utraconych terenów. Wojna pozycyjna trwa nadal. Demoralizacja Sił Zbrojnych Ukrainy postępuje, podobnie jak zmęczenie wojną, które nad Dnieprem w końcu wygra z nienawiścią do agresora. Nawet tak sprawny administrator jak Mychajło Fedorow nie jest raczej w stanie w krótkim czasie uzdrowić armii broniącego się państwa. A nawet gdyby ukraińscy żołnierze mieli najlepszych dowódców liniowych na świecie, to szalejąca na szczytach władzy korupcja raczej do walki nie zachęca. Podobnie jak brak perspektyw – linia frontu od dłuższego czasu prawie się nie zmienia. „Po co zatem ginąć za jedną czy drugą wioskę? I tak nie jesteśmy w stanie ani odnieść całkowitego zwycięstwa, ani ponieść całkowitej klęski" – i taka refleksja również pojawia się w głowach walczących na froncie żołnierzy. I demotywuje nawet tych, którzy z patriotyczną pieśnią na ustach szli na ochotnika bronić ojczyzny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. ADOBE STOCK

BEZ INTERNETU

Rząd Ugandy wyłączył w tym kraju na kilka dni Internet. Oficjalny powód? Troska o bezpieczeństwo i stabilność podczas wyborów prezydenckich. Decyzja ta sparaliżowała wiele segmentów życia społecznego, zwłaszcza w stolicy państwa – Kampali. Najbardziej ucierpiały usługi on-line. Sprzedawcy internetowi nie mogli się kontaktować z klientami, a kierowcom taksówek nie działały aplikacje transportowe. Według opozycji akcja miała na celu ukrycie fałszerstw wyborczych.

FAŁSZYWE OBIETNICE

Ghańskie służby aresztowały dziewięciu obywateli Nigerii podejrzanych o koordynowanie działalności cyberprzestępczej, prowadzonej w prowizorycznych biurach w rejonie stolicy Ghany, Akry. Zatrzymano także 44 osoby jako ofiary procederu, które przypuszczalnie zostały zwabione do tego kraju fałszywymi obietnicami lukratywnej pracy. Sprawa dotyczy także oszustw matrymonialnych, które są rozpowszechnionym rodzajem cyberprzestępczości w Ghanie.

NIE DLA WAPERÓW

Władze Singapuru rzuciły wyzwanie waperom, czyli użytkownikom e-papierosów. Używka ta jest w tym kraju od roku 2018 nielegalna. Rozkwitł zatem czarny rynek, na którym jest sprzedawana. E-papierosy przemycane są z Malezji, od pewnego czasu trafiają się takie, w których jest domieszka narkotyków. Jeśli ktoś zostanie przyłapany na wapowaniu, to czeka go surowa kara. W grę wchodzą: więzienie, przymusowy odwyk, chłosta.

OCALENIEC

Rezerwiści holenderskiej marynarki wojennej oraz brytyjskiej piechoty morskiej uratowali mężczyznę, który utknął na Ben Nevis – najwyższym szczycie w Wielkiej Brytanii. Zauważyli oni człowieka podczas wspólnych ćwiczeń w górach w Szkocji. Warunki pogodowe były fatalne, widoczność wynosiła ok. jednego metra. Ocaleniec nie był w stanie zejść ze szczytu samodzielnie. Był wyczerpany, miał skurcze nóg i hipotermię, nie posiadał ani mapy, ani kompasu.

CO TO ZA DŹWIĘK?

Mieszkańców West Haven (stan Connecticut) od miesięcy niepokoi tajemniczy dźwięk, który nocami zakłóca ich sen, dostarczając im stresu. Dźwięk bywa stały lub przerywany i nie wszyscy go słyszą. Ponad 140 osób podpisało petycję do władz miasta, żeby się tym problemem zajęły. Te postanowiły zatrudnić akustyka, który przez tydzień będzie rejestrował hałas, by ustalić jego źródło. Na wynagrodzenie za pracę w tym czasie władze miasta wyasygnowały 16 tys. dol. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Złota strategia NBP

Zaledwie trzy miesiące po przebiciu poziomu 4 tys. dol. za uncję cena złota pobiła rekord wszech czasów. W poniedziałek za jedną uncję złota trzeba było płacić co najmniej 5 tys. dol., a w czwartek już 5,5 tys. dol. Tym samym królewski kruszec kontynuuje niezwykły rajd z roku 2025, gdy wartość złota wzrosła aż o 64 proc. (i był to najmocniejszy roczny wzrost od 1979 r.).

Od początku stycznia do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" cena złota wzrosła o ok. 20 proc. Inwestorzy masowo kupują złoto, które traktują jak antidotum na groźne wieści ze świata gospodarki i globalnej polityki. Lista zmartwień jest długa: nieprzewidywalna polityka prezydenta USA Donalda Trumpa, rekordowo drogie akcje, wyjątkowo wysokie zadłużenie, krwawiący dolar, wojna rosyjsko-ukraińska, groźba wybuchu nowego wielkiego konfliktu na Bliskim Wschodzie etc.

Analitycy prześcigają się zatem w prognozach kolejnych wzrostów. Według Goldman Sachs pod koniec 2026 r. malutka, 31,1-gramowa sztabka złota będzie kosztowała 5,4 tys. dol. Société Générale stawia na 6 tys. dol. A analitycy Morgan Stanley prognozują 5,7 tys. dol. i przytaczają przykład Narodowego Banku Polskiego, który podjął decyzję o zwiększeniu zasobów złota z 550 do 700 ton.

Politykę NBP, który od lat kupuje królewski kruszec, pochwalił Robert Kiyosaki – inwestor i autor bestselleru „Bogaty ojciec, biedny ojciec". Jego zdaniem zakupy polskiego banku to „nie spekulacja", ale „strategia", prowadząca do wzmocnienia wiarygodności monetarnej. „Banki centralne po cichu gromadzą to, co miało wartość przez 5 tys. lat. To nie strach. To inteligencja finansowa" – podkreślił. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. HARUN OZALP/ANADOLU/GETTY IMAGES

Czy Mark Carney

Robert Bogdański

Obserwacja wystąpień najważniejszych przywódców podczas tegorocznego Davos pozwoliła zorientować się, kto ma największe ambicje, ale też kto ma największe możliwości. W kim tli się jeszcze duch walki, a kto ją tylko markuje, licząc na to, że płomień rozniecony w Minnesocie ogarnie całą Amerykę i za trzy lata zza Atlantyku przybędzie Joe Biden 2.0

Światowe Forum Ekonomiczne w Davos było dawniej miejscem, do którego można było zastosować powiedzenie, które dekadę temu z upodobaniem powtarzali entuzjaści Facebooka: „Jeżeli cię tam nie ma, to znaczy, że nie istniejesz". Tam odbywała się ogólnoświatowa dystrybucja prestiżu. Już nie. Wydarzenie, które dawniej stanowiło szczytową emanację uroszczeń liberalnego umysłu, konsekwentnie obejmującego władztwo nad coraz to nowymi dziedzinami życia i obszarami świata, było w tym roku widownią spektakularnej porażki tego projektu. Co zabawne, stało się to za przyczyną jednego z dwóch amerykańskich prezydentów, którzy potraktowali Davos na tyle poważnie, że odwiedzili to miejsce w czasie swojego urzędowania. Pierwszym był Bill Clinton ćwierć wieku temu, który chciał podnieść swój prestiż nadwątlony aferą ze stażystką, więc przemawiał pięknie o globalizacji i światowych wyzwaniach oraz udzielił prezydenckiego prestiżu organizacji, która właśnie rosła w siłę. Drugim jest Donald Trump, który przyjechał wraz z ekipą nieuprzejmych współpracowników, aby zniszczyć liberalny porządek. Tak oto stworzona przez Europejczyków impreza rosła i upada dzięki Amerykanom. Po raz kolejny rzeczywistość przytłacza kreacje.

Co nie znaczy, że odchodzący świat nie ma nadziei na przetrwanie i nie podejmuje walki. Obserwacja wystąpień najważniejszych przywódców w czasie tegorocznego Davos pozwoliła zorientować się, kto ma największe ambicje, ale też kto ma największe możliwości. W kim tli się jeszcze duch walki, a kto tę walkę tylko markuje, licząc na to, że fala się odwróci, płomień rozniecony w Minnesocie ogarnie całą Amerykę i za trzy lata zza Atlantyku przybędzie Joe Biden 2.0.

KŁOPOTLIWE PYTANIA

Ursula von der Leyen pokazuje pewność siebie przedszkolanki przekonanej, że żadne z dzieci nie potrafi jej nic zrobić, a w razie czego przyjdą rodzice. Wznosi okrzyk: „Niech żyje Europa" głosem mało przekonanym, jakby z obowiązku, jak ktoś, kto nie liczy na swoją siłę, ale na siłę instytucji, na której czele stoi. Emmanuel Macron przypomina nieco szwejkowskiego kadeta Bieglera, który w trudnym momencie swego życia, gdy dostał niestrawności po spożyciu zbyt wielu ptysiów, postanowił być „silny, cholernie silny". W kulminacyjnym punkcie swojego wystąpienia wpada w ton nieledwie płaczliwy, gdy mówi, że może Europa jest „zbyt powolna", ale przecież jest „przewidywalna, lojalna i trzyma się reguł". Friedrich Merz jest nawet zabawny w swoim usiłowaniu, aby z nudnego sztywniaka zrobić męża stanu, który uratuje świat, ale strach przed tym, co zastanie, gdy wróci do domu, jest aż nadto w całym jego zachowaniu widoczny.

Pozostają gesty. Siwowłosa Christine Lagarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego, która wygląda, jakby grała nobliwą arystokratkę, w której majątku krewni i znajomi prowadzą ciemne interesy, z zaciśniętymi ustami wychodzi z kolacji zorganizowanej przez szefa największej w świecie firmy finansowej, gdy wysłannik Trumpa, Howard Lutnick, zadaje jej kłopotliwe pytania. Podjęcie rzeczowej polemiki z tym żydowskim komiwojażerem z Ameryki wydaje się poniżej jej godności.

I gdy następnie wszyscy ci, którzy mieli nadzieję na to, by zobaczyć jakąś przeciwwagę dla lokatora Białego Domu, wpadają w przygnębienie, nie dostrzegając nikogo zdolnego choćby do pozostania na placu, na estradzie pojawia się on – Mark Carney, premier Kanady. Niski, szczupły, ubrany z elegancją zdradzającą duże pieniądze, swobodny i nieprawdopodobnie pewny siebie. Carney ma poważne doświadczenie w finansach, był dwukrotnie szefem banków centralnych w dwu krajach, Kanadzie i Wielkiej Brytanii, które potrafił przeprowadzić przez poważne turbulencje finansowe. Ma w sobie polityczną zręczność, którą pokazał, gdy rok temu potrafił wyprowadzić Partię Liberalną, dołującą w sondażach po ekscesach Justina Trudeau, na pierwsze miejsce, wykorzystując toporną retorykę Donalda Trumpa i pokazując się Kanadyjczykom jako obrońca ich kraju przed groźnym imperialistą.

Ma wreszcie w sobie pewnego rodzaju intelektualną bezczelność, która sprawia, że doskonale manipuluje publicznością, dając jej złudzenie uczestniczenia w czymś, co jest większe od nich i w dodatku ugruntowane w tradycji wolnego świata. Że to on, a – idąc za nim – i oni są tego świata najprawdziwszą emanacją i mogą go uratować, jeżeli tylko potrafią stosować nowe zasady gry, które on, Mark Carney, doskonale zna.

eprasa.pl 4c1b1273a2

uratuje liberalny świat?

Widać tę postawę doskonale w tym, jak kanadyjski premier użył retorycznie eseju Václava Havla pt. „Siła bezsilnych". Już sam pomysł, aby w przemówieniu o rozwiązywaniu problemów świata w roku 2026 odwołać się do kultowego dla środkowoeuropejskich intelektualistów tekstu czeskiego dysydenta sprzed prawie półwieku, budzi podziw. Można pójść o każdy zakład, że ludzie słuchający Carneya nie mieliby pojęcia, kim był Havel, gdyby nie został on prezydentem, a na pewno nie czytali jego eseju, co najwyżej poznali jego tytuł i wiedzieli, że mówi o tym, jak zwykli ludzie mogą się przeciwstawić totalitarnej władzy.

Carney wykorzystał to i użył elementów imaginarium Havla jako liczmanów dla namalowania obrazu, który chciał słuchaczom narzucić. I tak oto kierownik sklepu warzywnego, który umieszcza na wystawie hasło „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!", zamienia się w sklepikarza, czyli prywatnego właściciela biznesu, a sprzeciw przeciwko nakazowi komunistycznych władz zamienia się w odrzucenie „przyjemnej fikcji", że nasz świat jest oparty na regułach prawa międzynarodowego. Odrzucając tę fikcję, „stajemy w prawdzie", podobnie jak czyniłby to ów kierownik, gdyby zdecydował się nie wyłożyć komunistycznego hasła w swojej witrynie.

Uznając – powiada Carney – że obecnie nie mamy do czynienia z transformacją światowego porządku, ale z radykalnym zerwaniem z przeszłością, przestajemy się okłamywać, a więc postępujemy według zasad pokazanych przez Václava Havla. Owi „bezsilni" powinni zabrać się do roboty i zacząć tworzyć koalicje oraz konstelacje polityczno-gospodarcze oparte na wspólnych wartościach i w ten sposób pokonają system narzucany przez mocarstwa, a właściwie jedno mocarstwo.

WIELKA UCIECZKA OD FAKTÓW

Ktoś, kto naprawdę czytał esej Havla, a nie tylko o nim słyszał, zdziwi się mocno, że można go w ten sposób odczytywać, jednak nie chodzi tu o odczytywanie, tylko o wykorzystanie. O porwanie słuchaczy wizją, w której małe i średnie kraje sprzeciwiające się dyktatowi Stanów Zjednoczonych (bo Chiny istnieją tu jedynie jako kraj pragnący pokojowej współpracy) są przyrównane do ludzi walczących z komunistyczna dyktaturą. Ludzi, którzy przecież w końcu zwyciężyli, a dyktatura upadła. W tej wizji świat został podzielony na obóz łaknących wolności i na obóz silnych, którzy bezwzględnie swoją siłę wykorzystują. Pytanie, w stronę czyjego obozu wyrywa się serce człowieka Zachodu, jest więcej niż retoryczne.

W rozmowie z dziennikarzem Carney rzuca w charakterystyczny pewny siebie i nieco niedbały sposób informację, że wspólne PKB Kanady i krajów nordyckich to 20 proc. PKB świata. Nie wypada zaprzeczać, ale realna wielkość to 4 proc. Premier Kanady ma wizję, potrafi ją w sugestywny sposób narzucić i potrafi doskonale kłamać w sposób sprawiający przyjemność słuchaczom. Doprawdy to czarny sen Donalda Trumpa, który sam słynie z tego, że w swoich rozwlekłych przemówieniach sypie danymi, które raz coś mają wspólnego z rzeczywistością, a raz nie mają nic. Amerykanin świetnie wie, że ścisłość nie ma w dzisiejszym świecie najmniejszego znaczenia, bo liczą się wizja i narracja, której poddadzą się słuchacze. Carney postanowił zagrać w tę samą grę i spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem liberalnych elit, które zobaczyły w nim nieledwie zbawcę swojego świata, nadzieję na to, że może jednak ten świat nie do końca odszedł.

Jest jednak jedna dość zasadnicza różnica między tym, co opowiadają Trump i Carney, choć być może ten ostatni prześciga mistrza w sprawności retorycznej i jego wystąpień słucha się dużo lepiej. Chodzi o zakorzenienie w rzeczywistości. Gdyby opierać się jedynie na tym, co mówi premier Kanady, wówczas jego kraj jawiłby się nieledwie jako światowe mocarstwo – zarówno gospodarcze, jak i militarne. Tymczasem Kanada przez dekady po upadku komunizmu uprawiała, podobnie jak Europa, „jazdę na gapę" kosztem Stanów Zjednoczonych, wydając na wojsko ok. 1 proc. PKB. Tak było jeszcze w roku 2014, gdy kraje NATO postanowiły ustalić minimalny poziom wydatków wojskowych na 2 proc. W roku 2024 Kanadzie udało się osiągnąć 1,37 proc. Dzięki działaniom Carneya w roku 2026 wydatki te wzrosną do 1,7 proc. PKB. To sporo, ale kraj, którego premier ma ambicje przewodzić zachodniemu światu i publicznie rzuca rękawicę prezydentowi Stanów Zjednoczonych, wydaje na wojsko mniej niż Polska, i to nie tylko w odniesieniu do PKB, lecz także w liczbach bezwzględnych. Niewątpliwie Mark Carney doskonale potrafi rozsnuwać wizje.

Trump błyskawicznie zorientował się w narracyjnym niebezpieczeństwie, które stanowi dla niego premier sąsiadującego kraju. I natychmiast przebił narracyjny balon nadymany przez Kanadyjczyka. Groźba wprowadzenia stuprocentowych ceł na kanadyjskie towary, gdyby kraj ten miał wejść w porozumienie o wolnym handlu z Chinami, poskutkowała prędką deklaracją Carneya, że nic takiego nie leży w jego planach. Co więcej, podobna deklaracja natychmiast popłynęła z Pekinu. Wygląda więc na to, że wspólne z Chińczykami budowanie „nowego światowego porządku", o czym opowiadał Carney na początku stycznia w czasie oficjalnej wizyty w Państwie Środka, kończy się, zanim się rozpoczęło. Nadzieje na odbudowę liberalnego porządku – co interesujące – związane ekonomicznie z podporządkowaniem Chinom, się rozwiewają. Carney jednak nie zostanie zbawcą, choć na pewno jest najciekawszą postacią wśród nijakich i naburmuszonych przeciwników Donalda Trumpa na politycznej scenie świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

Stacja metra S-Bahn Wannsee podczas przerwy w dostawach prądu w Berlinie, 5 stycznia 2026 r.

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET /GETTY IMAGES

Kapitulacja Berlina

Jan Bogatko z Berlina

Rząd stolicy Niemiec, miasta-landu, spełnia żądania komunistów i wydaje prawie 2 mln euro na walkę z „prawicowym ekstremizmem", ignorując zagrożenie ze strony lewicowych bojówkarzy

Zamach na sieć energetyczną z 3 stycznia 2026 r. przeprowadzono wprawdzie w Berlinie, ale uderzył on w całe Niemcy. Od tej pory, przynajmniej na jakiś czas, mieszkańcy tego kraju pozbędą się iluzji, że państwo gwarantuje im bezgraniczne bezpieczeństwo. Dostrzegą, że ta gwarancja to mrzonka. Do następnego wydarzenia, które wyrwie ich z błogiego snu.

Dzisiaj nawet marzyciele wiedzą, że nastąpi ono wcześniej, niż im to miłe. A nawet znacznie wcześniej. I może okazać się ono bardziej dotkliwe niż owego 3 stycznia 2026 r., kiedy to 100 tys. Berlińczyków, 45 tys. mieszkań i 2 tys. firm zostało bez prądu, ogrzewania, telefonu. Ci lepiej sytuowani przenieśli się z dzielnic dotkniętych klęską do hoteli w dzielnicach, które jej uniknęły. Władze Berlina są gotowe przejąć hotelowe rachunki dla uchodźców z południowo-zachodnich dzielnic, gdzie zgasło życie – przestały działać telefony stacjonarne, zamilkły komórki, wyłączono ogrzewanie. Prąd to nie tylko światło zastępujące łuczywo. I to wszystko przy wielostopniowym mrozie, mimo że planeta płonie.

BOLEŚNIE UDERZYĆ W SPOŁECZEŃSTWO

Zamach na sieć energetyczną to sygnał, że nic już nie będzie tak jak dotąd. A przecież takowych sygnałów wcale nie brakowało. I tak już 9 września ubiegłego roku komuniści w ramach walki z represyjnym państwem podpalili w Berlinie dwa słupy trakcji wysokiego napięcia, co do 11 września pozbawiło energii dziesiątki tysięcy gospodarstw domowych na południu Berlina. Z domu opieki przewieziono wówczas do szpitali w innych dzielnicach pacjentów zdanych na sztuczne oddychanie. Co więcej – często nieosiągalne stały się życiodajne numery telefoniczne straży pożarnej, pogotowia ratunkowego i policji. Czy nie wystarczył ten incydent za poważne ostrzeżenie?

Dla władz Berlina oczywiście nie. Zresztą i po styczniowym zamachu nadburmistrz Berlina, Kai Wegner z lewicowej partii CDU (niegdyś chrześcijańskiej demokracji), współrządzącej w mieście-landzie wraz z socjalistami (SPD), nie uznał wydarzenia za na tyle istotne, by wymagało one przerwania… gry w tenisa w jednym ze stołecznych klubów. Skończyło się na medialnej połajance polityka, który wiele obiecywał przed wyborami. Mało prawdopodobne, by przegrał kolejne. Czy zespoły ratunkowe w Berlinie nie wykazały swej przydatności w sytuacji kryzysowej? Przecież mimo arktycznego niemal mrozu i zawiei śnieżnej usunęły szkody w zaledwie kilka dni. A była to największa katastrofa energetyczna w powojennej historii Berlina! Zamach wystarczy, by na wiele dni podczas zimy sparaliżować życie europejskiej metropolii, pozbawiając dziesiątki tysięcy ludzi światła, ciepłej wody, ogrzewania i telefonów.

Komuniści wiedzą, jak boleśnie uderzyć w społeczeństwo. Znają jego słabe strony – jego sny o bezpieczeństwie, marzenia o permanentnym dostatku i o wiecznym pokoju. Kryzys? To zjawisko z krajów Trzeciego Świata nas nie dotyczy! My mamy polisę ubezpieczeniową na wszystko, najlepszych specjalistów i najdoskonalsze programy – myśli

eprasa.pl 4c1b1273a2

współczesny Niemiec, który niczego się nie obawia. Wmówiono mu, że o porządek dbają kamery wideo. Jak ich za mało, to zainstaluje się więcej. Kontrola rozwiąże wszelkie problemy. Tymczasem absolutna kontrola to mit. Bardziej pomógłby społeczeństwu agilny system, polegający na umożliwieniu ograniczenia następstw wielkich awarii chociażby przez możliwość uruchomienia obejścia powstałych uszkodzeń – mówią krytycy. To wymagałoby elastyczności w zarządzaniu, a nie sterowania wszystkim za pomocą kontroli. Takich głosów pojawia się dzisiaj więcej. Lecz ich się na razie nie słucha.

Z pomocą technikom i administratorom przyjść mogliby… politolodzy. Wiedzą oni przecież, że wrażliwa infrastruktura w Berlinie czy w innych wielkich miastach (jak energetyka, informatyka, telekomunikacja, transport, administracja publiczna) to cel ataków ze strony lewicowych terrorystów w walce z represyjnym państwem, które dba przecież – jak głoszą komuniści – wyłącznie o kapitalistyczne interesy, sprowadzające się do mnożenia zysków. To je należy podpalać i wysadzać w powietrze dla dobra miejskiego proletariatu. W ten bełkot wierzy tu wielu, zwłaszcza z otumanionego na lewackich uczelniach młodego pokolenia, które odrzuca współczesne społeczeństwo w imię własnej ideologii. Cywilizacja to wróg publiczny numer jeden, komuniści (unikający tej nazwy) chcą ją zniszczyć, a nie reformować. To nic nowego, oni kierowali się tym zawsze od pierwszej rewolucji w dziejach, ale wymaga to przypomnienia, bo pamięć ludzka jest krótka. I ofiary zamachów nie mają przy tym najmniejszego znaczenia. Przy czym przemoc w imieniu tzw. postępu pozostaje tym, czym jest w istocie – zbrodnią, kryminalnym przestępstwem. Na domiar złego siły bezpieczeństwa zajmują się z wielkim nakładem pracy teoretycznymi zagrożeniami ze strony prawicy, a nie faktyczną działalnością lewicowych bojówkarzy.

Berliński Senat (rząd miasta-landu) na lata 2026 i 2027 nie przewidział żadnych wydatków na programy przeciwko lewicowym bojówkarzom. Ani centa! Politolog Werner J. Patzelt tłumaczy to lapidarnie: „W Niemczech dogmatem politycznego establishmentu jest założenie, że wróg demokracji znajduje się na prawicy". To proste – wynika to z faktu, że demokracja to dzisiaj w Niemczech synonim socjalizmu. Demokracja była w NRD, nie w „rewanżystowskiej" RFN. Pisała o tym przecież już dawno temu „Trybuna Ludu". Werner J. Patzelt wie, co mówi. Urodzony w Pasawie profesor politologii z uniwersytetu w Dreźnie stał się w ostatnich czasach prominentną ofiarą lewackiej poprawności politycznej. Zarzucono mu „nietolerancję" i uniemożliwiono dalszą pracę na drezdeńskiej Alma Mater po przejściu na emeryturę. Profesor Patzelt został w efekcie dyrektorem naukowym Kolegium Macieja Korwina w Budapeszcie (do 2025 r.) uważanym za think tank zbliżony do Viktora Orbána. A zatem ani centa na walkę z lewicową ekstremą, ale miliony euro na inne programy. Berliński dziennik „Die Welt" jest w posiadaniu odpowiedzi Senatu Berlina na interpelację Thorstena Weißa, rzecznika klubu poselskiego AfD do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego w Izbie Poselskiej w Berlinie, potwierdzającej informacje o braku finansowania w ubiegłych latach prewencyjnych projektów, dotyczących działalności lewicowych terrorystów. Brak także sponsorowanych przez rząd Berlina projektów na lata 2026–2027, co nie wróży raczej niczego dobrego mieszkańcom stolicy. Co innego prawica (lub co władze stolicy przez nią rozumieją): projekty „na prawo patrz" wsparto w ubiegłym roku kwotą ponad 1,9 mln euro, a na lata 2026 i 2027 na kwoty odpowiednio powyżej 1,7 mln euro.

Grupa Wulkan, która dopuściła się zamachu na sieć energetyczną w Berlinie, już wcześniej dokonywała w Niemczech aktów terrorystycznych

NOWA RAF

Przywołajmy scenkę z Berlina z maja roku 2024. Oto demonstranci z transparentem „Bronić demokracji", czyli socjalizmu, na manifestacji przeciwko prawicy przed Bramą Brandenburską, zorganizowanej przez lewacki sojusz #TogetherAgainstRights na rzecz delegalizacji partii Alternatywa dla Niemiec (AfD). Takie inicjatywy są sponsorowane przez państwo niemieckie i nagłaśniane przez media. Zaczyna to powoli wprawdzie, ale jednak, budzić w Niemczech pierwszą, nieśmiałą krytykę. Urodzona w Teheranie polityk CDU, Felor Badenberg, minister sprawiedliwości w rządzie Berlina, była wiceprezydent Federalnego Urzędu do spraw Konstytucji, domagała się ostatnio podjęcia zdecydowanych działań przeciwko – jak to ujęła – „lewicowym ekstremistom". Badenberg stwierdziła w programie Inforadio RBB, że odnosi wrażenie, iż „przestępstwa ze strony lewicowych ekstremistów często się lekceważy i łagodniej osądza". Pani Badenberg nie jest sympatykiem konserwatystów. Jej udział w opracowaniu ekspertyzy Federalnego Urzędu do spraw Konstytucji na temat linii politycznej Alternatywy dla Niemiec doprowadził do zaklasyfikowania tej partii jako „podejrzanej organizacji o skrajnie prawicowych poglądach".

Ostatnio dotarła do niemieckiej opinii publicznej za pośrednictwem portalu NIUS wiadomość, że berlińska policja polityczna (Urząd do spraw Konstytucji miasta-landu) nie ma samodzielnego wydziału, zajmującego się na co dzień w stolicy Niemiec lewicowym ekstremizmem, czyli komunistycznym bojówkarstwem, widocznym w Berlinie gołym okiem choćby po hasłach na murach domów. Kogo to dziwi, retorycznie pyta autor listu do jednej ze stołecznych gazet: „Skrajna lewica i postkomuniści zasiadają w Senacie Berlina, domagając się likwidacji policji. W takim oto skorumpowanym i schodzącym na psy mieście ulokował się rząd Niemiec. Klany arabskie opanowały całe dzielnice i nikt ich nie ośmiela się ruszyć".

RAF (Frakcji Armii Czerwonej) już raczej nikt nie pamięta. Ale wraca strach przed lewicowym terroryzmem. Drezdeński politolog, Matthias Mletzko, przypomina zamachy w Niemczech na trakcję wysokiego napięcia po katastrofie w Czarnobylu. O Grupie Wulkan, sprawcy zamachów na berliński kolejowy węzeł komunikacyjny Ostkreuz (2011), zaopatrzenie energetyczne fabryki Tesla w Gruenheide (2024) i ostatnio na sieć energetyczną w Berlinie usłyszymy niebawem znowu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

AI już zabiera młodym pracę

Jacek Przybylski

W 2025 r. w Polsce wyraźnie wzrosło bezrobocie, padł też rekord zwolnień grupowych. Rynek pracy zmieniają rozwój sztucznej inteligencji i automatyzacji oraz masowe przenoszenie etatów przez międzynarodowe korporacje do tańszych krajów typu Indie

Z najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że bezrobocie w grudniu 2025 r. wzrosło do 5,7 proc. To wzrost o 0,6 punktu procentowego względem grudnia 2024 r. Innymi słowy, nad Wisłą w ciągu ostatniego roku przybyło 103 tys. osób bez pracy. Według prognoz Krajowej Izby Gospodarczej stopa bezrobocia rejestrowanego na początku obecnego roku może wzrosnąć do ok. 6,3 proc.

Jednocześnie – jak podała „Rzeczpospolita" – rok 2025 był rekordowy pod względem zwolnień grupowych. W sumie do urzędów pracy zgłoszono ich ponad 97,6 tys. To nie tylko trzy razy więcej niż w roku 2024, lecz także najwięcej od czasów globalnego kryzysu finansowego z lat 2008–2009.

Ci, którzy stracili pracę, mają zaś duży problem ze znalezieniem nowej. Jak bowiem zauważył portal Business Insider, ofert pracy w grudniu 2025 r. było najmniej od 13 lat.

MNIEJ OFERT DLA JUNIORÓW

Bezrobocie rośnie w różnych przedziałach wiekowych. Sztuczna inteligencja daje jednak najtrudniejszą lekcję życia przedstawicielom Pokolenia Z. Z danych PARP – opartych na statysty-

eprasa.pl 4c1b1273a2

FOT. ADOBE STOCK

kach Głównego Urzędu Statystycznego i Eurostatu – wynika, że bezrobocie wśród osób do 25. roku życia w Polsce sięga już średnio 12,6 proc.

Dobrym przykładem zmian na rynku pracy dla młodych jest Kraków. Według najnowszych danych Grodzkiego Urzędu Pracy w grudniu 2025 r. bez pracy pozostawało w tym mieście ponad 2,4 tys. osób do 30. roku życia. To o ok. 40 proc. więcej niż w analogicznym okresie roku 2024. Młodzi w Krakowie stanowią już 18,5 proc. wszystkich bezrobotnych. Oczywiście nie można AI obarczać winą za wszystkie likwidowane miejsca pracy w Krakowie. Część firm przenosi etaty do tańszych od Polski Indii w wyniku radykalnego wzrostu płacy minimalnej nad Wisłą i zbyt gwałtownego umocnienia złotego. Mimo to już chyba nikt nie próbuje owijać w bawełnę, sztuczna inteligencja odgrywa w tym zjawisku dużą rolę. Postępująca automatyzacja kolejnych zadań i wdrażanie coraz lepszych narzędzi wykorzystujących algorytmy sztucznej inteligencji sprawiają, że wiele firm – mając do wyboru sprawdzonego i taniego agenta AI lub przedstawiciela Pokolenia Z, który jeszcze za dużo nie umie, a już chce dużo zarabiać – stanowiska typu entry-level, czyli juniorskie i stażowe, obsadza „robotami". Młodzi ambitni ludzie mają zatem dyplomy, a czasem nawet chęć do pracy, ale coraz trudniej jest im zdobyć kluczowe na rynku pracy doświadczenie zawodowe. Zdobycie „etatu na całe życie" może być dla nich wyjątkowo trudne. To oczywiście miecz obosieczny. Jeśli AI nie będzie „uczyć się" tak szybko, aby po kilku latach zastępować nie tylko juniorów, lecz także seniorów, to firmy będą borykały się z potężnym brakiem na rynku tych ostatnich, bo młodzi nie będą mieli gdzie zdobyć praktycznych kompetencji.

Na razie jednak mało która firma o tym myśli. Wdrażanie AI daje potężne oszczędności i zmienia strukturę zatrudnienia. Miasta takie jak Kraków szybko przestają być ziemią obiecaną dla pracowników centrów usług wspólnych, a zwłaszcza dla początkujących informatyków, specjalistów od przetwarzania danych, hostingu, obsługi klienta, księgowości czy doradztwa podatkowego. I nie chodzi już tylko o rezygnację z podwyżek płac lub ograniczenie wzrostu wynagrodzeń wyłącznie do podwyżek inflacyjnych, ale o masowe cięcia etatów.

Wyraźną tendencję do redukowania stanowisk było widać w tym mieście już od kilkunastu miesięcy. W ubiegłym roku redukcje zatrudnienia w Krakowie ogłaszały zarówno międzynarodowe korporacje, jak i przedsiębiorstwa ogólnopolskie lub lokalne. Na przykład gigant paliwowy Shell – który w działach zajmujących się finansami, logistyką, HR czy wsparciem procesów biznesowych zatrudnia w Krakowie ok. 5 tys. osób – zapowiedział redukcję o 250 osób (choć w mediach pojawią się sugestie, że zwolnienia mogą dotyczyć nawet 800 pracowników). Decyzję o zmniejszeniu krakowskiego oddziału o kilkaset etatów podjęła również firma Heineken. Zwolnienia grupowe w grodzie Kraka ogłosiła też w ubiegłym roku HSBC Service Delivery.

MASOWE ZWOLNIENIA

Trend masowych zwolnień, wynikających m.in. ze wdrażania systemów AI, widać od ponad roku już na całym świecie. Prezes Amazona Andy Jassy już w ubiegłym roku ostrzegł otwarcie, że sztuczna inteligencja przyczyni się istotnie do zmniejszenia zatrudnienia. 28 stycznia 2026 r. ogłosił, że kierowana przez niego spółka w ciągu najbliższych trzech miesięcy zwolni aż 30 tys. osób. Pod koniec ubiegłego tygodnia również amerykański serwis społecznościowy Pinterest ogłosił, że dzięki AI zwolni do 15 proc. swojej załogi, czyli ok. 700–800 osób. Masowe zwolnienia dają często podwójne oszczędności – po pierwsze spółka oszczędza na pensjach wypłacanych dotąd pracownikom, a po drugie na uwolnionej powierzchni biurowej.

Według szacunków serwisu Layoffs.fyi – skupiającego się na zwolnieniach w branży technologicznej – tylko w 2025 r. z 269 spółek zwolniono ponad 123 tys. pracowników. Dla przykładu: Intel, który wycofał się z głośno zapowiadanych projektów w Polsce i w Niemczech, zwolnił w ubiegłym roku 24 tys. osób, a Tesla zredukowała 14 tys. miejsc pracy. Wielotysięczne zwolnienia przeprowadziły w ostatnich miesiącach również takie firmy jak: Autodesk, Google, Meta, Microsoft, Ericcson, Dell czy Philips. Z pracownikami żegnają się nawet te firmy, które na modzie na AI zyskują najwięcej. W ubiegłym tygodniu plan zwolnienia 1,7 tys. osób – czyli niemal 4 proc. załogi – ogłosiła holenderska firma ASML. Spółka specjalizująca się w maszynach litograficznych wykorzystywanych przy produkcji układów scalonych redukuje kadrę głównie w Holandii i w USA, pomimo świetnych wyników finansowych, rekordowych zamówień i bardzo wysokiej wyceny swych akcji na giełdzie. Po prostu reorganizacja sprawiła, że udało się usprawnić i uprościć zarządzanie, dzięki czemu setki osób stały się niepotrzebne. Podobne przykłady można mnożyć. Ogólnie eksperci szacują, że

eprasa.pl 4c1b1273a2

w ostatnich dwóch lat w wyniku wdrażania projektów sztucznej inteligencji, która potrafi błyskawicznie wykonywać proste, powtarzalne zadania, z globalnego rynku pracy zniknęła mniej więcej jedna trzecia ofert na stanowiska dla początkujących. Zetki, dla których dotąd tak ważna była równowaga między życiem zawodowym a prawem do spotkań ze znajomymi i realizowania pasji, będą zatem musiały dostosować się do rynku, a po znalezieniu pierwszej pracy zacząć słuchać szefów (nawet jeśli wyda im się to traumatyczne).

Zagraniczne media zwracają uwagę na rosnące bezrobocie w Polsce, a także w Rumunii czy Czechach. Pogarszającą się sytuację na rynku pracy widać też w krajach strefy euro. Jeszcze trzy lata temu rósł on w tempie 1,7 proc., tworząc w ciągu roku aż 2,76 mln miejsc pracy. Według prognoz Europejskiego Banku Centralnego (EBC) w roku 2026 będzie rósł istotnie wolniej. Spodziewany wzrost wynosi 0,6 proc. w porównaniu z 0,7 proc. w roku 2025. I choć nie wydaje się, że to duży spadek, to warto zauważyć, że spadek o 0,1 p.p. oznacza mniej więcej 160 tys. nowych miejsc pracy mniej.

CZŁOWIEK + AI

Jednocześnie na celowniku łowców głów są specjaliści od sztucznej inteligencji. Według ekspertów amerykańskiej firmy Cornerstone Global HR – oferującej usługi kadrowe, w tym pozyskiwanie talentów – w 2025 r. na świecie było 1,6 mln wakatów związanych z AI. W grudniowym raporcie analitycy Cornerstone podkreślili, że również w 2026 r. będzie rosło zapotrzebowanie na inżynierów sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego (AI/ML), specjalistów do spraw cyberbezpieczeństwa, a przy okazji także na osoby zajmujące się np. wirtualną opieką zdrowotną oraz projektowaniem doświadczeń edukacyjnych. Ogromny niedobór specjalistów o pożądanych na całym świecie kompetencjach przekłada się na błyskawiczny wzrost ich płac.

Ambitni młodzi ludzie z dyplomem i chęcią do pracy, ale bez niezbędnego doświadczenia muszą zaś wykorzystać fakt, że to dopiero początek okresu wzrostu bezrobocia do zdobycia umiejętności, których AI na razie nie potrafi zastąpić, a także tych, które są kluczowe, aby zdobyć panowanie nad samą sztuczną inteligencją lub zapewnić firmom cyberbezpieczeństwo (według raportu ISC2 w ubiegłym roku na świecie było aż 4,7 mln wakatów dla specjalistów do spraw cyberbezpieczeństwa). Ze znalezieniem świetnie płatnej pracy nadal nie powinni mieć problemu ci, którzy potrafią łączyć umiejętności korzystania z możliwości, które daje sztuczna inteligencja, z analizą danych, która pozwala firmom utrzymać lub zwiększać przewagę nad konkurentami. Coraz częściej od informatyków i programistów wdrażających rozwiązania AI wymagane są umiejętności komunikacyjne, w tym regularnej współpracy z innymi zespołami w korporacji (czytaj: z innymi ludźmi).

W wyniku wdrażania AI z globalnego rynku pracy zniknęła już mniej więcej jedna trzecia ofert dla początkujących

Nowe umiejętności warto zdobyć jak najszybciej, ponieważ według raportów firm rekrutacyjnych tylko w ubiegłym roku z rynku bezpowrotnie zniknęły dziesiątki tysięcy miejsc pracy w telemarketingu, wprowadzaniu danych czy wsparciu administracyjnym firm. Im bardziej powtarzalne i żmudne czynności wykonuje dana osoba, tym większe jest ryzyko, że zostanie wkrótce zastąpiona przez AI. Według najnowszej analizy Nexfort University już teraz za nową pracą powinni zatem rozglądać się pracownicy działów obsługi klienta, recepcjoniści, księgowi, sprzedawcy, analitycy danych, magazynierzy etc.

W czasach spowolnienia na rynku pracy młodzi, niedoświadczeni absolwenci konkurują nie tylko z rówieśnikami, lecz także ze starszymi specjalistami, którzy w okresie masowych zwolnień również mogą pilnie szukać zatrudnienia.

W wielu sektorach kończy się kilkuletnia przewaga pracowników nad pracodawcami (czyli tzw. rynek pracownika), do której doprowadziły m.in. pandemia COVID-19 oraz narastający kryzys demograficzny i brak talentów na rynku – które sprawiły, że popularne stały się takie hasła jak „wielka rezygnacja", czyli zjawisko dobrowolnego porzucania pracy, czy też „cicha rezygnacja" (z ang. quiet quitting), czyli pasywna forma „sprzeciwu wobec nadmiernych oczekiwań" (czyli pozorowanie działań lub ograniczanie zaangażowania w zawodowe obowiązki do absolutnego minimum). Część osób pracowała z kolei nie na jeden „etat", ale na dwa lub trzy jednocześnie, podnajmując następnie do wykonywania części swoich zadań tańszych specjalistów z Filipin lub Indii.

KARIERA MOZAIKOWA

Obecnie firmy coraz częściej, zamiast zatrudniać na stałe nowe osoby, wolą podpisywać z nimi tzw. mikrokontrakty. Rośnie także popularność wynajmowania do realizacji konkretnego zadania całych sprawdzonych i zgranych już zespołów. Na rynku pracy pojawił się już nawet termin „kariera mozaikowa" – to kariera osób, które, aby utrzymać się na rynku pracy, podejmowały się najróżniejszych zleceń z wielu branż, byle dostosować się do bieżących wymagań pracodawców. Tacy pracownicy mają bardzo różnorodne kompetencje, ale kosztem braku ciągłości i pewności zatrudnienia.

W jakim tempie firmy będą zwalniać pracowników, gdy AI stanie się jeszcze doskonalsza? Trudno to przewidzieć. Z pewnością nie warto jednak liczyć na pomoc rządu. Jak bowiem w zeszły czwartek podał Onet, powołując się na źródła w urzędach pracy w całej Polsce, mimo rosnącego bezrobocia „budżety na aktywizację bezrobotnych zostały drastycznie obcięte", „w niektórych regionach środki spadły nawet o 80–87 proc., co blokuje dotacje, staże i szkolenia". Według wyliczeń Onetu Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przeznaczyło na walkę z bezrobociem w 2026 r. 2,1 mld zł, tymczasem w ubiegłym roku WUP-y i PUP-y miały do dyspozycji 1,5 mld zł więcej.

Może więc warto rozważyć zastąpienie polityków, którzy – choć kosztują podatników krocie, to trudno ich uznać za szczególnie zdolnych – jakimś dobrym algorytmem AI. Zapewne nawet w darmowej wersji sztuczna inteligencja rządziłaby nie tylko o wiele taniej, lecz także bardziej roztropnie. A jakby zdecydować się na pakiet premium…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak przyspieszyć globalne ocieplenie?

Jak sprawić, żeby to globalne ocieplenie, którym wyznawcy religii klimatystycznej od lat straszą dzieci i zdziecinniałych dorosłych, nastąpiło szybciej? A najlepiej – jeszcze szybciej; najszybciej, jak to możliwe, bo w przeciwnym razie mróz nas wykończy – nie tylko kosztami ogrzewania.

Czy wystarczyłoby postępować po prostu odwrotnie do tego, co owi klimatyści wmawiają, czyli przestać szpecić krajobraz Polski farmami wiatrowymi i fotowoltaicznymi oraz niszczyć dachy własnych domów panelami fotowoltaicznymi, a ich wnętrza i zewnętrza pompami ciepła? I całe to badziewie zdemontować, wyrzucić do śmieci i wrócić do ogrzewania mieszkań (i grzania wody) gazem? A także – jak powiada Donald Trump – pięknym, czystym węglem? I to pięknym, czystym, polskim węglem? I to spalanym w z dekady na dekadę coraz „czystszych" piecach? Czy też trzeba byłoby skasować również dopłaty do aut na prąd i tym sposobem sprowadzić ich sprzedaż do realnego poziomu, czyli w okolice zera? I na powrót przesiąść się do wspaniałych aut z silnikami na benzynę i na ropę? Dodajmy: z coraz „czystszymi" silnikami na benzynę i na ropę.

Czy zatem gdybyśmy tego wszystkiego, o czym wyżej, dokonali, gdybyśmy się zawzięli i w te pędy tę kontrrewolucję przeprowadzili – to naprawdę panujący w Polsce klimat upodobniłby się do np. śródziemnomorskiego? No, klimatyści, byłoby tak? Bo przecież właśnie takimi kocopołami – tylko à rebours – szantażujecie świat od lat, zmuszając nas do płacenia kroci za ogrzewanie i prąd i jeżdżenia autkami na baterie.

A zatem, klimatyści, byłoby tak, że zimą przestałby nas gnębić mróz, zwłaszcza tak srogi jak w tym roku, a śnieg padałby tylko od święta? Innymi słowy: byłoby tak, że zimy stałyby się jesienno-wiosennie przyjemne, wiosny i jesienie byłyby niczym obecne lato w Polsce, a lato – pod palmami nad polskim Bałtykiem – tak ciepłe jak to, po które teraz musimy latać do Grecji czy Turcji, słono za to płacąc? Bo jeśli tak – jeśli wyrzucenie do kosza idiotycznego Zielonego Ładu przyspieszyłoby w Polsce globalne ocieplenie choć o jeden dzień – to ja jestem za (zresztą i bez tego, rzecz jasna, jestem „za"). Za, za, za – i jeszcze raz: za!

Och! – gdybyż te banialuki klimatystów o przemożnym wpływie ludzi na oczywiste, dobrze znane z podręczników do geografii i biologii zmiany klimatu (raz – ochłodzenie, raz – ocieplenie) były prawdą! Ale jedyną prawdą w całej tej ich niedorzecznej bajeczce są nasze wysokie rachunki za ogrzewanie, prąd i auta. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie gapcie się na samochody!

Jest weekend. Na dużym parkingu stoi kilkanaście samochodów. Piękne egzemplarze youngtimerów. Jest Polonez „Borewicz", jest kilka dużych Fiatów, kilka „maluchów", a nawet wypielęgnowana Syrena w wersji z drzwiami otwieranymi do tyłu, zwanymi kurołapkami. Przy samochodach stoi kilkanaście osób. Oglądają swoje zabytkowe pojazdy, zaglądają do środka, dyskutują. Przechodzą państwo niedaleko, ale samochody są tak wspaniałe, że postanawiają państwo podejść, przyjrzeć się z bliska. Wdają się państwo w rozmowę z dumnymi właścicielami.

To tylko jeden z wielu absurdów, zawartych w ustawie wymyślonej w resorcie Żurka a z niepojętych powodów podpisanej przez prezydenta Karola Nawrockiego

Nagle rozlega się wycie syren, na parking wjeżdża kilka radiowozów. Dowodzący akcją liczy: na placu jest 11 aut. Ha! Wszyscy złamali prawo, z państwem włącznie! W myśl drakońskich przepisów, które pod koniec stycznia weszły w życie, zabronione jest bez uzyskania zezwolenia z gminy „spotkanie właścicieli, posiadaczy lub użytkowników pojazdów samochodowych na otwartej lub ogólnodostępnej przestrzeni, którego celem jest prezentacja pojazdów samochodowych w liczbie większej niż 10, w szczególności wprowadzonych w nich modyfikacji". Organizatora czeka grzywna w wysokości przynajmniej 2 tys. zł. Państwa także czeka grzywna w tej wysokości, jeśli policjant uzna, że byli państwo „umyślnym widzem".

To tylko jeden z wielu absurdów, zawartych w ustawie wymyślonej w resorcie Waldemara Żurka, a z niepojętych powodów podpisanej przez prezydenta Karola Nawrockiego. Przepisy nie mówią, w jakiej odległości powinny stać pojazdy, aby można było uznać, że jest ich 11, a nie 10. Nie mówią także, jak odróżnić widza umyślnego od przypadkowego ani co zrobić, jeśli uczestnicy spotkania są jednocześnie zapalonymi hodowcami rybek akwariowych i spotkali się porozmawiać o akwarystyce, a nie o samochodach.

Ten sam zbiór przepisów wprowadza kary pozbawienia wolności za nieokreślone „rażące przekroczenie prędkości", nawet jeśli nie spowodowało ono żadnych skutków, oraz wiele innych bezzasadnych, nonsensownych rozwiązań.

Szerokiej drogi! I niech żyje władzuchna! ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

Z Radosławem Piesiewiczem, prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Blask włoskiego znicza

Casa Polonia to innowacyjny, mobilny Dom Polski stworzony z myślą o kibicach Biało-Czerwonych FOT. PKOL/TOP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Z jakimi nadziejami jadą Polacy na igrzyska olimpijskie do Mediolanu i Cortiny d'Ampezzo?

RADOSŁAW PIESIEWICZ: Z wielkimi, jak zawsze. Olimpijska reprezentacja Polski to nasza duma i wiem, że oni zawsze dadzą z siebie sto procent, a nawet więcej. Czym byłby Polski Komitet Olimpijski, a kim jego prezes, gdybyśmy nie wierzyli w naszych reprezentantów.

Biało-Czerwoni przybędą do Włoch w kilku turach?

Tak. Główna tura odleci do Włoch samolotem prezydenckim 30 stycznia po ślubowaniu. Reszta ekipy albo już będzie czekać na miejscu, albo dotrze do swoich wiosek olimpijskich wraz ze sztabami szkoleniowymi.

Zwiedził pan już wioskę olimpijską?

Nie. Przygotowania do igrzysk śledzili, a obiekty wizytowali jedynie przedstawiciele PKOl, którzy będą częścią Polskiej Misji Olimpijskiej. Wioski z reguły otwierają się dla zawodników i ekip dopiero kilka dni przed igrzyskami.

Infrastruktura sportowa imponuje?

Na pewno wszystko będzie odpowiednio przygotowane. W końcu to igrzyska olimpijskie, a nad ich przebiegiem czuwa cała masa ludzi. Nie tylko z Włoch czy z MKOl, to eksperci i fachowcy w swoich dziedzinach z całego świata.

Zmagania zaplanowano w dwóch miejscach, oddalonych od siebie o przeszło 400 km!

Nie w dwóch, lecz w wielu lokalizacjach. Zawody sportowe będą rozgrywane na 14 arenach w pięciu strefach zwanych klastrami. Pierwsza z nich to Mediolan, gdzie rywalizować będą łyżwiarze figurowi i szybcy (w tym w short tracku) i hokeiści. W Mediolanie też odbędzie się ceremonia otwarcia igrzysk. Kolejny klaster to Cortina d'Ampezzo – tam znajdują się stoki dla narciarek alpejskich, tor bobslejowy, saneczkowy i dla skeletonistów, a także hala do curlingu. Nieopodal, w Anterselvie, walczyć będą biathloniści. Trzecia strefa to Valtellina – tworzą ją Livigno i Bormio. W Livigno wystartują przedstawiciele narciarstwa dowolnego i snowboardziści, a w Bormio zagoszczą męska część narciarstwa alpejskiego oraz debiutujące w programie igrzysk olimpijskich narciarstwo wysokogórskie, wdzięcznie nazywane skimo. W strefie Val di Fiemme odbędą się konkursy skoków narciarskich (Predazzo), biegi narciarskie (Tesero) oraz kombinacja norweska – na obu arenach. Ceremonię zamknięcia zaplanowano w Weronie.

Reprezentacja Polski na zimowe igrzyska olimpijskie Mediolan-Cortina d'Ampezzo (6–22 lutego) będzie liczyła 60 sportowców. Wystartują w 12 dyscyplinach. Chorążymi ekipy zostali skoczek narciarski Kamil Stoch oraz panczenistka Natalia Czerwonka.

Śniegu będzie w Italii pod dostatkiem?

Północne Włochy to przecież mekka narciarzy, toteż wierzę, że śniegu tam nie zabraknie.

Mogą to być pierwsze w XXI stuleciu igrzyska zimowe bez polskiego podium?

Nie należy zakładać z góry takiego czarnego scenariusza. Trzeba wspierać Polaków! Mimo że cztery lata temu w Pekinie wywalczyliśmy tylko jeden medal, to ostatnie występy naszych sportowców w najważniejszych imprezach przed igrzyskami pozwalają nam wierzyć w ich znakomite występy na włoskich arenach. Ja w to bardzo wierzę.

W przygotowaniach olimpijskich PKOl ponownie zabrakło wsparcia ministerialnego?

Przygotowania do XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich Mediolan-Cortina PKOl poniósł i ponosi w całości ze środków własnych. Pozyskanych od sponsorów i partnerów Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Olimpijskiej Reprezentacji

eprasa.pl 4c1b1273a2

Polski, za co chylę czoła i składam im ogromne podziękowania.

Siedemdziesiąt lat temu, skądinąd podczas poprzednich igrzysk w Cortinie, pierwszy w dziejach zimowych igrzysk krążek zdobył dla Polski Franciszek Gąsienica-Groń. W nagrodę obejrzał we włoskim kinie western. A jakie gratyfikacje przewidziano tym razem dla medalistów?

Lista nagród za medale dla polskich medalistów i olimpijczyków, tych materialnych i finansowych, jest imponująca. Są absolutnie rekordowe i historyczne.

Dla przykładu w konkurencjach indywidualnych za złoty medal nagrodami są: samochód osobowy marki Toyota Corolla, mieszkanie dwupokojowe (wykończone pod klucz), nagroda finansowa o wartości 750 tys. zł (500 tys. zł w gotówce i 250 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje, nagroda rzeczowa w postaci biżuterii o wartości do 3 tys. zł; za srebrny medal: nagroda finansowa o wartości 600 tys. zł (400 tys. zł w gotówce i 200 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje, nagroda rzeczowa w postaci biżuterii o wartości do 2 tys. zł; za brązowy medal: nagroda finansowa o wartości 450 tys. zł (300 tys. zł w gotówce i 150 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje, nagroda rzeczowa w postaci biżuterii o wartości do 1,5 tys. zł. Nagrody otrzymają także sportowcy startujący w konkurencjach zespołowych, drużynach, mikstach. W tym przypadku za złoty medal sportowcy otrzymają: mieszkanie jednopokojowe (wykończone pod klucz), nagrodę finansową o wartości 500 tys. zł – dla każdej osoby (250 tys. zł w gotówce i 250 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby, nagrodę rzeczową w postaci biżuterii o wartości do 3 tys. zł – dla każdej osoby. Za srebrny medal: nagrodę finansową o wartości 400 tys. zł – dla każdej osoby (200 tys. zł w gotówce i 200 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby, nagrodę rzeczową w postaci biżuterii o wartości do 2 tys. zł – dla każdej osoby. Za brązowy medal: nagrodę finansową o wartości 300 tys. zł – dla każdej osoby (150 tys. zł w gotówce i 150 tys. zł w tokenach), obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby, nagrodę rzeczową w postaci biżuterii o wartości do 1,5 tys. zł – dla każdej osoby. Nagrody w podobnej konfiguracji – poza samochodami i mieszkaniami – otrzymają także trenerzy główni. No i po raz pierwszy w historii przygotowaliśmy nagrody dla sportowców zajmujących miejsca 4–8. Pełny regulamin nagród, z różnymi wariantami medalowymi, będzie zamieszczony na naszej stronie internetowej jeszcze przed igrzyskami. Zapraszamy tam zatem wszystkich, którzy chcą poznać więcej szczegółów.

Bez wątpienia naszym atutem jest attaché.

Staramy się, aby tę prestiżową funkcję pełnił wybitny polski sportowiec. W Paryżu był nim dwukrotny mistrz olimpijski w judo Waldemar Legień, a we Włoszech będzie to Czesław Lang – wicemistrz olimpijski w kolarstwie szosowym, zasłużona postać polskiego sportu, ojciec i prekursor polskiego kolarstwa zawodowego. Jest on bardzo znany i ceniony we Włoszech, które są jego drugim domem. Jestem bardzo dumny, że tak ważne funkcje piastują nasi wielcy mistrzowie i przede wszystkim medaliści olimpijscy. Mocno wierzę, że Czesław Lang będzie stanowił inspirację dla naszych zimowych olimpijczyków i stanie się dobrym duchem całej reprezentacji.

Uczestnictwo w imprezie Białorusinów i Rosjan budzi kontrowersje.

To jest trudna sytuacja, myślę, i dla MKOl, i całego środowiska międzynarodowego. Międzynarodowy Komitet Olimpijski stara się zaproponować jakiś kompromis. Zależy mu na sportowcach i czuje się w obowiązku stać na straży ich interesów, niezależnie, skąd pochodzą. Od igrzysk w Paryżu przyjmuje pewien system selekcji, z kolei w Mediolanie Indywidualny Neutralny Panel do spraw Oceny Kwalifikacji Zawodników ocenia możliwość kwalifikacji każdego sportowca posiadającego rosyjski lub białoruski paszport do udziału w igrzyskach olimpijskich Mediolan-Cortina 2026, a także ich personelu wspierającego. MKOl ma prawo zaprosić neutralnych indywidualnych zawodników i ich sztaby do uczestnictwa w tej imprezie. Ich udział w ZIO 2026 jest uzależniony od przyjęcia indywidualnego zaproszenia i podpisania warunków uczestnictwa obowiązujących wszystkich biorących udział w igrzyskach. Formularz zawiera zobowiązanie do poszanowania Karty Olimpijskiej, w tym „misji pokojowej Ruchu Olimpijskiego".

Wielu sportowców rosyjskich, w mniejszym chyba stopniu białoruskich, rezygnuje jednak z udziału we włoskich zawodach...

To prawda, ponieważ nie każdy chce uczestniczyć w igrzyskach olimpijskich na warunkach MKOl, czyli: występować pod flagą i hymnem Individual Neutral Athletes, czyli tzw. neutralnym. Hymn nie ma tekstu i został stworzony wyłącznie w tym celu. Mogliśmy to obserwować podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu przed dwoma laty. Ponadto medale zdobyte przez tych sportowców nie będą uwzględniane w tabeli medalowej Narodowego Komitetu Olimpijskiego, a sami sportowcy nie mogą uczestniczyć w paradzie delegacji podczas ceremonii otwarcia.

A w jakie stroje będą ubrani Polacy podczas tej uroczystości?

Sponsorem naszej kolekcji olimpijskiej jest firma Adidas. Przygotowała piękne i imponujące zestawy strojów dla naszych sportowców. Ich pokaz odbył się w Warszawie na początku listopada zeszłego roku. Jestem zachwycony zarówno jakością, jak i rozwiązaniami technicznymi, które zaproponował nasz sponsor. To wspaniała kolekcja, nie ukrywam, że trafia ona także w mój gust, jeśli chodzi o warstwę wizualną oraz dbałość o detale. Za to w imieniu całego Polskiego Komitetu Olimpijskiego serdecznie dziękuję! Ufam, że wszyscy będą nią zachwyceni tak jak ja, bo uważam, że nasi olimpijczycy będą jedną z najlepiej ubranych reprezentacji na tych igrzyskach! Będą wyglądać imponująco!

Będzie pan na trybunach?

Oczywiście. Zawsze z wielką przyjemnością i dumą wspieram polskich sportowców. Tym razem też tak będzie. Zachęcam wszystkich kibiców do wspomagania Biało-Czerwonych. A tych, którzy będą w Italii, zapraszam także do Domu Polskiego – Casa Polonia, naszego miejsca na ziemi włoskiej podczas tego święta sportu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Piesiewicz
– prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

eprasa.pl 4c1b1273a2

„Nazywam się Czerwień”*

Joanna Bojańczyk

Valentino Clemente Ludovico Garavani, lepiej znany po prostu jako Valentino, ubierał kobiety z towarzystwa w wieczorowe suknie i nie patrzył na tych, którzy projektują dżinsy. „Rolls-Royce włoskiej mody” – napisał o nim „New York Times”. Co po nim zostanie?

Odchodzi stara gwardia mody. Kilka miesięcy po Giorgiu Armanim zmarł w swoim domu w Rzymie 93-letni Valentino Garavani, ostatni z wielkich krawców XX w., jeden z ostatnich symboli europejskiego szyku. Projektant, który nie zniżył się do dresów i hiphopowych portek. Całe życie działał w górnych partiach mody – jego domeną były stroje wieczorowe. To jemu sfera wysokiej socjety w Europie zawdzięcza wizerunek.

Przez ostatnie półwiecze nie tylko ubierał świat wielkich osobistości, lecz także sam kreował się na osobistość. Miał pałace, ruchomy dwór i własny, charakterystyczny odcień ciemnej czerwieni: „Czerwień Valentino”. No i ten wygląd...

Sądząc po mahoniowej cerze Giorgia Armaniego, Donatelli Versace i Valentina, można przypuścić, że głęboko nienaturalny odcień karnacji jest cechą klanu włoskiej wysokiej mody. Valentino z włosami wymodelowanymi na stojącą sztywno plerezę, otoczony orszakiem ludzi i psów uwielbiał się lansować. Ten wizerunek siebie – osoby z wyższych sfer – stworzył i sprzedał światu, a on go podchwycił. „We Włoszech jest papież – i jest Valentino” – napisał w 2005 r. na profilu projektanta Walter Veltroni, ówczesny burmistrz Rzymu.

LEW SALONOWY

Valentino nie był typem artysty dręczonego wizjami. To był lew salonowy, który najlepiej czuł się w towarzystwie. Wielbiony, podziwiany, ale w pracy systematyczny i zdyscyplinowany. Nie zależało mu na kreowaniu nowych trendów ani nawet na podążaniu za trendami. Stał z boku globalnego fashion biznesu. Uprawiał swoją działkę: ubierał kobiety z towarzystwa w wieczorowe suknie i nie patrzył na tych, którzy projektują dżinsy.

Rozpoczął działalność, jeszcze zanim Federico Fellini w filmie „La dolce vita” ośmieszył pustkę rzymskiego towarzystwa. U Felliniego śmieszność stawała się tragizmem. Ale Valentino patrzył na to inaczej. On szukał czego innego. „Zawsze szukam piękna, piękna” – powiedział w wywiadzie w 2009 r.

„To bardzo proste” – tłumaczył z kolei dziennikowi „The New York Times” w 2007 r. „Staram się, aby moje dziewczyny wyglądały zjawiskowo”.

Gdy u innych projektantów pamięta się ogólny styl, u niego pamiętało się konkretne kreacje: kremową koronkową sukienkę, którą Jacqueline Kennedy miała na sobie podczas ślubu z Arystotelesem Onassisem w 1968 r.; garnitur z sobolowym kołnierzem, który żona szacha Iranu Farah Diba włożyła, uciekając z Iranu, kiedy jej mąż, szach, został obalony w 1979 r. Jego suknię Bernadette Chirac nosiła na zaprzysiężeniu Jacques’a Chiraca na prezydenta Francji w 1995 r.

Insiderzy i pasjonaci mody mogli zapamiętać inne kreacje mistrza: drapowaną suknię z piórami na dole, którą Elizabeth Taylor miała na sobie na rzymskiej premierze filmu „Spartakus” w 1960 r., czarno-białą suknię Julii Roberts, która zdobyła Oscara dla najlepszej aktorki w 2001 r.; jednoramienną suknię z żółtej jedwabnej tafty, którą Cate Blanchett miała na sobie, gdy zdobyła Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej w 2005 r.

„Niektórzy pracują tak ciężko, że praca staje się dla nich torturą” – napisał Garavani w opowieści o swoim życiu wydanej jako limitowana edycja przez Taschen w 2007 r. „Ja nie czuję się torturowany. Przepraszam. Nie cierpię. Chcę być szczęśliwy, projektując suknię”.

CZŁOWIEK INSTYTUCJA

Nawet po rezygnacji z marki Garavani kontynuował tworzenie unikatowych sukni ślubnych. Dla Anne Hathaway, księżniczki Madeleine ze Szwecji... Eksperymentował z operą, projektując kostiumy do rzymskiej inscenizacji „Traviaty” w 2016 r., opublikował książkę

eprasa.pl 4c1b1273a2

Valentino nie był typem artysty dręczonego wizjami. To był lew salonowy

FOT. DANIELE VENTURELLI/GETTY IMAGES

kucharską – typowy wielki tom do położenia na stoliku kawowym. Znalazły się tam przepisy i nakrycia stołu dostosowane do stylu pięciu rezydencji Valentina na całym świecie. Oraz do jachtu...

Książka ukazała się tuż po ekstrawaganckiej imprezie z okazji 45. rocznicy Valentina, współorganizowanej przez włoskie ministerstwo kultury. Jak widać, Valentino był dla Włochów instytucją. „Stał się »potęgą państwową«" – podsumował jeden z gości tej uroczystości. „Ustanowił barometr luksusu" – powiedział inny gość, Reinaldo Herrera, mąż projektantki Caroliny Herrery i przyjaciel Garavaniego.

CZERWONA SUKNIA

Jako dziecko prosił o własne sztućce i zastawę stołową, jako nastolatek zamawiał swetry, bo nie podobały mu się te, które były w sklepach, zmieniał guziki w marynarkach. Projektantem postanowił zostać po obejrzeniu w 1941 r. musicalu „Dziewczyna Ziegfelda", pełnego efektownych strojów. W tym postanowieniu wytrwał aż do skończenia szkoły średniej. Po szkole zapłacili mu za półroczny staż krawiecki w Mediolanie, po nim pojechał do Paryża, gdzie uczył się w paryskiej Izbie Haute Couture. W latach 50. Paryż był niekwestionowaną stolicą światowej mody, pozycją, do której Mediolan nawet nie śmiałby aspirować. Garavaniemu udało się zdobyć pracę asystenta w kilku domach mody, ale podobno wylali go za zbyt długie przebywanie na plaży w Saint-Tropez... Jak widać, namiętność do opalania miał we krwi.

Wrócił do Rzymu, gdzie z finansową pomocą ojca otworzył własną małą firmę. Wśród rzymskiej socjety czuł się najlepiej; w jednej z modnych kawiarni na Via Condotti do jego stolika przysiadł się przystojny student architektury Giancarlo Giammetti, mężczyzna, który stał się życiowym i biznesowym partnerem Garavaniego. Giammetti zrezygnował z zawodu i oddał się sprawom biznesu, pozwalając przyjacielowi poświęcić się całkowicie krawiectwu.

„Nigdy w życiu nie zajmowałem się żadnymi sprawami" – powiedział Garavani. Pochłaniało go jedno: „Bardzo piękne sukienki koktajlowe. Bardzo efektowne suknie wieczorowe. Bardzo krótkie czerwone sukienki. Olśniewające. Olśniewające. Olśniewające".

Dobrze dobrana falbana i idealnie umieszczona kokarda stały się fundamentem imperium.

GURU MODY I STOŁU

Zapewnił włoskiej modzie miejsce w światowej czołówce, torując drogę kolejnym markom, takim jak Armani i Versace. Wbrew deklaracjom do biznesu miał nosa: zbił fortunę na licencjach i został pierwszą marką mody notowaną na mediolańskiej giełdzie. Kreował się na guru rozrywki. Jego znakiem rozpoznawczym była czerwona suknia zainspirowana widokiem kobiet w czerwieni na premierze opery „Carmen" w Barcelonie. Młodego Valentina uderzyło, jak bardzo karmazyn wyróżnia z tłumu.

Od tamtej pory postanowił: „Czerwień będzie moim szczęśliwym kolorem". Jest to, jak kiedyś powiedział, „nieblaknący znak rozpoznawczy, logo, ikoniczny element marki, wartość".

W 1962 r. został zaproszony na pokaz do Pałacu Pitti we Florencji, ówczesnego centrum włoskiej mody. To był bilet wstępu do kariery międzynarodowej. W 1964 r., rok po zamachu na jej męża, poznał Jacqueline Kennedy, której patronat potwierdził światową sławę.

W 1975 r. przeniósł swój pokaz mody do Paryża, trzy lata później stworzył pierwsze perfumy nazwane Valentino. Nie obronił się przed popularną wśród kreatorów presją na sprzedaż licencji. Torby, parasole, walizki, a w Japonii zapalniczki i długopisy – to była żyła złota. W szczytowym okresie Valentino miał ponad 40 licencji. W 1984 r. włoska reprezentacja olimpijska nosiła Valentina na igrzyskach w Los Angeles, rok później prezydent Sandro Pertini nadał mu tytuł Wielkiego Oficera Orderu Zasługi Republiki Włoskiej.

W latach 90. pojawiły się grunge i minimalizm. Tych dwóch słów Valentino nie chciał nawet wymawiać. „Nie mogę patrzeć na kobiety zniszczone, nieuczesane czy dziwaczne" – powiedział w 2004 r. magazynowi „Vanity Fair". Nie dostrzegał trendu w stronę wygody i demokratyzacji mody, nie chciał zmierzyć się ze złożonością i brzydotą współczesności.

„Nie chcę być częścią systemu, w którym bardziej niż piękno liczy się marketing" – powiedział na pokazie mody w kompleksie kościelnym Santo Spirito niedaleko Placu św. Piotra w Watykanie. W Muzeum Ara Pacis odbyły się także wystawa prac Garavaniego oraz kolacja dla tysiąca osób w Galerii Borghese.

Jednak i on, wyznawca piękna, uległ presji rynku. Gdy utworzyły się wielkie konglomeraty mody, takie jak LVMH, pojedynczy gracz nie miał szans na globalnym rynku. Valentino sprzedał za 300 mln dol. swoją firmę rodzimej firmie tekstylnej Marzotto, która wydzieliła ją jako Valentino Fashion Group. „Był najważniejszym Rzymianinem w modzie od czasu wynalezienia togi" – napisał o nim amerykański magazyn „Glamour".

*Tytuł zaczerpnięty z powieści Orhana Pamuka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4c1b1273a2

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Klęska i zwycięstwo

Słowackie Sturovo położone na granicy z Węgrami, na wprost Ostrzyhomia za Dunajem, to miejsce bitwy, która o mały włos nie skończyła się naszą klęską i śmiercią Jana III Sobieskiego. Po wielkim zwycięstwie pod Wiedniem 12 września 1683 r. osłabione przez choroby armie polska i austriacka podjęły marsz na Węgry w celu odzyskania obsadzonych przez Turków fortec. Sułtan Mehmed IV darował bowiem swemu wezyrowi Kara Mustafie porażkę pod miastem, którego nie udało się zdobyć nawet Sulejmanowi Wspaniałemu, wysłał mu posiłki i nakazał bronić okupowanych przez Turków terenów Węgier.

Tymczasem sprzymierzeni Austriacy początkowo odrzucili plan króla Jana III Sobieskiego proponującego marsz na Budę w celu pobicia pozostałości zdemoralizowanej armii sułtana i odbicia stolicy Węgier. Zgodzili się na niego, kiedy było już za późno i Turcy zdołali ochłonąć po klęsce. Postanowiono zatem uderzyć na Ostrzyhom, następnie zająć Peszt i tym samym odciąć zarówno fortecę Nowe Zamki, jak i zbuntowane oddziały węgierskiego Emeryka Thökölyego od pomocy imperium osmańskiego.

7 października ciągnąca wolno armia sprzymierzonych dotarła pod Parkany, czyli dzisiejsze Sturovo, będące przedmościem wspomnianego Ostrzyhomia, na prawym brzegu Dunaju. Dowodzący strażą przednią Stefan Bidziński lekkomyślnie zaatakował oddział turecki wchodzący do forteczki, nie spodziewając się, że wpada w zasadzkę bejlerbeja Budy Kara Mehmeda paszy, który ukrył kilka tysięcy jazdy nad rzeką Hron i czekał na nadejście Polaków i Austriaków. Błyskawicznie spadło na niego uderzenie przeważającej konnicy tureckiej, zmuszając do odwrotu. Pomocy usiłował udzielić jadący na czele kolejnego rzutu wojsk hetman Stanisław Jabłonowski, ale jego oddziały zostały otoczone i odcięte od dragonii, która spieszyła się, aby osłonić jazdę ogniem z muszkietów. Wówczas do walki włączył się sam Jan III Sobieski, który nadciągnął na pole bitwy i usiłował ustawić wojska w szyku, pozostawiając prawe skrzydło cofającemu się Jabłonowskiemu. Kara Mehmed, który wiedział już, z kim ma do czynienia, postanowił odegrać się za klęskę pod Wiedniem i zdobyć głowę króla. Część jego oddziałów udała teraz odwrót, wyciągając z szyku chorągwie prawego skrzydła i osaczając je. Sobieski próbował temu przeciwdziałać, obrócił front części oddziałów na południe, co wywołało wybuch paniki. Chorągwie polskie rzuciły się do ucieczki, król znalazł się w niebezpieczeństwie, uciekając w otoczeniu zaledwie siedmiu towarzyszy: Matczyńskiego, Miączyńskiego, poruczników Czerkasa i Piekarskiego, dwóch towarzyszy husarskich i nieznanego z nazwiska arkebuzera. Ten uratował życie władcy, gdy rzuciło się na niego dwóch Turków. Jednego, który zaatakował Sobieskiego dzirytem, zabił, drugiego – uderzającego z szablą – postrzelił, sam jednak zginął. Ucieczka i turecka pogoń zakończyły się dopiero po dotarciu do reszty wojsk polskich i ciągnących za nimi pułków austriackich.

Kara Mehmed przekonany był, że odniósł druzgocące zwycięstwo nad niedawnym zwycięzcą spod Wiednia i że Jan III zginął. Jak podaje Jan Chryzostom Pasek, Turcy wzięli zabitego w walce wojewodę pomorskiego Władysława Denhoffa za króla i jego obciętą głowę posłali do wielkiego wezyra, zapowiadając rychłe zniszczenie armii sprzymierzonych.

Porażka wywołała upadek morale w wojsku i radość austriackich dowódców zazdroszczących sławy naszemu królowi. Sobieski jednak nie załamał się, ale zdołał przygotować armię do kolejnej bitwy. 9 października 1683 r. przeciwko ok. 15 tys. Turków wystawił dwa razy większe siły – polskie i austriackie. Kara Mehmed nie miał szans. Chociaż rzucił większość sił na lewe skrzydło polskie, usiłując oskrzydlić armię sprzymierzonych i zepchnąć ją do Dunaju, to Jan III Sobieski wykorzystał to i śmiałym manewrem odciął przeciwnika od Parkan i Ostrzyhomia. Bitwa skończyła się klęską i zagładą armii osmańskiej, rozbite zostały ostatnie, nienaruszone jeszcze rezerwy wielkiego wezyra. Wojska sprzymierzonych rozpoczęły oblężenie Ostrzyhomia, który skapitulował 27 października.

Sturovo to nie Wiedeń, więc nasz król ma dziś tutaj okazały pomnik, podobnie jak w węgierskim Ostrzyhomiu. Niestety, pola obu bitew są dziś pod zabudową miejską. Pierwsza 7 października rozegrała się mniej więcej wzdłuż dzisiejszej ulicy Franciszka Rakoczego i Smetanovej oraz dalej na zachód. Druga w okolicach wsi Nana i dzisiejszej drogi nr 76, wzdłuż której Kara Mehmed rozmieścił swoją jazdę tyłem do rzeki Hron.

Sobieski wygrał dzięki żelaznej woli i uporowi, nie załamał się po pierwszej klęsce, którą próbowali wykorzystać jego wrogowie. „Co o Fortunę mówicie, zdepcę ją, jako małpę, a Boga przeprosiwszy, obaczycie jutro odmianę” – powiedział, kiedy usłyszał, że odwróciło się od niego szczęście (Fortuna). Słowa te powinniśmy pamiętać i dzisiaj. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

JAECOO 5

FOT. JAP

Ma 438 cm długości, 186 cm szerokości (bez lusterek), 165 cm wysokości, surowe linie nadwozia, charakterystyczny grill oraz niezwykle atrakcyjną cenę. Jaecoo 5 kosztuje bowiem w wersji Comfort 109,9 tys. zł. Testowana wersja premium jest wyceniona na 124,9 tys. zł (i ma już m.in. dach panoramiczny, dwustrefową klimatyzację, system audio Sony czy oświetlenie ambientowe).

Pod maską pracuje czterocylindrowy silnik 1.6 T-GDI o mocy 147 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś 275 Nm. Auto jest wyposażone w automatyczną dwusprzęgłową skrzynię DCT7. Ważący niemal dwie tony SUV od zera do 100 km/h przyspiesza w 10,2 s. Nie jest to zatem model dla małolatów (metrykalnych lub mentalnych), uwielbiających krótkie wyścigi spod świateł. W trasie dynamiki mu jednak nie brakuje. A co z apetytem na paliwo? Katalogowo to 7 l/100 km. Podczas zimowego testu w cyklu mieszanym średnie spalanie wynosiło jednak 8,9 l/100 km.

Przestronna kabina w drugim rzędzie siedzeń ma 132 cm wysokości i 149,2 cm szerokości. Jest więc dużo miejsca na nogi i sporo wolnej przestrzeni nad głową. Wrażenie przestronności potęguje potężny dach panoramiczny. W tej półce cenowej materiały użyte do wykończenia są zaskakująco przyjemne. Nie mogę też niczego zarzucić spasowaniu poszczególnych elementów.

Kierownica ma opcję podgrzewania, a fotele z przodu mogą być podgrzewane lub wentylowane. Na desce rozdzielczej niepodzielnie króluje duży kolorowy i dotykowy ekran o przekątnej 13,2 cala. Irytujący jest brak fizycznych przycisków do obsługi klimatyzacji. Można nią niby łatwo sterować na ekranie, ale po przełączeniu się w tryb Android Auto, aby włączyć podgrzewanie kierownicy, trzeba się niestety trochę naklikać.

Do dyspozycji jest też ładowarka bezprzewodowa o mocy 50 W. Z kolei dla rozśpiewanych podczas podróży rodzin Chińczycy wprowadzili w aucie... tryb karaoke. Miłośników zwierząt ucieszy zaś wiadomość, że Jaecoo 5 otrzymał certyfikat TUV przyznawany autom, które oferują komfortową podróż również czworonogom (a właścicielom łatwą w czyszczeniu z sierści tapicerkę). Bagażnik ma 480 l pojemności, a po złożeniu tylnych siedzeń rozrasta się do 1180 l.

Jak na rodzinne auto przystało, chiński SUV jest naszpikowany systemami zwiększającymi bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. Na pokładzie są m.in. system ADAS, siedem poduszek powietrznych, ostrzeganie przed autami w martwych polach lusterek, a także system kamer zapewniających bardzo dobrą widoczność dookoła SUV-a.

Dla osób szukających praktycznego kompaktowego SUV-a Jaecoo 5 to kusząca propozycja. I chociaż wolałbym auto z napędem na wszystkie łapy, a ten model jest oferowany wyłącznie z napędem na przednią oś, to stosunek ceny do jakości i siedmioletniej gwarancji wydaje się bardzo atrakcyjny.

ECOVACS DEEBOT X11 OMNICYCLONE

Wysoka siła ssania, system mopowania, który skutecznie czyści podłogi, świetna technologia zarządzania energią, duża autonomia działania oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety robota sprzątającego chińskiej marki Ecovacs.

Zarówno sam robot, jak i bezworkowa stacja dokująca wyglądają nowocześnie i minimalistycznie, choć wolałbym kolor biały od czarnego, na którym szybko widać kurz i inne zabrudzenia. Konfiguracja robota jest intuicyjna, a sposób nawigowania poprawia się z każdym przejazdem. Prosta jest też obsługa za pomocą aplikacji lub poleceń głosowych (ten robot zna m.in. język polski). Co najważniejsze, na co dzień urządzenie samo robi to, co do niego należy, bez potrzeby niańczenia przez człowieka. Robot bez problemu pokonuje przeszkody do 2,4 cm (nieźle, choć model konkurencji potrafi się już wspinać na 4,2 cm).

Największe wrażenie robi sam efekt sprzątania. Siła ssania testowanego modelu wynosi 19,500 Pa. I chociaż nie jest to rekord na rynku, to Deebot X11 OmniCyclone naprawdę nieźle odkurza. Wyróżnia go zaś system mopowania OZMO Roller 2.0. Wykonany z gęstej nylonowej tkaniny wałek odpowiednio mocno dociśnięty obraca się z prędkością 200 obrotów na minutę, dzięki czemu skutecznie mopuje podłogi. To jeden z robotów najnowszej generacji, które

wreszcie przestały tylko przecierać podłogę na mokro, a zaczęły ją naprawdę porządnie szorować (wykorzystując AI do identyfikowania miejsc, które wymagają szczególnej uwagi). Przeważnie dobrze sprząta również w zakamarkach i w narożnikach (choć na testowej powierzchni jeden narożnik za każdym razem zostawiał brudny).

Na pochwałę zasługuje również technologia zarządzania energią. Bateria ma pojemność 6400 mAh, co wystarcza na 210 minut pracy. Dzięki szybkiemu doładowywaniu PowerBoost – 6 proc. w zaledwie trzy minuty – robot potrafi pracować podczas jednego cyklu nawet 369 minut, co pozwala posprzątać do 1000 mkw. Podczas naszego testu nie miał do sprzątania aż takiej powierzchni, ale i tak jego zdolność do nieustannej pracy zrobiła na mnie wrażenie.

Wady? W zestawie próżno szukać wymiennego wałka. W przeciwieństwie do czołowych konkurentów w testowym zestawie nie było też żadnego środka czyszczącego. Do niedawna najważniejszym minusem była bardzo wysoka cena tego modelu (5499 zł), ale ten model istotnie już staniał i teraz kosztuje 3917 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 4c1b1273a2

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Węgierska zupa gulaszowa

Nasze węgierskie korzenie od strony babci wpływają na nasze umiłowanie do południowych, nieco ostrzejszych dań. Pożywne i gęste dania mięsne, bogate w przyprawy i aromaty, są charakterystyczne dla kuchni węgierskiej. Należy do nich bogracz – tradycyjna zupa węgierska, bardzo popularna w całej Europie. Nazwa wywodzi się od węgierskiego słowa „bogrács", co oznacza kociołek. Z kociołka danie trafia wprost na talerz, ale wcześniej trzeba je oczywiście ugotować. Gotowanie zupy w kociołku i na otwartym ogniu sprawia, że ma ona charakterystyczny dymny zapach i aromat. W warunkach domowych gotujemy ją w garnku i zapewniamy, że wtedy również smakuje wspaniale. Natomiast bogracz w kociołku podała nam pewnego razu Orsolya Zsuzsanna Kovács, ówczesna ambasador Węgier w Polsce, opowiadając o historii swojego narodu.

Taka zupa to obowiązkowe danie w naszej kuchni. Do przyrządzenia bogracza potrzebować będziemy przede wszystkim czasu i cierpliwości – a zrobić go możemy z wołowiny. Najlepsza będzie nieco przerośnięta tłuszczykiem część udźca lub pręga. Możemy też upichcić zupę z wieprzowiny – wtedy najlepsza będzie łopatka albo karkówka. Możemy również dodać boczek, który nada nieco wędzonego smaku, ale nie jest to konieczne. Zachęcamy do przygotowania bogracza szczególnie teraz, czyli zimową porą.

FOT. ADOBE STOCK

Bogracz

• 600–700 g mięsa według uznania • 100 g boczku wędzonego lub surowego • 2 cebule • 2–4 ząbki czosnku • 2–4 papryki, mogą być różne kolory • 4 pomidory świeże lub 1 puszka pomidorów • 5 ziemniaków • 2–3 łyżki masła • przyprawy: sól, pieprz, słodka papryka • 2 łyżki koncentratu pomidorowego • 1 litr bulionu warzywnego • kwaśna śmietana • kluski lane lub drobny makaron

Mięso wyjmujemy wcześniej i ogrzewamy w temperaturze pokojowej. Kroimy je na dość spore kawałki, tak samo boczek. Cebulę i czosnek kroimy, paprykę czyścimy z nasion i kroimy, pomidory również. Ziemniaki kroimy i odstawiamy w misce z zimną wodą – dodamy je do dania nieco później. Rozgrzewamy garnek z grubym dnem, najpierw podsmażamy na złoto boczek, wyjmujemy go, a do wytopionego tłuszczu dodajemy masło i podsmażamy cebulę, następnie zaś czosnek. Dodajemy partiami mięso i smażymy je z każdej strony. Dolewamy bulion i gotujemy na małym ogniu ok. 2 godz. Potem dodajemy pokrojone warzywa, ziemniaki, przyprawy, koncentrat pomidorowy. Dusimy jeszcze ok. 40 min. Na koniec podbijamy kwaśną śmietaną w garnku lub na talerzu. Podajemy z lanymi kluskami lub makaronem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sprzęt optyczny

Wbrew temu, o co niektórzy mnie posądzają, nie stosuję trendów na własnej osobie. Ale lubię się przyjrzeć temu, co się wokół dzieje. Bo moda wiele mówi o rzeczywistości.

Jest tak zimno, że ostatnią rzeczą, o jakiej myślimy, są modne ciuchy. Ale nowe okulary od nowego roku, czemu nie?

Francuska prasa zawiadamia, że „nowy trend w okularach łączy w sobie śmiałość i dyskrecję (cokolwiek to znaczy). Mamy zatem powrót grubych i dużych kształtów – kwadratowych, motylkowych, okrągłych, a także trend na cienkie i minimalistyczne metalowe oprawki, półprzezroczyste wzory.

Nie znam się na trendach optycznych, ale zauważyłam, że inni się nimi przejęli. Nawet nie czekając na rok 2026, już w 2025 je zastosowali. Można sprawdzić w lokalu Charlotte, warszawskim laboratorium nowości. Panują tam niepodzielnie wielkie, czarne prostokątne lub kolorowe oprawki, na zewnątrz lekko ukośnie zwrócone ku górze. Tak wielkie, że widzi się głównie okulary, potem ewentualnie resztę. Nie wiem, czy designer miał to na myśli.

„Kluczowe kolory to świetlisty żółwiowy kolor, pastele, żywe odcienie oraz duet błękitu i czerni, a wydłużone kocie oczy i wzory inspirowane narracją kulturową (kataloński modernizm) zyskują na popularności" – to dalej Francuzi.

Ucieszyłam się, bo moje ulubione szylkretowe oprawki okazały się modne, więc będę mogła pokazać się w nich publicznie bez wstydu nawet w Charlotte. Jednak wciąż nie wiem, co w wypadku okularów oznacza kataloński modernizm. Jeśli ma to związek z Gaudim, to doradzałabym ostrożność.

Okulary mówią o nas więcej niż ubranie, i to zanim otworzymy usta. Dyskretne czy ekstrawaganckie? Markowe, koniecznie z nazwą firmy na bocznym ramieniu? Duże, małe, z oprawką czy może same szkła? Lenonki czy oprawki à la Gomułka? Plastikowe, metalowe czy w ogóle bez ramki?

Intelektualista czy artysta?

W każdym razie godziny męki wyboru u optyka warte są rezultatu. W końcu okulary stają się częścią twarzy, prześwietlają nas i wynik publikują na gębie. Stają się wersją nas samych, nawet wtedy, gdy są tylko sprzętem optycznym, niemodnym dodatkiem.

Modny dodatek przyjemnie mieć. Ale jeśli kosztuje on parę tysięcy? To temat dla starszych, i to takich, których stać na designerskie oprawki. Bo w ogóle nie jest cool nosić okulary. Dopiero gdy wzrok się psuje, zaczynamy się nad tym zastanawiać. Starsi się nie poddają. Nie noszą już modnych dżinsów, ale zostały im jeszcze okulary. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

PIECZEŃ RZYMSKA

O krytyce zaangażowanej

PIOTR KOWALCZUK

Nie od dziś wiadomo, że zdaniem postępowców artysta oprócz talentu i maestrii w swoim fachu musi wyznawać jedynie słuszne poglądy i przyglądać się światu z właściwego punktu widzenia. Liczą się również przekonania rodziców.

Beatrice Venezi, 35-letnia dyrygentka, prześliczna jak wiolonczelistka Skaldów, uznana została przez włoskie media za wielki talent muzyczny i jedną z najbardziej kreatywnych Włoszek. Dyrygowała z wielkim sukcesem w Tokio, Buenos Aires, w Pałacu Buckingham na diamentowym jubileuszu królowej Elżbiety II (z Andreą Bocellim), Toronto, Mediolanie czy Trieście. Jest laureatką wielu nagród. Ba, prowadziła jeden z koncertów Festiwalu Piosenki Włoskiej w San Remo.

Niestety, jak się poniewczasie zorientowano, kobieta posiada niestety wiele wad, w tym jedną dziedziczną. Ojciec był kiedyś (do 2007 r.) aktywistą postfaszystowskiej Forza Nuova. Co więcej, Beatrice wyznaje prawicowe poglądy. Co gorsza, wzięła udział w zjeździe partii premier Meloni Bracia Włosi, a w 2022 r. została najpierw członkiem Papieskiej Rady Kultury, a potem, o zgrozo, muzycznym doradcą ministra kultury. Wówczas najczujniejsi okazali się francuscy łowcy faszystów, protestując przeciw „występowi neofaszystowskiej dyrygentki w Nicei", gdzie poprowadziła koncert noworoczny. Co więcej, we wrześniu ubiegłego roku mianowano ją dyrektorem muzycznym La Fenice, słynnego teatru operowego w Wenecji. Postępowy salon uznał to za haniebną prowokację.

Poburzyli się muzycy i pracownicy teatru. Rozpoczęli strajk i protesty, wskazując, że Venezi jest za młoda, nie posiada odpowiedniego doświadczenia i kompetencji, a poza tym między nią a orkiestrą nie ma właściwego feelingu, co uniemożliwia owocną współpracę. Co gorsza, dyrekcja nie konsultowała nominacji z muzykami.

W sukurs protestującym przyszedł kwiat włoskiej postępowej krytyki muzycznej. Z publikowanych recenzji występów dyrygentki za pulpitem wynikało, że źle trzyma batutę, dyryguje sztywno i mechanicznie. Nie rozumie partytury, a jej nie rozumie orkiestra, nie mówiąc o chórze. Na dobrą sprawę mógłby dyrygować metronom.

Pod koniec stycznia Venezi dyrygowała w Pizie („Carmen" Bizeta). Wszystkie bilety wyprzedane. Owacje na stojąco trwały 10 minut. Tytuły prasowe jednoznaczne: „Triumf Beatrice". A krytycy swoje: „Ta publiczność nie odróżnia klucza wiolinowego od basowego". Pojawiły się też sugestie, że na widowni opery w Pizie zasiedli wynajęci klakierzy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

DEKAMERONKI

Wracamy do chałupnictwa?

JERZY KARWELIS

Idą dziwne czasy. Goście przed komputerami, pykający po klawiaturze, zarabiają na swoje życie i życie swoich rodzin. Nawet po covidowej zmianie paradygmatu pracy „nie wychodź z domu". To ciekawy obraz, chociażby dla dzieci, które mają przekonanie, że tato (i mama oczywiście) pracują z domu, czyli „praca" odbywa się tu, na miejscu, tuż obok misia Ptysia i gęsi Pipy. To jest sprzeczne z dotychczasową perspektywą, że do pracy trzeba „wyjść", co skutkuje pomieszaniem, że mamy do czynienia – uwaga, w czasach digitalizacji pracy – z pracą… chałupniczą.

Wszystko nas to wiedzie do prorokowania jakiejś wizji „dystopii domowej" świata, czyli obrazu utopijnej rzeczywistości, w której to realiach będziemy podlegali technokratycznej kontroli, ale w pieleszach domowych. W czasach covidowych, kiedy prowadziłem codzienny dzienniczek śledzenia zmian społecznych powodowanych mniemaną pandemią, wyszło mi – z pomocą zaprzyjaźnionej psychoterapeutki – że w domach ludzi lockdownowo skumulowanych, narażonych nagle na całodobowy kontakt rodzinny dokonują się niespotykane dramaty – nikt nikogo nie zna, nie ma innych relacji niż rytm szkolno-korporacyjny, który zwalnia od interakcji. Ta nagła, wymuszona przemiana doprowadziła wiele rodzin na krawędź zapaści. Niewielu się z tego eksperymentu wyciągnęło, wielu do tej pory ciągnie traumę, a wiele związków się rozpadło.

Mamy do czynienia z poważnym zwrotem w stosunkach społecznych. Czas na pracę rodziców i szkołę dzieci dawał jakiś luz wszystkim stronom – wszyscy uczyli się życia i interakcji z innymi ludźmi. Rodziły się socjalne ambicje, wyłaniali się przywódcy, formowały się podgrupy społeczne, rodziły się kompetencje relacyjne. Co się teraz stanie w rodzinach, w których rodzice w ciągu dnia siedzą przed kompami „na callach", a latorośl zasuwa przed ekranem w szkolnej wirtualnej chmurze? Co to będzie za świat? Jakie będą relacje, ba – kompetencje społeczne takich tworów?

Kiedyś wszystko było prostsze: byli właściciele, po nich zarządcy ich majętności w kierunku wytwórczym, na końcu zaś lud roboczy. Praca jakoś łączyła się z wysiłkiem fizycznym, jakąś, wyniesioną poza dom aktywnością. Dziś, kiedy coraz bardziej robota polega na ruszaniu myszką, a realną produkcję przejmują maszyny, świat zmierza ku temu, że tę „klikalność" zastąpi zaraz sztuczna inteligencja i całe rodziny wylądują już nie na pracy zdalnej, tylko w rodzinnym trwaniu w otulinie podstawowego dochodu gwarantowanego, który stanie się wydawką posiłku dla więźniów zamkniętych w celi własnych (?) mieszkań. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Paranoja (pozornie) bezobjawowa

Z bardzo niepokojącym zjawiskiem zmaga się, na przestrzeni ostatnich lat, społeczeństwo Stanów Zjednoczonych Ameryki. Z roku na rok rośnie tam liczba osób, u których diagnozuje się różnego rodzaju zaburzenia psychiczne. Jak podają statystyki, na szeroko pojęte choroby psychiczne cierpiało w 2024 r. aż 59,3 mln Amerykanów, co stanowi 23,1 proc. populacji USA. Dostępne badania wskazują, że sytuacja ta ulega stałemu pogorszeniu. W roku 2009 rozmaitych chorób psychicznych doświadczyło 18,1 proc. Amerykanów, a w 2019 r. odsetek ten wzrósł do 20,6 proc. Wszystko wskazuje na to, że ubiegłoroczne wskaźniki znów będą rekordowe.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Szczególnie niepokojące okazują się pod tym względem badania społeczności Afroamerykanów. Wyższa niż w reszcie populacji jest wśród nich liczba prób samobójczych wśród młodzieży, ciężkich przypadków depresji oraz zespołu stresu pourazowego (PTSD). Przykładem tego zjawiska stał się znany czarnoskóry raper i producent muzyczny Kanye West, znany też jako „Ye". Opublikował on właśnie całostronicowe ogłoszenie w znanym z proizraelskich sympatii dzienniku „The Wall Street Journal", w którym zapewnił: „Nie jestem antysemitą ani nazistą. Kocham wszystkich Żydów".

Jeszcze w maju ubiegłego roku Kanye West zamieścił na portalu X tweet o treści „Free Palestine", któremu towarzyszyła flaga palestyńska. W tym samym mniej więcej czasie pojawiły się przeciw niemu poważne oskarżenia o wykorzystywanie seksualne swoich dawnych kochanek i współpracownic, dyskryminację, „pornograficzne duszenie" modelki podczas nagrywania z nią przed kilkunastu laty teledysku muzycznego, a także grożenie współpracownikom pobiciem. Choć wobec Kanye Westa nie sformułowano jak dotąd żadnego formalnego oskarżenia, to podobnego rodzaju sprawki zaprowadziły innego muzycznego celebrytę, znanego jako Puff Daddy, na kilka lat za kratki.

Ogłoszenie na łamach „WSJ" służy wyjaśnieniu ekscesów Kanye Westa. Miały one mieć źródło w wypadku samochodowym, któremu uległ muzyk w roku 2002. Doznał wtedy pęknięcia szczęki, które udało się wyleczyć. „Inne głębokie zranienie, to wewnątrz mojej czaszki, przeszło niezauważone". Przeoczone urazy doprowadziły do rozwinięcia się u Kanye Westa choroby dwubiegunowej, skutkującej epizodami maniakalnymi. To właśnie one odpowiadać miały za jego „antysemickie" zachowania i poglądy. „Straciłem kontakt z rzeczywistością" – oświadczył muzyk. „Moje słowa, jako lidera całej wspólnoty, miały globalne oddziaływanie i szeroki oddźwięk. Cierpiąc na manię, nie mogłem o tym wiedzieć". Zdiagnozowany wreszcie i poddany odpowiedniej terapii muzyk prosi dziś, na łamach „The Wall Street Journal", o „cierpliwość i zrozumienie".

Przypadek Kanye Westa nie jest odosobniony. Charakterystyczne oznaki paranoi dostrzec można u Dave'a Chappelle'a, znakomitego amerykańskiego komika. W swoim ostatnim występie, dostępnym na platformie Netflix, stwierdza on, że amerykański establishment złamał już, szantażem i sfabrykowanymi oskarżeniami kryminalnymi, wielu jego przyjaciół. „W Arabii Saudyjskiej panuje większa wolność słowa niż w USA" – powtarza kilkakrotnie komik. Proponuje także widowni ustalenie znanego jej hasła – sygnału alarmowego, które wypowiedziane publicznie ostrzeże wszystkich fanów artysty, że został on „dokooptowany" do systemu – kupiony bądź zmuszony do zaparcia się swoich przekonań. „Popieram Państwo Izrael" („I stand with Israel") – brzmi proponowane przez Dave'a Chappelle'a hasło bezpiecznik. „Kocham wszystkich Żydów" – zawarte w samokrytyce chorego psychicznie Kanye Westa nabiera w tym kontekście co najmniej drugiego znaczenia. Być może słynny komik pójdzie niebawem drogą nie mniej słynnego rapera i także okaże się osobą niepoczytalną. Może być jednak i tak, że to skandalizującemu muzykowi przydarzyła się właśnie przygoda, przed którą ostrzegał globalną publiczność przewidujący Dave Chappelle. ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tak niedawno, że nikt nie pamięta

Jeśli ktoś uważa, że tytuł książki „To ja" byłego prezydenta Andrzeja Dudy jest dowodem jego megalomanii, to jest w błędzie. To raczej wyraz zdziwienia, że „ja tam się znalazłem". Niejednokrotnie autor wspomina dzieciństwo i młodość, jakby chciał pokazać dystans, jaki wiódł go na szczyt władzy. I to jest bardzo ciekawy aspekt książki. Można sobie bowiem wyobrażać, co czuł młody, 40-letni prawnik, do niedawna żyjący dość prywatnym życiem rodzinnym, gdy został w krótkim czasie wiceministrem, europosłem i prezydentem. Niejednego tak szybka droga na szczyt mogłaby przyprawić o zawroty głowy i katastrofalne błędy. Andrzej Duda szybko wcielił się w prezydenturę, która stała się jego misją i pasją. Dobrze znosił trudy fizyczne i psychiczne tej roli, a jeśli można się zastanawiać nad jego błędami, to nie było ich wiele.

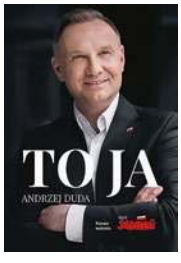

Trudno oczywiście spekulować co do głębszych refleksji byłego prezydenta nad swoją rolą, ale książka jest bardzo interesującym przyczynkiem nie tylko do najnowszej historii Polski, lecz także do psychologii politycznej. Na kartach wspomnień Dudy można znaleźć wiele wydarzeń, które opisał on ze swojej perspektywy jako czynnego uczestnika tych zdarzeń. Poznajemy więc sposób, w jaki wielcy aktorzy sceny politycznej odnoszą się do siebie, jak ważne są osobisty kontakt i drobne szczegóły, które czasem poprawiają lub psują atmosferę spotkań, a także jak grają emocje.

Książkę zaczyna autor nie przypadkiem od szoku, którym był wybór. Mimo tego, że przez całe miesiące intensywnie pracował, by wygrać, że zjeździł całą Polskę, uściskał dziesiątki tysięcy rąk i wygłosił dziesiątki przemówień, na koniec stał osłupiały z wrażenia, że to się udało.

Wraca potem do scen, które być może ukształtowały jego odporność psychiczną – do przeżyć związanych z katastrofą smoleńską, po której musiał brać udział w identyfikacji ciał, czasem swoich kolegów z kancelarii prezydenckiej. Kanapowym komentatorom polecałbym wczucie się w takie sytuacje. Czytając książkę, mamy przed oczyma obrazy życia codziennego pary prezydenckiej w nowym otoczeniu, wizyty i spotkania z głowami państw, nawet najważniejszymi, jak Donald Trump czy Joe Biden, i to w trudnych, zmieniających się warunkach. Poznajemy szybkie i właściwe reakcje na wyzwania, takie jak podróż do Kijowa w trakcie wojny czy upadek ukraińskiej rakiety w Przewodowie, po którym trzeba było zdecydować, czy alarmować NATO czy nie, zwłaszcza że prezydent Ukrainy wyraźnie chciał Polskę wciągnąć w wojnę.

Źródła do historii najnowszej mają tę dziwną cechę, że przypominają wydarzenia, o których szybko zapominamy. Książka Andrzeja Dudy pozwala je sobie przypomnieć. Historyka zainteresowałby zapewne komentarz do spraw budzących pewne kontrowersje wśród zwolenników prezydenta, a więc jego weta w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, ustawy szkolnej czy niewzięcia pod uwagę opinii komisji do spraw wpływów rosyjskich w sprawie dopuszczenia do władzy pięciu ważnych polityków. Tego w książce nie ma. Jest jednak wiele świetnie ujętych scen, które nie pozostawiają wątpliwości, że na czele państwa stał człowiek nie tylko osobiście sympatyczny i wrażliwy, lecz także potrafiący opanować emocje, błyskawicznie absorbujący doświadczenia, cierpliwie znoszący chamstwo i przewrotność przeciwników oraz potrafiący znaleźć bezpośredni kontakt z każdym. Są to wielkie zalety, także dla polityka.

Książka jest też smutnym dowodem na to, że gdy ktoś w Polsce opublikuje rzecz naprawdę ważną i ciekawą, która powinna wzbudzić zainteresowanie, opiniotwórcy z szacunkiem odsuwają się i pozwalają, by książka wpadła w dziurę i została zapomniana. Nie pozwólmy na to. ©℗

Źródła do historii najnowszej mają tę dziwną cechę, że przypominają wydarzenia, o których szybko zapominamy. Książka Andrzeja Dudy pozwala je sobie przypomnieć

eprasa.pl 4c1b1273a2

BOHATER

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Chaos w USA. Agenci zastrzelili mężczyznę na ulicy Minneapolis" – takie nagłówki czytam w polskich mediach. Moja rodzina się niepokoi – skoro „chaos w USA", a ja mieszkam w USA, to znaczy, że ten chaos mnie może uszkodzić.

Minneapolis to miasto w stanie Minnesota położone na Środkowym Zachodzie, czyli… PROWINCJA. I na tej prowincji wybuchły zamieszki. Głośne na cały kraj, ale jednak są to zamieszki lokalne. Chaos nie opanował całej Ameryki i jeżeli ktoś się nie pcha na siłę do centrum Minneapolis, to ten chaos go nie dotknie.

***

O co poszło? Demokraci podburzają ludzi przeciw deportacjom nielegalnych imigrantów. Krzyczą hasła multi-kulti: nie ma ludzi nielegalnych, każdy ma prawo mieszkać w naszym kraju. Trochę jak u nas na granicy z Białorusią – aktywiści lewej strony protestowali, gdy wojsko zatrzymywało nielegalnych.

Lewica broni imigrantów, bo gdy się imigrantów zalegalizuje, to oni będą potem głosować na lewicę, na socjal, na programy pomocowe, centra integracyjne, darmowe leczenie na łączenie rodzin i importowanie coraz większej liczby imigrantów, którzy też zagłosują na lewicę. W tym celu demokraci w USA wymyślili Miasta Azylu (sanctuary city). Rada miasta finansuje lokalną policję, czyli jest dla policji pracodawcą. Rada miasta może policji wydać polecenie służbowe, aby lokalna policja NIE współpracowała z władzami federalnymi w deportacji imigrantów.

W normalnych warunkach, gdy policja zatrzyma, nawet przypadkiem, jakiegoś nielegalnego imigranta, to go oddaje do deportacji – służby lokalne współpracują ze służbami federalnymi. W miastach takich jak Minneapolis nie współpracują. Dlatego federalni agenci ICE muszą sami jechać do Minneapolis i na obcym terenie samodzielnie łapać przestępców. Służby spoza miasta przyjeżdżają do naszego miasta na akcję – w takiej sytuacji łatwo podburzyć aktywistów, by protestowali przeciwko władzy centralnej, która wdziera się na „nasz teren" i łapie ludzi, a potem deportuje. Tego właśnie dotyczyły protesty, a potem zamieszki w Minneapolis.

Takich protestów ani zamieszek nie ma w stanach, gdzie lokalna policja współpracuje ze służbami deportacyjnymi. Nie ma zamieszek ani protestów na Florydzie, ani w Teksasie, ani w Tennessee – tam deportacje odbywają się sprawnie i bezszmerowo. Ogólnie w całych Stanach Zjednoczonych liczba groźnych przestępstw spadła do poziomu najniższego od roku 1900. No ale polskie media podają, że „chaos w USA, a Trump sobie nie radzi". Rok temu w Waszyngtonie strach było wychodzić wieczorem na ulicę, dziś można spacerować bezpiecznie. I WIEDZĄ TO polscy korespondenci zagraniczni. Wiedzą, bo mieszkają w Waszyngtonie, rok temu bali się iść do knajpy, bali się, że im ktoś ukradnie samochód, bali się, że na ulicy ktoś wyrwie żonie torebkę. Dziś się nie boją, ale nadal piszą, że „chaos".

***

Agenci deportacyjni działają na terenie całych Stanów Zjednoczonych i deportacje zaczynają od notowanych kryminalistów. Jest lista, coś w rodzaju rankingu groźnych przestępców i naprawdę OHYDNYCH typów. Przykład: farma z uprawą marihuany, na której do pracy niewolniczej zatrudniano dzieci. Skąd te dzieci? Za kadencji Joe Bidena granica z Meksykiem stała otworem, przez tę granicę przemycano także dzieci, bez rodziców. Spisano i wpuszczono na teren USA co najmniej 300 tys. nieletnich, a potem ludzie Bidena stwierdzili, że nie wiedzą, gdzie te dzieci są. Administracja prezydenta Donalda Trumpa zlokalizowała ponad 60 tys. dzieci nielegalnie przemyconych do Stanów Zjednoczonych, z których część została uratowana z dramatycznych warunków, w tym z rąk handlarzy ludźmi oraz pracy przymusowej.

***

Amerykańska lewica protestuje przeciw administracji Trumpa i służbom deportacyjnym. Chcą wycofania agentów ICE i pozostawienia przestępców w spokoju. W tym celu wzniecili zamieszki w Minnesocie. Zginęło dwoje uczestników tych zamieszek.

W USA trzeba się mocno postarać, aby cię policjant zastrzelił. Policjanci zwyczajnie boją się stosować broń, nawet w obronie własnej, bo kary za nieuzasadnione użycie broni są dla policjantów wyższe niż dla zwyczajnego obywatela, któremu puściły nerwy. W przypadku policjanta ława przysięgłych jest zawsze źle nastawiona i zakłada, że użycie broni było przekroczeniem uprawnień.

Kto zginął w Minnesocie? Najpierw jedna agresywna baba, która uderzyła w policjanta samochodem. A potem zastrzelony został bardzo nieciekawy typ, który przyszedł na manifestację z nabitą bronią. Miał prawo przyjść – druga poprawka do konstytucji. No ale kto rozsądny idzie na zamieszki z pistoletem, a potem wymachuje nim w stronę policjantów? Kto odmawia odłożenia broni na wezwanie funkcjonariusza? I czego ten ktoś się spodziewa?

Kim jest/był nowy bohater lewicy? Piszą, że „zabity to Alex Pretti, 37-letni pielęgniarz intensywnej terapii pracujący dla weteranów". A czego nie piszą? Regularnie wchodził w konfrontacje z agentami federalnymi. Tydzień wcześniej złamał żebro w jednej z tych konfrontacji. Był znany federalnym agentom z agresywnego zachowania. Miał cyfrową historię polowania na agentów ICE w aplikacji Signal. Telewizja MSNBC opublikowała zdjęcie bohatera i bardzo mu poprawiła wygląd – bohater lewicy ma być przystojny i sympatyczny. Wcześniej wyglądał jak przerysowana karykatura Żyda z komiksu, a na zdjęciach podrasowanych ma opaleniznę, ładnie wymodelowaną żuchwę, nowe zęby, twarz bardziej proporcjonalną, poprawiony nos, poszerzyli go w barach, dodali bicepsy, pogrubili szyję. Czemu kłamią w takiej sprawie jak wygląd ofiary? I w czym jeszcze kłamią? ©℗

eprasa.pl 4c1b1273a2

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

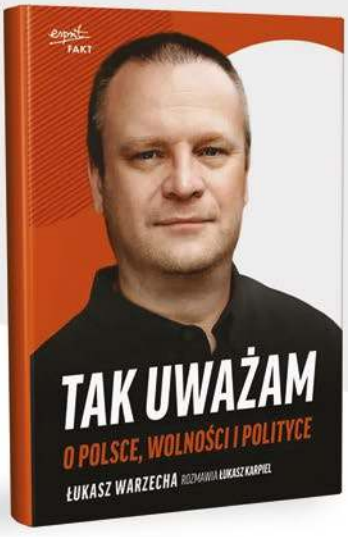

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 486 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4c1b1273a2

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NASI NAJWIĘKSI HETMANI – AUTORSKI RANKING JACKA KOMUDY

Pięć lwów Lechistanu – Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami warującymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań

Polacy z NKWD przeciw UPA – Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do Istriebitielnych Batalionów – mówi prof. Damian K. Markowski

Średniowieczne lekarki na ratunek – Kiedy wspomina się słynne kobiety średniowiecza, na myśl przychodzą przede wszystkim królowe i święte. A przecież fascynującym rozdziałem historii są losy ówczesnych lekarek i uzdrowicielek

Wolność na Placu Czerwonym – Maleńki protest pod murami Kremla wywołał całą lawinę zdarzeń

Polska misja Hoovera – Tysiące polskich dzieci maszerowało w Warszawie przed wzruszonym Herbertem Hooverem, przyszłym prezydentem USA, wyrażając wdzięczność za ratunek przed głodem

Szumowiny Kamińskiego – Żołnierze Bronisława Kamińskiego okazali się zgrają degeneratów, których nawet Niemcy mieli dość w swoich szeregach. Pełnię swojego okrucieństwa ci Rosjanie w służbie III Rzeszy pokazali w trakcie powstania warszawskiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4c1b1273a2